

-2432-

243

DOBRANA PARA.

Julian Łętowski.

DOBRANA PARA

NOWELLE.

DOBRANA PARA.
ZAKOCHANA.
JAK MIĘDZY LUDŹMI.
ZALICZKA.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN



Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

1897.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Февраля 1899 года.

2052

Pobrali się z miłości...

A miłość ta — przynajmniej o ile on sobie przypomina — przyszła jakoś sama, nima, niespodzianie, pewnego czerwcowego popołudnia, wówczas, gdy pani Chojnicka, emerytka i przyjaciółka jego nieboszczki matki, zaprosiła go właśnie na poobiednią kawkę niedzielną.

Co prawda, nie zapraszała go zbyt często, a zawsze jakoś przypominała sobie o nim wtedy, gdy chodziło jej o jakie nowe podanie w sprawie nieuregulowanej jeszcze emerytury po mężu, albo przygotowanie listu i kwitu dla odbioru półrocznego procenciku od sumki, ulokowanej przez nieboszczyka na hypotece ziemskiej, podobno u krewnych, w Kieleckiem.

Znał interesowność starej damy, ale spieszył zawsze na każde wezwanie, trochę przez pamięć na jej przyjaźń z matką, trochę zaś dla owej kawki, która, podana w towarzystwie babki lub smacznych ciasteczek, bądź co bądź, nie zawadzała nigdy po skromnym obiadku kawalerskim, na jaki młody człowiek, zajmujący dotąd niewysokie stanowisko urzędnika bankowego, mógł sobie pozwolić. Wprawdzie w niedzielę, przy obiedzie, pijał zwykle drugą szklankę piwa, ale kawka pani Chojnickiej tem więcej tylko mogła mu się uśmiechać.

Poszedł więc i w oną pamiętną niedzielę czerwcową — o! i jak pamiętną!

Przypomina sobie dobrze, iż szedł wówczas jakoś raźniej, niósł głowę swobodniej, a miał nawet nieprzepartą ochotę zanucenia po drodze jakiej wesołej piosenki. Oparł się jednak tej pokusie, gdyż, jak zwykle przy pogodnej niedzieli letniej, ciągnęły Nowym Światem tłumy nieprzebrane, dążąc ku Alejom i Łazienkom, pomyślał więc, że mógłby kto wziąć go za pijanego, a co gorzej, za jakiego spieszącego na schadzkę kantorzystę.

Uśmiechnął się jednak na tę myśl z lekceważeniem.

Smukły, wyrosnięty, brunet, z ładną, pełną wyrazu twarzą i jeszcze ładniejszym młodym wąsikiem, w nowym tużurku angielskim, znał dobrze swoją wartość.

Prawda, że był tylko urzędnikiem, ba! nawet urzędniczkiem—ale, mając za sobą pełne studia uniwersyteckie, znajomość języków i łatwość w pozyskiwaniu sympatii, mówił sobie w duszy: „Poczekaj biedo! Do czasu tylko twoje panowanie, do czasu!“.

Pomimo tej zgryźliwej myśli, animusz nie opuszczał go wówczas ani na chwilę. Przecinając plac Trzech Krzyży, wykręcił laską zręcznego młynka.

— Co ja dziś znowu! — mówił sobie z pewnem zdziwieniem, wkraczając w Aleje i w tłum. — Ot, stara wzywa mnie dla nowej pisaniny, bo z pewnością nie po co innego, a mnie tak jakoś, jakbym szedł na... operetkę. Co u licha!

Ale oto już ulica Piękna. Trzy domy jeszcze — i będzie w mieszkaniu pani Chojnickiej.

Przed wejściem do bramy, wbrew zwyczajowi, rzucił mimowolnie okiem na nowy tużurek. Pyszny kamgarn lśnił w słońcu wspaniale.

— Szkoda! — pomyślał — że dopiero trzy raty zapłacone!

Zadzwoił energiczniej niż zwykle, a starszka sama pobiegła mu drzwi otworzyć.

— A! pan Józef! — zawołała w skąpo oświetlonym pokoju. — Zawsze punktualny! Zaraz kawka będzie! Jakże tam pańskie zdrowie?

I nie czekając na odpowiedź, poprowadziła go za sobą do sporego, jasnego i schludnego salonu, z niezaprzeczonemi pozorami pewnej zamożności, przy staroświeckich i zarazem najnowszych meblach, pospołu zmieszanych. Śliczny zegar alabastrowy, w postaci świątyni egipskiej, cenne stare obrazy, kandelabry i bronzy, świadczyły wymownie, iż pani Chojnicka musiała bardzo dobre czasy pamiętać.

— Oczywiście, będziemy znów coś pisali — przemówił pan Józef, odwracając się ku etażerce przy drzwiach, dla ustawienia swego kapelusza.

I wykonawszy tę czynność z pewną pedanterią, ruszył ku środkowi salonu.

— Pan Józef Jasinowski — odezwała się tymczasem gospodyni, widocznie w formie prezentacyi.

Teraz dopiero spostrzegł, że pani Chojnicka nie była tym razem sama. Na małej kozetce, pomieszczonej pod ścianą, wprost okien, siedziały w jasnym świetle jakieś dwie postacie niewieście w kapelusikach.

— Jakaś wizyta — pomyślał młody człowiek.

Zmieszał się też cokolwiek, ale tylko wskutek owej niespodzianki, bo zwykle nie zastawał tu nikogo.

Postąpił swobodnie krok naprzód i skłonił się uprzejmie, z wprawą bywalca, choć bez żadnej przesady.

— Proszę tu, na swoje zwykłe miejsce — mówiła pani Chojnicka, wskazując mu krzesło obok siebie, a naprzeciw obu pań.

A gdy skinął w podzięcie głową, dodała:

— Panna Izabela Dworzecka... panna Zofia Rucińska... moje kochane panienki.

Młody człowiek ponowił ukłon.

— Wspominałam przed chwilą — mówiła znów gospodyni — że pan ma nadejść, kochany panie Józiu! No, i panienki chciały mi zaraz uciekać. Ale ich nie puściła. Widzicie — dodała, zwracając się do panien obcesowo — że nie żaden strach, ale miły chłopiec i zacności dusza!

— Ach, to tylko moja wina, to ja powiedziałam, że przyjdzie pewnie strach na wróble! — wyrwała się szybko młoda blondyneczka, snać dosyć roztrzepana, mieszając się w zawstydzeniu.

Wszyscy się roześmiali.

— I oczywiście nie zawiodła się pani, niestety! — szepnął pan Józef z uśmiechem.

— Owszem! Zawiodłam! — wyrwała się znów panienka.

Tym razem już gniewała się widocznie na samą siebie, bo i oblała się rumieńcem i zrobiła minkę nadąsaną, jakby była bliską płaczu.

— E! moja Zosieńko — przemówiła wreszcie gospodyni — nie masz czego żałować, żeś szczerą i otwartą. Szczerłość i taka pogoda jak u ciebie, to skarby prawdziwe. Ja znam cię przecie, jak i pana Józefa, też od takiej, o! tyciej, małejkiej! Już wtedy wiedziałam, że z ciebie będzie taki kozaczek...

Złotowłosa ochłonęła trochę, ale nie rozchmurzyła czoła.

— Kozaczek! Dziękuję pani! — odparła z przekąsem, jakby zadąsana.

Zapadła znów chwilka milczenia.

— A jednak pani z tą szczerością tak dobrze! tak dobrze! — podchwycił śmiało młody człowiek, nie spuszczając dotąd oczu ani na chwilę z pięknego dziewczęcia.

— Co? Więc i pan jest za szczerzy? — odcięła się panienka z udaną obrazą.

— O! tak! I dlatego źle mi na świecie— odparł.

— Ach, i mnie! — wyrwała się znowu Zosia.

Zwykle nieco despotyczna pani Chojnicka przecięła ten spór we dwoje, mówiąc:

— Dobrze to, moi państwo, ale nie bawcie się sami!

Oczywiście po tej niedyskretnej uwadze, oczy obojga młodych zwróciły się mimowolnie ku panie Izabeli, mocnej szatynce, również bardzo przystojnej, ale widocznie starszej nieco od Zosi i strojniej ubranej, która dotąd w tym dyskursie nie brała żadnego udziału.

— Słucham i patrzę — rzekła swobodnie strojna panna, zwracając się do gospodyni—czy pani przypuszcza, że mniej się można naówczas bawić?

I zaraz, nie czekając na odpowiedź, przeszła do rozmowy z młodym człowiekiem, jak-

by zależało jej teraz na popisie i na zatarciu uwagi staruszki. A i on, skory zawsze do gawędki, skupił myśli, pragnąc wynagrodzić pięknej pannie podkreślone przez gospodynią zapomnienie.

I zawrzała między obojgiem wartka wymiana zdań krótkich, stanowczych, w których przebijała się i ambicya i pewna chęć zaimponowania wykształconej panny, a pan Józef wybornie dotrzymywał jej placu, podsycając ciągle rozmowę i przerzucając ją z ręcznie z przedmiotu na przedmiot.

Biedna Zosia, jakkolwiek słuchała z wielką ciekawością, zupełnie wobec tego ucichła i oczki spuściła.

— Bawcież się tu — rzekła, wstając staruszka — a ja postaram się o kawę, bo już czas.

— Niech pani zadzwoni na Rózię! — poddała, zasłuchana niby w rozmowie tamtych, złota blondyneczka.

— E! moja Zosieńko! Już ja tam wolę sama wszystkiego dojrzeć — odparła i wyszła.

A tam, wśród tamtych, perliła się znowu rozmowa, tak, iż nawet wyjścia pani Chojnickiej i słów dziewczęcia nie zauważyli.

Smutek znów pokrył lica Zosieńki. Nie widziała przy swoim chwilowem zakłopotaniu, iż młody człowiek, mimo żywej rozmowy z towarzyszką, przecież ukradkiem ciągle ją obserwuje.

— Ostrożnie! Postaw tylko! Już ja sama rozleję! — odezwał się głos pani Chojnickiej, roztwierającej drzwi przed służącą, fertyczną i schludnie ubraną dziewczyną.

Po chwili zabrano się do kawy, zbliżając krzesła do stolika przed kanapką. Gospodyni zapraszała, błagała, kazała próbować, pytając: czy dobra, czy nie za mało mleczna i w ogóle ściągając uwagę wyłącznie na samą kawę.

Zosia dopiero teraz uczuła ciężące na swej twarzy oczy młodego człowieka, a ośmieliwszy się po chwili raz jeden — jedyny — odrzucić spojrzenie, dostrzegła w jego wzroku coś, jakby błogi wypoczynek po tamtej kampanii.

Uradowało ją to, sama nie wiedziała czemu, stanęła więc znów cała w pąsach. Nachyliła się też nad filiżanką dla pokrycia zakłopotania i poczęła mięszać zawzięcie łyżeczką.

— Czy nie za słodka, Zosiu? — spytała pani Chojnicka.

— Jak ulepek! — wyrwała się niechętny w odpowiedzi śliczna dziewczyna.

— To poczekajże, ja ci doleję.

— Kiedy ja tak właśnie lubię — odparła czempredzej, mieszając znów kawę ze zwiększoną gorliwością.

— Troszeneczkę! — napierała staruszka, podnosząc się ze srebrnym imbrykiem. — Ale ba! — dodała, zajrzawszy w filiżankę dziewczyny — jakże ci dolać, kiedyś ty jeszcze nic nie upiła?

— Bo... bo... za gorąca! — odparła Zosia, nie wiedząc już sama, co mówi.

— No, to mieszaj!

„Kozaczka“ porwał teraz pusty śmiech, boć przecie nic innego dotąd nie robiła i kawa była zupełnie wystudzona, a u sąsiadów filiżanki już od chwili puste.

— Ha, ha, ha! — pobiegła z jej ust kaskada szczerego, srebrnego śmiechu.

A było w tej zaraźliwej wesołości coś tak niewymuszonego, iż wszyscy mimowoli poczęli się także zanosić śmiechem, nie wyjmując staruszki, która przy tem, chwytając

się za bok ręką, stękała od czasu do czasu wołając na przemiany:

— A bodaj cię!... Nie wytrzymam!... Ojej! Nie wytrzymam!...

Nieszczęsna Zosia, spojrzawszy uważniej na skutki swojej niewczesnej wesołości, przechyliła główkę na poręczy krzesła i posłała znów do sufitu świeżą kaskadę dźwięcznego śmiechu, napęlniającą cały salonik.

Tego tylko było potrzeba pobudzonym już w takich razach nerwom. Buchnął znów śmiech ogólny, jak strumień, co nie zna tamy i dopiero zwolna, coraz wolniej, siłą już powstrzymywany, cichł, niby oddalająca się burza—wreszcie wszyscy, przemógłszy paroksyzm, uspokoili się, poczynając mimowoli obcierać czoła.

Zosia tymczasem siedziała już na swem krześle zupełnie poważna, spokojna, jakby nigdy nie uczestniczyła w tym wylewie śmiechu.

Ale pani Chojnicka, sapiąc i trzymając się jeszcze za bok, odezwała się pierwsza:

— Oj, Zosiu, Zosiu! Ty jeszcze kiedy zaszkoździsz mi temi swemi figlami!

Panienka porwała się z miejsca i przypadła do kolan staruszki.

— Ja? A cóż ja winna? — spytała najspokojniej.—Czy to ja kazałam się śmiać złotej paniuńci?

— A któż? Książdz? — odparła staruszka.

Ta wymiana zdań omal nie groziła nową katastrofą.

Na szczęście, obeszło się bez niej, poczem ustępując naleganiom gospodyni, wypito jeszcze po jednej filiżance.

— Wicie, co wam powiem, moi państwo? — odezwała się pani Chojnicka, z ożywieniem i wesołą miną. — Już koło szóstej... Słońce już tak nie pali... Przyszła mi myśl, abyśmy razem przeszli się trochę ku Łazienkom. Przecież to ztąd, z Pięknej, parę kroków. Ja wam będę matkowała — dodała do panienek.

— Brawo! wiwat! — odpowiedziano prawie chórem. — Idziemy! Zgoda.

— Wezmę tylko kapelusz — dodała staruszka.

— Ja pani pomogę ułożyć na główce — napraszała się Zosia.

— E! ja sama dam sobie rady! — zastrzegła się staruszka.

Gdy zniknęła na chwilę, pan Józef podszedł do złotowłosej blondynki.

— Dziękujemy pani za tę porcyę szczerego śmiechu! — rzekł nawpół z powagą. — To tak rzadko się zdarza na codzien w życiu — dodał jakoś smutniej.

— Rzadko?...

— Rzadko — odpowiedziały mimowolnie naraz dwa stłumione głosy, jakby z pewnem znaczeniem i namysłem.

I nastalo gnębiące milczenie.

Naraz, jakby chcąc tłumić tę ciszę, panna Izabella poskoczyła do Zosi i przylgnęła ustami do jej ust. W uścisku, poczęły obie wymieniać serdeczne całusy, nie robiąc sobie nic z obecności młodego człowieka.

— Czy paniom nie miła pogoda? — spytał wreszcie pan Józef.

— A panu zazdrość! — odezwała się Zosia z ramion przyjaciółki.

— Czyż może być inaczej? — odparł z uśmiechem.

— To znajdź pan na to radę — wyrwała się znów złotowłosa dziewczyna, pomimo, że ją wzrokiem strofowała rozważniejsza panna Izabella.

Panu Józefowi zaświeciły oczy.

— Ach, gdyby można znaleźć! — odezwał się z westchnieniem.

Ale Zosia, powstrzymana wzrokiem przyjaciółki, milczała już zawzięcie.

*

*

*

Po chwili ruszono i niebawem wmieszano się w świąteczne tłumy w Alejach. Panienki poszły przodem, pan Józef został w drugiej parze, obok pani Chojnickiej.

O jakiejś rozmowie w tym ścisku, szumie i gwarze nie można było myśleć. Tylko obie panienki zamieniały ze sobą od czasu do czasu po parę wyrazów, lub wymowniejszych jeszcze spojrzeń, które domawiały reszty.

Tłum różnobarwny, przesuający się w dwóch przeciwnych kierunkach, płynął i płynął bez końca; powozy i dorożki nawet tylko chwilami mogły biedz raźniej, po za tem zaś posuwały się zwolna, noga za nogą. Pogoda świąteczna zrobiła swoje — wywabiała z murów połowę świętującej Warszawy.

Po pewnym czasie, Zosia odwróciła głowę na chwilę, pragnąc snąć sprawdzić obecność przygodnej opiekunki.

— Niechże nam się pani nie zgubi! — upomniała i odwróciła się znowu czempredzej dostrzegłszy uparty wzrok młodego człowieka.

Ale pan Józef posłał za nią pytanie:

— A ja, to mogę się zgubić?

Przez moment dziewczyna pozostawała dłużną odpowiedzi, naraz jednak odwróciła główkę, mówiąc:

— O pana mniejsza!

I widać było, że obie panny zcicha chichotają.

W ogrodzie Botanicznym był ścisk tak wielki, iż musiano poprzestać na parokrotnem obejściu go dokoła, wszystkie bowiem ławeczki były pozajmowane. Natomiast w Łazienkach, mimo równie olbrzymich tłumów, w ustronnej części parku upatrzył pan Józef zdaleka jakąś swobodną ławkę i pędem przebiegł obok pańienek, dążąc ku zdobyczy. Zosi tego tylko było potrzeba. Rzuciła również swe miejsce obok panny Izy i puściła się także ku owej ławce. Oboje przypadli prawie równocześnie, zajmując dwa przeciwne końce.

— Zmęczyła się pani — pierwszy przemówił młody człowiek, widząc ciężki oddech

dziewczyny — a ja byłbym i sam nie wypuścił już z rąk tej zdobyczy.

— Nie chciałam panu zawdzięczać miejsca, które mi się tu zapewne dostanie.

— Czemu? — spytał z lekką urazą w głosie.

— Tak sobie!...

— A ja, przeciwnie, z ochotą podjąłbym się ciężaru zawdzięczenia pani nawet... szczęścia! — odparł z drzeniem w głosie.

Nic już nie zdołała odpowiedzieć, bo właśnie zbliżały się obie panie. Ale to ją korciło. Korzystając też z ostatniej sposobnej chwili, rzuciła na przeciwny koniec ławki, szybkie, wyzywające spojrzenie, które miało zaświadczyć o ochocie do dalszej walki, ale spotkawszy się z upojonym niemal wzrokiem młodego człowieka, oblała się tem żywszym rumieńcem.

— Oj, figle, figle! Ale dobrze, że my mamy ławkę! — mówiła staruszka, grożąc z uśmiechem Zosi i zasiadając z zadowoleniem. — A jakich to kolorów dostała z tego biegania -- dodała, wskazując oczami Zosię i zwracając się do panny Izabelli.

Przez chwilę wszyscy siedzieli w milczeniu, wypoczywając z ochotą po trudzie prze-

chadzki. Tu już w tem ustroniu, gwar zbiorowiska ludzkiego bardzo się słabo odbijał. Słońce schyliło się po za gęsty szpaler drzew, dawało więc przyjemny cień. Od pobliskiej pomarańczarni dochodził mocny, upajający zapach południowego kwiecica.

— No, tu można wypocząć! — szepnęła pani Chojnicka.

Dziewczyna o fiołkowych oczach, poczęła z jakąś lubością oddychać silną wonią i jakby upojona jakimś wspomnieniem, zanuciła zcicha czystym głosem:

„Znasz ty kraj, cudny kraj,
„Mirtów, pomarańcz, róż...
„Wieczny maj, ziemski raj
„Dla kochających dusz?...

I nagle urwała, jakby zawstydzona tego mimowolnego porywu.

— Ach, to prawda — odezwała się panna Iza — prawda, że to może przypomnieć ową aryę ze ślicznej „Mignon“.

— Ma pani rację — dodał pan Józef żywo, zwracając się do panny Izabelli — aż dziw, że nam to wszystkim odrazu na myśl nie przyszło!

— E! nie żartujcie! — odezwała się szczerze, jakby z urazą, złotowłosa panienka.

— Iii! Zosieńko! któżby śmiał, kiedy to istotnie trafne — odparła panna Izabella.

— Ktoż — potwierdził pan Józef takim głosem, jakby mówił: „boć przecie nie ja“ — topiąc życzliwe spojrzenie w fiołkowych oczach.

— Może dlatego — poczęła znów Zosia, ciągle się broniąc — przypomniała mi się ta arya, że umiem jej słowa a i gram często z upodobaniem.

Pan Józef spojrział, jakby pytał: „na czym?“.

Fiołkowe oczy odgadły snąc zawarte w spojrzeniu pytanie.

— Gram trochę na fortepianie — odparła z cicha.

— Dobra sobie — wtrąciła panna Iza — jesteś prawdziwą artystką!

— Ja wiem o tem — dodała pani Chojnicka — boć u mnie sobie Zosia czasem przegrywa.

Była to niedyskrecya, jedna z wrodzonych starej damie, malowała bowiem mimowoli położenie dziewczyny. Wszyscy zamilkli i zmienili rozmowę.

Nastrój młodych po tym epizodzie wrócił niebawem do dawnej swobody, a choć roz-

mowa ograniczała się już na potocznych sprawach, nastęrczała jednak co chwila przedmiot do jakiegoś konceptu, nagradzanego niewymuszonym śmiechem. W duszy też dziwili się wszystko troje, choć każde z osobna, iż tak sobie przypadli do serca odrazu, jakby się znali oddawna. Mówiły im o tem wzajemnie śmiałe, pogodne i pełne ufności spojrzenia.

Po godzinie pani Chojnicka dała hasło do odwrotu — i poczęto znów przesuwać się zwolna, parami, wśród ruchomej fali tłumów. A Zosia jakby się uwzięła, milczała już całą drogę.

Przed bramą pani Chojnicka poczęła zapraszać jeszcze swoich gości do siebie.

— Moi państwo, wstąpcie jeszcze na herbatę! Bardzo was proszę! — mówiła.

— Ja już muszę wracać—odparła uprzejmie panna Izabella. — Już i tak o godzinę się spóźnię, a obawiam się, aby się w domu nie niepokoiono.

— Ale ty, Zosieńko, na ciebie przecie nikt nie czeka?—mówiła znów stara dama.

— Owszem, paniusiu złota! Umówiłyśmy się z Izią, że dziś spędzę wieczór u niej!

— O! szkoda! Niechże się pani pięknie pokłoni mamusi, droga panno Izabello! — mó-

wiła pani Chojnicka, zwracając się do panny Dworzeckiej.

— Dziękuję! Dobranoc!

Skłoniły się obie grzecznie młodemu człowiekowi, który słuchał tej rozmowy w milczeniu — i wzięwszy się pod ręce, zniknęły niebawem na zakręcie ulicy.

Staruszka była przekonana, że pan Józef pozostanie u niej na herbacie. Ale i on począł także żegnać się z nią przed samymi drzwiami mieszkania.

— Wybacz pani — mówił — ale ja jutro przed wieczorem wpadnę dla załatwienia tych listów. A teraz już powlokę się do domu.

— Jako? Eee! Nie idzie mi o tamto, nie ucieknie do jutra — mówiła staruszka z widocznym żalem.—Ale tak mi dziś dobrze było z wami, ach tak dobrze, a teraz znów sama zostanę...

— Muszę!— odparł tylko młody człowiek, choć trochę wzruszony tą skargą, całując rękę starej przyjaciółki rodziców.

— Do jutra!... Będę czekała!...

Nie kłamał, że się do domu „powlecze“, istotnie bowiem włókł się już tylko, w zamysleniu, ze spuszczoną zlekka głową. Nie patrzył na przechodniów, wymijając ich mechanicznie i niemal instyktowo.

Wyśmiewał się dotąd z tego, co zwykle nazywano przecuciem, a przecie myśl nasuwała mu teraz wspomnienie owej fantazyi, z jaką biegł dziś do staruszki, nie wiedząc zgoła, iż tam kogo spotka.

— To dziwne! — szepnęła, walcząc w duchu, jako człowiek trzeźwy, z niewiarą we wszelkie zabobony.

W oczach zamigotała mu jednak po chwili jasna sukienka Zosi, a w uszach zadźwięczał jej srebrny śmiech, rześwy jak zdrowie, a wesoły — jak sama młodość. Mimo- wolnie też zmrużył oczy, jakby chciał te mary odpędzić.

W drodze zaczął go jeden z kolegów.

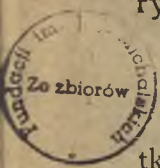
— Józiek!

— Pilno mi, spieszę się! — odparł krótko, w obawie, aby go nie zatrzymano.

— Gdzie?

Zawahał się na moment z odpowiedzią.

— Do teatru! — pragnąc się za jaką- bądź cenę uwolnić.



— Teraz? koło dziewiątej?

— Spóźnię się trochę, ale to nic!...

I pożegnał czemprowadz kolebę, przyspieszając kroku, jakby istotnie sam wierzył w to spóźnienie.

W parę minut potem znalazł się przed domem, przebiegł szybko sień, wydostał się na trzecie piętro i dopiero stojąc z kluczem w ręku przed drzwiami swego mieszkania, pomyślał, że nie było po co tak się spieszyć.

Nie cofnął się już jednak i wszedł, zatrzasnąwszy drzwi za sobą hałaśliwiej, niż zwykle.

Widocznie było mu jeszcze zamało tego ruchu w szybkiej pogoni ku domowi, postawiwszy bowiem kapelusz na biurku, począł chodzić po niewielkim, ale ładnym pokoiku, w szarem świetle czerwcowego wieczora, którego blaski gasły wprawdzie dość szybko, ale pozwalały jeszcze rozróżniać przedmioty.

Nie myślał więc zapalać lampy, lecz chodził wciąż zawzięcie, z kąta w kąt, z rękami w tyle, na karku, zaplecionemi.

Wreszcie stanął przed jednym z okien i spoglądając bezwiednie na szarzejące dachy niższego, przeciwległego domu, potarł czoło

dłonią, a zagwizdawszy przeciągle, szepnął sobie zcicha:

— Fiuuu!... Panie Jasinowski!... Zdaje się, żeśmy wpadli!...

Dosłyszawszy szept własny, wstrząsnął się mimowoli i zapaliwszy papierosa, którego pociągnięcia oświetlały mu brodę i usta czasami, począł znów chodzić po pokoju. Ale tym razem twarz mu się wypogodziła, oczy błyszczały w zmroku, jak u młodego żbika, pierś podnosiła się do szerokiego oddechu i znów, jak tam w drodze do staruszki, zjawiała się w jego duszy ochota zanucenia jakiej skocznej piosenki.

— Ha! Trudno! — wyrwało mu się z ust z rezygnacją.

Ale zaraz uczuł, jakby jakiś ciężar zsunął mu się z piersi.

„Złapał kozak tatarzyna.

„A tatarzyn za łeb trzyma,

„Trzyma silnie w krzepkiej garści,

„Mówiąc przytem: „Chciałeś—naści!“

I zanuciwszy tę starą zwrotkę, buchnął szczerym, męzkim śmiechem, który wypełnił pokoik, oparł się na niebieskim atlasowym parawaniku, zasłaniającym kawalerskie łóżko i w po-

wrocie odbił się echem z wąskiego przedpokoj, do którego drzwi pozostały dotąd otwarte.

Usiadł na chwilę przed biurkiem, tyłem do okna zwrócony i w zamyśleniu począł wodzić oczyma po ścianach.

I zdało mu się, iż tam, na olejnych portretach jakiejś pary pradziadków, jedynym zabytku dawnej zamożności rodzinnej, widzi w ostatnim refleksie świetlanym znów sukienkę dziewczęcą i fiołkowe oczy i jasne sploty włosów ze złocistym odblaskiem. Raz pojawiła mu się na jednym, to znów z kolei na drugim portrecie, migotliwa, niejasna, a przecież jak żywa.

i zapatrzony w tę złudę własnej wyobraźni, huknął pełną piersią, z oddźwiękiem jakiejś rozpaczliwej niemocy, ale i otuchy zarazem:

— Będzie, co musi być! Płyn galero!...

W pokoju zapanowała już tymczasem zupełna ciemność, nie pozwalająca na dalsze przechadzki. Siedząc tedy przed biurkiem ze splecionemi na karku rękami, wpatrzony w czarną bezdeń, w której nie rysował się już żaden przedmiot, pograżył się znów w myślach.

Ale ta bezdeń była snać złym doradczą — i przynosząc rozwagę, poczęła mu zwolna coraz posepniejsze myśli nasuwać.

— Oj, kozaczk, kozaczk! — szepnął jeszcze z bladym uśmiechem.

Ale naraz pomyślał, że bądź co bądź jest zapaleńcem, a nawet... szalonym. Prawda, czuł, że dziewczyna ta była z tych, do którychby przylgnął całą duszą... ba! co to przylgnął, to za mało, stokroć za mało... Takiemu złotemu stworzeniu nigdyby krzywdy uczynić nie mógł i nie potrafił, prędzej by sobie czerep rozbił własnymi pięściami. A jakie to szczere, jakie wesołe, lube, słodkie i dobre — o! musi być i dobre — Boże Ty miły! — a tożby z tem raj można mieć na ziemi!...

Naraz struchlał i uczuł dreszcze w całym ciele, a rozplecione ręce opadły mu bezwładnie na kolana.

A jeśli?... Jeśli ona jest nawet taką słodką, jak on myśli, jeśli życie z nią mogłoby być takim rajem, ale jeśli ona dziś tylko bawiła się nim, a teraz, teraz, gdy on się szarpie, marzy, nęka jej wspomnieniem — ona już o nim zapomniała; już może, nawet właśnie w tej chwili wyśmiewa go z tą, z tam-

tą, drugą — Jezusie! — a jutro już może nawet nie pomyśli, chyba jako o figlu, który jej się udał wyśmienicie?...

— Oh! — wrzasnął, zacisnąwszy pięści i siedząc przez chwilę zgnębiony.

Na ulicy zapalono tymczasem latarnie. Od jednej tam, z rogu, odbił się strugą słaby refleks światła na ścianie ciemnego pokoju, rozjaśniając cokolwiek stare malowidło.

I znów wzrok młodego człowieka pochwycił w zagięciach starego portretu prababki skromną sukienkę i fiołkowe oczy dzieciństwa.

Myśli jego poczęły teraz układać się spokojniej, niby zmaczone fale jeziora po przelotnej burzy. Te oczy fiołkowe — te oczy!...

Nie chciał spłoszyć słodkiego widziadła, ale już mu nie dowierzał, już spoglądał na tę złudę myśli podejrzliwie. Tymczasem zapadła zupełna ciemność, która aż raziła jego oczy.

Czemu on siedzi po ciemku? — przychodzi mu teraz dopiero na myśl.

Odwraca się też czemprędzej z krzesłem ku biurku i zapala świecę.

Przy świetle, choć słabem, zrzuca z siebie resztki przygnębienia. Nie może dostrzedz

całego pokoiku, ale stare portrety widzi wcale dobrze, bo zagięcia światło na nich skupiają. Sam mówi sobie, że to dziwactwo, złuda, halucynacya, opętanie wzroku, a przecie zdaje mu się, że tam ciągle jeszcze mógłby dopatrzeć jasną sukienkę dziewczęcą i fiołki w oczach.

— Aj, ty kozaczku! jakżeś mnie ty opętał!—szepczę znowu, ale już z rozkosznym uśmiechem, przy czem aż zmruża oczy i przechyla głowę na poręcz—aj, ty, ty, ty, złote złoto!

Zapala z fantazyą nowego papierosa i otaczając całą głowę dymem, zamyśla się na nowo.

Eh! Boże drogi! — myśli z właściwem młodości uzdolnieniem do przenoszenia się od rozpaczki do nadziei — co mi też już dziś do łba nie przychodzi?... Niby pierwszy raz ją widziałem... prawda... no, i wiem, że pierwszy, wiem dobrze, bo przecie jeszcze — chwała Bogu! — mam pamięć nie najgorszą... Ale... a jednak... tak mi jest jakoś, jakbym ja ten turkusik najdroższy, to złote złoto, musiał był spotkać na swojej drodze — musiał był spotkać na swojej drodze — musiał! — pierwszej czy później, dziś czy jutro. Co mi tam!...

Lepiej, że prędzej... że dziś... A przytem, co mi dziś to bielmo włożyło na ślepie?... Nie, doprawdy, to trzeba być durniem, kpem, dekadentem, a nie porządnym człowiekiem, żeby w tem wszystkim nie widzieć zrządzenia Opatrzności, łaski, cudu! Przecie ona sama zaczęła tak jakoś ze mną odrazu, jakbyśmy się znali całe lata!... To jej „owszem“, przecie to oczywiste zaprzeczenie „stracha na wróble“ — ba! uznanie, pochlebstwo. A potem te zaczepki po drodze... A ten wyścig ku ławce. A! Jezu! przecie ja jej się nawet ofiarowałem do dźwigania jej szczęścia... czy coś takiego. Nie odpowiedziała, ale bo tamte się już zbliżały, a jednak spojrzenie jej mówiło, iż zrozumiała. A ta „Mignon,“ ta „Mignon“... Rany Boskie! teraz znów oszaleję ze szczęścia! — dodał, zrywając się z krzesła od biurka i śmiejąc się już sam z siebie.

Przeszedł się znów parękroć po pokoju.

Przyszło mu teraz na myśl, że jutro, bądź co bądź, musiałby pójść do pani Chojnickiej, a teraz nie będzie to już obowiązkiem, lecz uciechą. Dziesięć podań, dziesięć listów jej napisze! Ale stara musi mu jutro wyznać wszystko, co wie o Zosi. Już on ją przycisnie, już ona musi mu wszystko o niej wy-

śpiewać — a potem... i... i... dopomóżdź w nowym spotkaniu... Pojutrze... we środę... no, we czwartek najpóźniej. Nie! głupstwo! Nie doczekałby do czwartku... Środa, środa, najpóźniej środa!

Postanowiwszy to, namyślał się, co ma z sobą teraz począć? Stał na środku pokoiku. Spać — ba! nie uśnie przecie!... Pracować — nie wziął nic z biura do domu...

Co tu robić?..

Naraz uczuł głód.

— Masz tobie! A toć ja od południa nic, prócz tej kawy, w ustach nie miałem!

Podszedł do świecy, wyciągając zegarek.

— Wpół do dwunastej! — wrzasnął! — Pójdę co przetrącić jeszcze! Dalej!

Pochwycił kapelusz, sprawdził czy klucz od zatrasku ma już w kieszeni, dołożył kilka papierosów z pudełka, dmuchnął na świecę i wychodząc, trzasnął za sobą drzwiami tak silnie, iż szyby zadzwoniły w całej kamienicy.

Na dole zastał już stróża w pogotowiu.

— To pan?

— A cóż!

— Musi panu być wesoło?..

— Spodziewam się! — odrzucił jeszcze hardziej, wsuwając dziesiątkę w dłoń stróża.

A na ulicy dość pustej o tej porze, nie mógł się już oprzeć pokusie i zanucił półgłosem:

„Złapał kozak tatarzyna,
„A tatarzyn za łeb trzyma,
„Trzyma silnie w krzepkiej garści,
„Mówiąc przytem: „Chciałeś — naści!“

*

*

*

Nazajutrz obudził się wcześniej niż zwykle, mimo to, czuł się wypoczętym, świeżym i pełnym jakiejś otuchy, z której na razie nawet zdać sobie sprawy nie umiał. Dopiero, spojrzawszy na stare portrety, jakby szukał tam na nich wczorajszych widzeń, uśmiechnął się z zadowoleniem, a z ust wydobyło mu się przeciągłe, rozkoszne, pełne niezmiernej ulgi:
— Aaaa?

Nie chciał jednak teraz o niczem myśleć, począł więc szybko się ubierać, jakby tem mechanicznem zajęciem pragnął wszelkie mary odpędzić.

Ale, gdy po umyciu, zasiadł przed małym lusterkiem dla zapięcia krawata, uśmiechnął się sam do siebie.

Poczuł znów fantazyę, a w myśli przesunęła mu się ludowa piosenka:

„Płynie sobie, płynie struga,
„Nie będziesz ty — będzie“...

Urwał jednak tę myśl czemprowadziej i drgnął cały, jakby w przestraszu.

Wydawało mu się teraz, że omal nie popełnił jakiego bluźnierstwa. „Druga“... — ładnieby tam była „druga!“. Wyłby raczej, jak stare psisko...

Machnął ręką, ściągnął brwi w gniewie, dokończył spiesznie toalety i nie obejrzawszy się nawet za siebie, wypadł czemprowadziej z mieszkania.

W biurze zajął się zaraz robotą, która szła mu dziś nadzwyczajnie szybko, jak chyba nigdy jeszcze dotąd. Podrażnione nerwy poganiały jego myśli i rękę. Około dwunastej woźny zawezwał go do „pana dyrektora“. Pobiegł i po paru minutach wrócił z kilkoma kartkami notatek, zasiadając znowu przy biurku.

— Cóż wam tam znów dali? — spytał od swego biurka jeden z kolegów.

— Phi — odparł — nową robotę — i pilną!

Odłożył plikę ze starymi papierami i pochyliwszy się nad stolikiem, począł pisać w skupieniu. Czuł, że dziś mógłby się porwać na wszystko. Wziąłby wołu za rogi, mógłby dać radę nawet staremu dyabłu.

Dyrektor mówił: „Chciałbym to mieć jutro na rano“ .. Oczywiście przyrzekł, ale teraz widzi, że już na drugą mógłby się uporać z tym referatem. Począł tedy z tym większym wysiłkiem pracować.

Podano herbatę, przy której zwykle urzędnicy zaprzestawali roboty i poczynali gawędę. Zbierały się grupy, posyłano po zakąski, a ten i ów ze starszych i żonatych rozwijał butersznyt z papieru.

— Może do składeczki, panie Jasinowski? — zaproponował jeden ze starszych urzędników z tego samego wydziału, zwracając się do pana Józefa, który herbatę wziął, ale dotąd jej nie tknął, schylony nad papierami.

— Owszem, kochany radco! — odparł spiesznie. — Godzę się na wszystko — i położył na biurku złotówkę.

Był on tu jednym z najmłodszych urzędników, ale wiedziano dobrze, że choć najgorzej płatny, zajmuje przecie dość odpowiedzialne stanowisko, zastępując chwilowo na-

czelnika, który wyjechał za urlopem do Maryenbadu. Że to następstwo jego spotkało, nikt się nie dziwił i nikt nie zazdrościł, bo przy tym naczelniku pracował od roku i stary sam go na zastępcę polecił dyrektorowi. Lubiono go przytem ogólnie i znajdowano to naturalnem, boć przecie „skończył całe studia i z egzaminami“. Jeden tylko, gdy nad tem debatowano, zaprotestował: „Ej, nie zawsze z uniwersytetu wychodzi dobry urzędnik -- rutyna, to grunt“. — „Zawsze tam jednak studia nie zawadzą“ — odpowiadali inni.

Pan Jasinowski pożartował dziś chwilę z kolegami przy śniadaniu, połknął jednym haustem wystygłą herbatę, pochłonął w trzech kęsach pół bułki z szynką i zasiadł znów pierwszy przed biurkiem.

Omylił się, ale nie o wiele. Zamiast o drugiej, referat o wpół do trzeciej był gotów.

Zadzwonił i wręczając papiery woźnemu, rzekł:

— Oddać panu dyrektorowi.

Stary sługa odszedł.

— Jużeście skończyli? — spytał sąsiad.

— Ot, nie wielka rzecz była — odparł pan Józef.

Woźny wroczył, mówiąc:

— Pan dyrektor już wyszedł przed chwilą, ale przyjął pan sekretarz i powiedział „bardzo pięknie“.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a pan Józef pierwszy.

Nareszcie godzina folgi wybiła. Składano pośpiesznie papiery, zamykano szuflady i szafy, wszczął się gwar i rozhowor, rozpoczęły się pożegnania:

— Do jutra, do jutra!

Pan Józef wyprzedził dziś kolegów w wymknięciu się z biura. Z równym pośpiechem spożył obiad w pobliskiej restauracyi i czwarta dochodziła, gdy znalazł się na rogu Pięknej, dążąc do starej przyjaciółki z jakąś otuchą i nadzieją, ale zarazem i niepokojem, z którym nie mógł dać sobie rady żadną miarą.

— Odrazu ją naciśnie! — myślał — odrazu wyznam wszystko!

Ale, gdy znalazł się wobec starej damy, pomiarkował zaraz, że nie byłoby to bardzo właściwem; przeciwnie, przydałoby się trochę spokoju, może nawet chytrności i dyplomacyi.

Spodziewał się przytem, że pani Chojnicka sama może nastreczy mu sposobność i wspomni coś o dniu wczorajszym. Staruszka jednak miała już w pogotowiu wszystkie papiery, a myśl zajętą wyłącznie swą sprawą. Nie szczędziła młodemu człowiekowi grzecznych wyrazów podziękii, mówiła, że zawsze taki dobry, że się dla niej fatyguje — i dodała, że byle skończył z temi papierzyskami, nie będzie go dziś zatrzymywała już dłużej.

— Aha! zaraz! — pomyślał, uśmiechnąwszy się pod wąsem i zabrał się do roboty.

Skończył ją zaś tak prędko, że aż stara dama zadziwiła się szczerze.

— Już? Wszystko? A to panu Józiowi idzie ta robota!

— Wprawilem się! — odparł z nowym uśmiechem.

Staruszka poczęła znów powtarzać swe podziękowania, ale w oczach jej odmalował się jakby zawód, że młody chłopiec nie myśli widocznie wcale o ucieczce i nie rusza się z krzesła.

Nastała też chwila kłopotliwego milczenia, bo pan Józio uparcie wpatrywał się w okno, wodząc wzrokiem po firankach.

— Ładny desen? prawda? — spytała kobieta.

— Ładny! — odparł bezmyślnie, nie odwracając głowy.

Widział już teraz, że musi sam zacząć, bo pani Chojnicka, jakby zmieszana jego zachowaniem, milczała w zakłopotaniu.

Odwrócił się też energicznie, widać zdecydowany na wszystko i począł szybko:

— Ja mam dziś do szanownej pani wielką prośbę...

Panią Chojnicką przeraził ten wstęp. Była widocznie przekonaną, że młody człowiek żąda może pożyczki, lub zapłaty za paroletnie przysługi.

— Gdyby... gdybym mogła... — poczęła.

Jasinowski, który snać myśl jej odgadł, namarszczył czoło i począł tem żywiej:

— Zna mnie pani od dziecka i wie pani, com za jeden... A niech to, co powiem, nie dziwi pani... Idzie mi o tę panienkę, którą tu wczoraj poznałem... Muszę się od pani dowiedzieć kto ona? czyja? co robi? z czego żyje — no, pani wie przecie sama... Niech się to pani nie wydaje śmiesznem, ale ja to muszę wiedzieć, pani musi mi w tem dopomóc. Moja złota pani!

Stara dama odetchnęła swobodniej, wysłuchawszy tego potoku szybkich, choć urywanych zdań, a młody człowiek utwierdził się w swem podejrzeniu i znów uczuł niesmak.

— To panu Józiowi o to idzie? — spytała z zadowoleniem.

— O to! o to! — wołał, niecierpliwiąc się już widocznie. — Niech się pani nie dziwi niczemu, nie pyta, nie bada, niech pani tylko raczy na to szczerze odpowiedzieć.

— Wiem! domyślam się! — poczęła pani Chojnicka — owszem, będę pana swatała, będę z ochotą—i wyswatam! Panna, widzi pan, z dobrej rodziny, a i wykształcona — widział pan przecie — i posażna... Mają dwie duże kamienice, a jest rodzeństwa troje... dwóch chłopaków i ona... Ojciec da za nią gotówką, gotóweczką, dwadzieścia pięć tysięcy, sam mi to mówił, a potem kapnie co najmniej drugie tyle... Miała też już paru starających, ale jakoś dotąd grymasiła; wiadomo, taka posażna panna może przecie powybierać! Ale panu ona nie zgrymasi, o! nie! Widziałam to już wczoraj i zaraz pomyślałam sobie: Aj, żeby tylko pan Józio miał rozum!

Zatarła ręce z radości i poczęła mrużyć oczy, smakując językiem.

— Ja, niestety, mam rozum! — odparł z uśmiechem pan Józef — mam, choć niby nie chcę mieć, choć się trochę boję! Cały wieczór wczoraj, niech mi pani wierzy, przemyślałem o niej, a i dziś jeszcze rady sobie znaleźć nie mogę! Płakałbym i śmiałbym się zarazem!

Rzekłszy to, porwał się z miejsca, rozdrażniony, łamiąc ręce, dopiero aż po chwili opamiętał się i usiadł.

— Więc mi pani nie odmówi pomocy?— spytał.

Pani Chojnicka patrzyła na niego błyszczącymi oczyma. Podobał jej się w nim ten zapal młodości, którego dawno już nie oglądała.

— Jakżeż! A cóż znowu! — zawołała — sama przecie chcę tego i tak już Izabelkę zawojuję, że...

Nie dokończyła i cofnęła się strwożona, widząc, że młody człowiek porwał się z krzesła, chwycił zrazu za głowę, a potem nachylił się nad przedzielającym go od staruszki stoliczkiem, wołając gwałtownie:

— Jaką Izabelkę?!... Rany Chrystusowe!...

Wściekłość uwięziła mu ostatnią sylabę w gardle, pohamował się jednak niebawem wysiłkiem woli.

— Mnie przecie idzie o Zosię, tylko o Zosieńkę, o to złote złoto moje, kochane! Nie o tamtą, nie o tamtą! — mówił już znacznie spokojniej.

Ale pomyłka staruszki i przestraszony był już nad jej siły. W oczach jej zalśniły łzy, a po chwili poczęła szlochać okrutnie, zakrywając oczy chusteczką.

On chodził przez moment po pokoju, gryząc palce, w obawie, aby nie wydać jakiego nieludzkiego krzyku, który gdzieś czuł w głębi swoich piersi.

Wreszcie, widząc, że staruszka tak rzewnie a tak szczerze płacze, odsunął stolik i torując sobie do niej drogę, rzucił się na kolana u jej stóp, a odciągawszy od oczu jej prawą rękę, począł serdecznie dłoń starej całować.

— Moja złota pani — mówił przytem w przerwach — ja już taki waryat!... To trudno!... Ale, bo i zkąd pani mogła przyjść na myśl tamta!... Cóż mi ona? Ja chcę Zosieńki — i nic, nic więcej na świecie.

I puściwszy rękę staruszki, podrażniony tem wszystkim, sam uczuł łzy w oczach i opierając głowę na rękę, omal nie wybuchnął łkaniem.

Stara dama, widząc ten jego wysiłek, ochłonęła cokolwiek. Łzy toczyły się jeszcze z jej oczu, ale już chusteczkę odjęła i ujmując w obie dłonie głowę klęczącego „pana Józia,” poczęła pocieszać go i tłumaczyć się zarazem.

— Ja myślałam... — mówiła ostrożnie, bojąc się go urazić.—Ja przecie nie wiedziałam... Mój panie Józiu!... Przez pamięć na Amelkę... na mamusię pańską... przez życzliwość dla pana... Zdawało mi się... Mój panie Józiu!...

Żal mu się zrobiło przyjaciółki matki, a uczuł też i wstyd za swoją niemężkość i niepowściągliwość. Uspokoił się siłą woli zaraz, ucałował ręce staruszki i siadł obok niej na kanapce, chmurny jeszcze i zły, a jednak już rozbrojony.

Patrzył przed siebie w zamyśleniu, a stara dama nie przerywała milczenia.

Naraz obrócił się do niej, ujął znów gwałtownie jej suche dłonie i spytał zcicha, pokornie, starając się spojrzeć jej w oczy:

— A Zosieńka? Kozaczek? Czyby mi pani i z nią mogła dopomódz, poradzić, poprzecć mnie u niej?... moja pani! Niech pani się tem zajmiej!...

Rozczulił ją znowu tą prośbą.

— Jaki pan Józio wykapany ojciec! — poczęła, snując widocznie wspomnienia.— Tak samo, jak on, hurum, burum, gwałt, rwetes, a potem, jak zacznie prosić, doprawdy miód, sam miód czysty! Oj! panie, panie Józefie!... Zosieńka tedy, dobrze! Czemu mi to nie było tak odrazu powiedzieć?

Ucałował jej rękę z uśmiechem.

— Pomoże pani? — spytał.

Staruszka klasnęła w ręce, jakby sobie naraz coś przypomniała.

— O! Maryo Najświętsza! — mówiła. — Co mnie też dziś tak zaślepiło! Prawda! Przecie to ta koza wszystkie te głupstwa przez pana wczoraj wyprawiała! Tak, ależ tak! Teraz widzę!

I zakładając ręce z podziwieniem, dodała.

— A to mały bąk!

Pan Józef aż zachichotał z uciechy.

— Ej, kiedy tak, to już moja rzecz! — mówiła dalej stara dama z otuchą. — To już

dobrze!... Mój złoty panie! Widzi pan... tylko się pan nie rzucaj zaraz.... Cierpliwości... Widzi pan, ja myślałam: pan ma rozum... to jest... źle mówię... pan może chce sobie—tak myślałam — los odrazu ustalić... Tamta...

Pan Józef ścisnął ją za rękę z niemą prośbą.

— No już nie będę, nie będę! — mówiła. — Zosia, Zosieńka, już tylko ona, dobrze! Zosienkę znam od dziecka i rodziców jej znałam. Mieli sporą folwarczynę, ale to jakoś nie szło. Potem tu się przenieśli... on pracował, ona pracowała... i znowu nie szło. Ale dziecinę jedyną chowali jak najlepiej, kształcili... ba! czego ona nie umie! I języki — i gra bardzo ładnie — i egzamin jakiś tam rządowy, ma — i jest tego... tego... nawet jakże to... a! freblówką w jakimś ogródku, jakimś tam dyable...

Pan Jasinowski buchnął śmiechem.

— Podobno to także nauka, tylko z gimnastyką, czy coś, e! licho tam zna te nowe wymysły!... W każdym razie, to nic złego podobno, a tylko dwie godziny w południe zajmuje, resztę ma na bieganie za lekcyami...

— A rodzice? — przypomniał młody człowiek, zasłuchany jak w baśń.

— Boże Świąty!... Sierocina już dziś, sierocina zupełna!... Rodzice, to się pozamartwiali i tak jakoś umarło jedno w dwa lata po drugim — on naprzód, potem ona. Właśnie cztery lata temu... Ale Zośka była harda, choć miała wtedy dopiero szesnasty... Matka mi ją poleciła, ale zrób tu co z kozakiem! Siedziała mi tu trzy tygodnie, płacząc po całych dniach, wreszcie gada: „Dziękuję paniusi! Czas mi o sobie pomyśleć! Ja dużo umiem, reszty się douczę, a tymczasem zacznę pracować lekcyami! Dziękuję paniusi stokrotnie! Niech to pani sam Pan Bóg zapłaci!“... Wołam tedy do niej: „Pleciuga, gdzie idziesz, po co? A cóż ty chcesz robić na świecie sama?“... Ale ona nic: „Idę, idę, idę!“ — plecie swoje... I ot, poszła... Odwiedziła mnie w tydzień, na chwilkę, a mówiła: „Paniusiu, lekcyje trzy już mam, a będzie więcej! Za miesiąc sprawię mamusi na grób metalowy wieniec i zawieziemy go z paniusią razem!“... I bąk uciekł znowu, nie chcąc słuchoać żadnych perswazyj!... Taka to już była!...

— A teraz? a dziś? — spytał gorączkowo pan Józef.

— A toż ją pan przecie widział — odparła staruszka — Taka, jak była... Całe dnie

biega za lekcyami. A mówi, że ma już nawet oszczędności. I rzeczywiście, wystaw pan sobie, dawała mi już przed rokiem dwieście rubli do schowania, alem jej poradziła premiówkę i nawet sama jej jedną z moich oddałam. Chciałam jej dać taniej, tak sobie, bo mi to uciechę robiło, ale bąk uparty dowiedział się gdzieś w kantorze, co to warto po kursie — i ani rusz! W tydzień odniosła mi resztę!... Nie, to nie! — myślę sobie. Wzięłam, bo i co z taką zrobić?

— I pani pomogłaby mi do zyskania tego skarbu? Pani byłaby tak dobra? Moja złota pani! — zawołał znów pan Jasinowski, cały wzburzony.

Staruszka widocznie już zapominająca o poprzednim zajściu, pomyślała chwilę.

— Mój panie Józiu! — zaczęła tonem perswazyi.—Widzi pan, życie dziś takie ciężkie... Ja stara, a patrzyłam na biedę mamy pańskiej... Mój kochany panie... Chciałam dla pana lepszego losu... Dwudziestu pięciu tysięcy gotówką, a później więcej, nie znajduje się już dzisiaj na drodze. A Zosienka, choć dobra, zacna, pracowita, złocista — sam pan wie — niema tego przecie, a pewnie i ni-

gdy nie będzie miała... Ale chce pan — pańska wola szczerza — co mam robić?... Dobrze, pomogę z całego serca.

Pan Józef jakby nie słyszał zgoła tego wszystkiego, spytał tylko z ciekawością:

— Kiedybym ja ją mógł znowu zobaczyć?

— Zosię? — spytała jeszcze pani Chojnicka, jak gdyby nie była pewna, czy jej perswazyje nie odniosły przypadkiem skutku.

Młody człowiek zachnął się trochę niecierpliwie:

— Zosię, Zosieńkę, Zosieczkę, Zonię! — recytował w zapale — ja jedną tylko!

I śmiał się przy tem szczerze.

— No, już ja to obmyślę — mówiła staruszka — już ja się tem zajmę, jakby mi o syna chodziło...

— Możeby jutro? — wtrącił.

Staruszka pomyślała.

— Ej, nie! — odparła. — To zawczesnie... Niech mi pan Józio ufa... Lepiejby we środę... we czwartek... toby mi ją tu było łatwiej ściągnąć... We środę! — zdecydowała.

— Ale przez rany Boskie! — znów zaczął z trwogą, jakby sobie coś nagle przy-

pomniat — przecie jej pani nic z góry nie powie o tem, cośmy sobie ułożyli?... Nic jeszcze, moja złociuchna pani... Niech nie wie że mnie tu spotka.

— E! za kogóż mnie pan ma? — odparła. — Ja sama jeszcze przecie chcę wam się przedtem przypatrzeć, rozważyć, boć wam dobrze życzę. Już pan tylko licz na to, że we środę spotkasz ją tu u mnie, co bądź by było... Ona od szóstej wolna, a to jeszcze dzień... Ona tu będzie...

Pan Józef nie mógł już usiedzieć na miejscu.

Porwał się, ucałował gorąco kilkakroć ręce starej przyjaciółki i wracając z przedpokoju po kapelusz, którego w pośpiechu zapomniał, dodał jeszcze:

— Pojutrze, we środę, szósta! Moja pani! Moja złota pani!

I wybiegł, jakby oszołomiony swem szczęściem.

*

*

*

Po odejściu młodego człowieka pani Chojnicka siedziała czas jakiś w zadumie, zapa-

trzona przed siebie, z rękami splecionemi na kolanach. Widocznem było, iż niespodziewane żądanie młodego zapaleńca spadło na nią zbyt nagle i oszołomiło ją na czas pewien zupełnie. Wprawdzie w pierwszej chwili, pod wrażeniem jego błagań, przyrzekła mu pomoc i cofać się już nie mogła, ale teraz dopiero przyszło jej na myśl, że to może być nie tak łatwa sprawa, wymagająca wielu zabiegów i kłopotów, które ją już z góry niepokoiły.

— Po com ja się tego podjęła? — pomyślała z wyrzutem.

Wiodąc dziś spokojny i wygodny żywot, bez pożądań, ale i bez trosk żadnych, była przekonaną, iż nie potrafi przejąć się goręcej żadną cudzą sprawą i zasklepiła się powoli w pewnem samolubstwie, które jednak toczyło jeszcze nieraz zacięte spory z jej czułem, szlachetnem i z gruntu dobrem sercem. Na dnie tego serca nosiła bowiem zawsze jeszcze wielką i niezabliźnioną nigdy ranę: pamięć o jedynej córeczce, którą Bóg zabrał dziewięć-letniem dziecięciem i nie dał już nowej pociechy. Był też czas, iż oboje z ukochanym mężem, dotknięci do żywego tem nie-szczęściem, nie mogli sobie miejsca znaleźć na świecie i sprzykrzyli sobie życie, mimo do-

statków, które właśnie wówczas, jak gdyby dla ironii, drzwiami i oknami poczęły płynąć do ich osieroconego domu.

Długi szereg lat przeżytych nie dał im zapomnienia, ale przyniósł ulgę i spokój, a Chojnicki, umierając, miał tę pociechę, iż pozostawia los żony nie tylko najzupełniej zabezpieczonym, ale poprostu świetnym.

Nie posiadając zgoła bliższych krewnych, a zrażona do bardzo dalekich, którzy ją zaraz po zgonie męża poczęli zasypywać natrętnemi żądaniami, pani Chojnicka wyrobiła w sobie pewną nieufność do ludzi i podejrzliwość, a te się zakorzeniły i odtąd trudno jej było z nich się otrząsnąć. Bardzo oszczędna, strzegła pilnie pozostawionego przez męża majątku, nie wydając zaś ani połowy rocznych dochodów, ciągle go pomnażała. Z obawy przed ludźmi, przyznawała się tylko do „małego kapitaliku“, znajdowała też wiarę u wielu, z jedynym wyjątkiem pana Józefa, ten bowiem pamiętał dobrze z dzieciństwa, że już przed dwudziestu laty, Chojnickiego liczone co najmniej na osmdziesiąt tysięcy, a wiedział też i o domu podmiejskim, nabytym na rok przed zgonem. Ani go to jednak grzało, ani ziębiło, nie myślał więc o tem i nigdy też

nie dotknął tej sprawy wobec starej przyjaciółki matki.

Przywyklszy po śmierci męża do samotności, pani Chojnicka zazwyczaj sama nie szukała ludzi, choć się przed nimi nie zamykała. Przypomniawszy sobie kto ze znajomych o niej i przyszedł — dobrze, przyjęła go z ochotą; nie zjawiał się nikt przez czas dłuższy — nie żałowała nigdy.

Niekiedy, przez parę dni zrzędu, poprzestawała na towarzystwie młodej dziewczyny, służącej, bardzo do swej pani przywiązanej, a skromnej i małowównej, przed którą przy rannem sprzątaniu salonu mogła się wygadać do woli — i to jej wystarczało. Rachunek ze starą kucharką, narada nad obiadem, czytanie jakiej nowej powieści polskiej lub francuskiej, branej z pobliskiej czytelnicy, wypełniały w takich razach zwykle codzienny tryb życia. Przerывała go czasem jaka obowiązkowa wizyta, którą złożyć należało, czasem ślub lub pogrzeb, interesujący ją z dawnych znajomości, a przy prawdziwej, choć nie przesadnej pobożności, odwiedzała chętnie większe nabożeństwa, nawet w dalszych kościołach, nie dbając o wydatek na dorożkę. Co roku nadto, w dzień zgonu męża, zama-

wiała uroczystą mszę żałobną i składała ci-
chaczem kilkadziesiąt rubli na jaki cel dobro-
czynny.

Zosię kochała szczerze — ale po swoje-
mu. Przyrzekłszy umierającej przyjaciółce za-
jąć się losem nieszczęsnej sieroty, chciała rze-
telnie dopełnić tego obowiązku, gotowa też
była zawsze dziewczynie dopomódz, a stałe
nosiła się z myślą uczynienia legatu w te-
stamencie na rzecz dziewczyny.

— Dużo jej nie dam — myślała często—
ale pięć lub dziesięć tysięcy będzie po mnie
święcie miała. To się należy pamięci moje-
go utraconego skarbu i niebo mu wyprosi —
dodawala, zalewając się łzami.

Harda i ambitna dziewczyna uwolniła ją
jednak od kłopotu opieki swoją stanowczo-
ścią i uporem, których stara dama przełamać
nie umiała.

Po pewnym czasie, gdy minął pierwszy
żał do dziewczynyny za jej oporność, pani
Chojnicka uczuła dla Zosi nawet pewną
wdzięczność, za to, iż tak szlachetnie zdjęła
z jej ramion całą odpowiedzialność, która wy-
dawała jej się ciężkiem brzemieniem i budzi-
ła niepokój o zamącenie zwykłego trybu ży-

wota, gdyby dziewczyna przy niej miała mieszkać.

Owego wieczora, po odejściu pana Józefa, otrząsnąwszy się z długiej zadumy, staruszka myślała już tylko o Zosi i o tem, co ona też powie, gdy ją dojdzie zaproszenie na środę, które stara dama postanowiła wysłać do niej już jutro rano, wystylizowane krótko a tajemniczo i wspomnieć w niem o swej samotności i opuszczeniu.

Liścik musiał być przekonywający, odniósł bowiem nadzwyczajny skutek. Za ledwie staruszka zdrzemnęła się we wtorek po obiedzie, odezwał się u drzwi dzwonek i wbiegła Zosia, która nie czekała środy, lecz przybywała czempędzej, jak mówiła, z litości nad opuszczeniem starej przyjaciółki rodziców.

Pani Chojnicka omal nie krzyknęła, jakby na widok ducha.

— Dziewczyno, zlituj się, a ty tu po co dzisiaj? — zapytała mimowoli.

— Jakto po co? — odparła Zosia. — A! jeśliś niepotrzebna, to się zaraz wynoszę! — dodała z udaną obrazą.

— Ej! A zaraz: „wynoszę!“... Zostańże i siadaj!

— Pisze mi pani: „Jestem samotna, opuszczona“ — poczęła dziewczyna, siadając — więc myślę sobie: po co i na co mam czekać jakiejś tam środy, dziś zaraz pójdę, no i przyszląm.

— No, a zkądże ty masz czas dziś tak wcześnie?

Zosia machnęła ręką.

— Przecie to już się wakacje zaczynają — odparła. — Codzień ubywa mi lekcyj, ale to nic, bo przy paru zawsze zostanę, a zapasy porobiłam.

— O! biedactwo! — wyszeptała starszka z politowaniem.

— Eh, proszę pani, nic mi nie będzie! Przecie tak bywa co roku i ja na to jestem przygotowana.

Nastała chwila milczenia.

— Ale czemu to pani — poczęła znów dziewczyna — zapraszała mnie na jutro, środę, nie na dzisiaj?

Pani Chojnicka zmieszala się, jak dziecko schwytnane na gorącym uczynku.

— Może będzie jutro więcej gości? — dorzuciła szybko Zośka, badając wzrokiem zakłopotaną staruszkę. — Może będzie pan-

na Izabella?... Może pan Józef?... Może jeszcze kto więcej?...

— Ej, pleciugo! Goście!... Także mnie tam gościć!... Pan Józef... Co mnie on obchodzi? — wypierała się staruszka, spuszcza-
jąc oczy, jakby się rumieniła za swoje kłam-
stwo.

Po wargach dziewczyny przeleciał nie-
znacznie chytry uśmieszek.

— A to dobrze! — zawołała śmiało, bez
zająknięcia — dobrze, że dziś przyszła, bo
jutro i takbym przyjść nie mogła...

— A to dlaczego?

— Nie mam jutro ani chwilki czasu.

Biedna pani Chojnicka poczęła szybko
mrugać oczyma, jak gdyby była bliska
płaczu.

— Musisz przyjść, Zośka, jutro — rze-
kła z wysiłkiem — bo... bo...

— Bo co? — podchwyciła dziewczyna.

Staruszka widząc, że na nic się nie zda
dalsza walka z tym „bębnem“ i że omal się
już ze wszystkim nie wygadała, uderzyła
w pokorę.

— Bo... bo... ja cię bardzo o to pro-
szę! — mówiła dziwnie miękkim, łamiącym
się głosem.

Wzruszona tym głosem dziewczyna, przestała się już teraz drożyć i żalowała szczerze tego trzpiotostwa. Nachyliła się błyskawicznie do ręki staruszki i poczęła całować ją długo, bardzo długo i łasić się z wdziękiem młodej kotki i patrzeć jej czule w oczy.

— Przyjdę, przyjdę, przyjdę! — powtarzała pieścotliwie przy tych czułościach.

Wiedziała już teraz wszystko, co jej trzeba było wiedzieć. Zręcznie tłumiona radość jaśniała na jej młodej i wdzięcznej twarzyczce, była już bowiem pewną swego domysłu i ani na chwilę nie wątpiła, że idzie tu o młodego człowieka, którego poznała w niedzielę.

— Poczekajcież! — pomyślała.

Sama już teraz unikała rozmowy o jutrze i posiedziawszy jeszcze godzinę, podniosła się, żegnając starą przyjaciółkę.

— Do jutra, moja złota paniusiu? — szepnęła na odchodnem.

Pani Chojnicka wyprowadziła ją do samych drzwi i całując ją w czoło, narzekała jeszcze:

— Co mnie ty, Zośka, zdrowia kosztujesz!

Dziewczyna zrobiła niewinną minkę.

— Ja? Ale to z miłości do... do... pani!

— Ej, ty, ty, ty! — groziła stara.

*

*

*

Nazajutrz od samego rana staruszka krzątała się pilnie nad przygotowaniami do przyjęcia gości, doglądając wszystkiego i gderząc nawet na obie służące, gdy czegokolwiek nie robiły po jej myśli. Pomimo, iż wczoraj wypierała się się przed Zosią, pragnęła jednak tym razem wystąpić okazalej i zaprosiła około dziesięciu osób z pośród bliższych znajomych, nie licząc panny Zofii Rucińskiej i pana Józefa Jasinowskiego, którzy mieli być cichymi bohaterami tego zebrania.

Wpśród zaproszonych znajdował się pan Broniewski z córką, śliczną młodą wdową, jeden z najdawniejszych przyjaciół rodziny, dalej panna Poziemska, młodziutka kuzynka męża nieboszczyka, z ciotką, wreszcie pan Korecki z żoną i dwiema córkami, oraz panna Izabella z matką i jednym z braci, który kształcił się w Heidelbergu i na pewien tylko czas odwiedził Warszawę.

Zadowolona z siebie pani Chojnicka, przejęta obowiązkami gospodyni, była niezadowolona.

Przedewszystkiem, już od ósmej, musiała ustąpić z salonu, gdzie przez dwie blisko godziny odbywało się strojenie fortepianu, o co Zosia już od paru tygodni się dopominała, grywała tu bowiem często, gdy nie było nikogo. Przy obcych nie chciała nigdy zasiąść do fortepianu, ale pani Chojnicka, sama niegdyś dobrze grająca, wiedziała, iż dziewczyna ma prawdziwe zdolności, od małości w dobrej szkole kształcone, choć w ostatnich czasach, zajęta lekcyami, nieco grę poważniejszą zaniedbywała. Dziś staruszka postanowiła zmusić dziewczynę do popisu i już z góry cieszyła się z tego, pewna zupełnie jej powodzenia. Mogła zresztą zagrać lub zaśpiewać młodsza panna Korycka, ucząca się także śpiewu, słowem, przy większem zebraniu fortepian mógł się bardzo przydać.

Oprócz podwieczorku z kawą, ciastkami owocami, konfiturami i winem, miała być nadto podana i kolacja gorąca, zaproszenia opiewały bowiem „na herbatę“. Kolacja została już wczoraj ułożona ze starą kucharką, która się ucieszyła, że będzie mogła znów się

popisać, jak to nieraz bywało za nieboszczyka pana. Z kredensu wydobyla też staruszka bogatą i piękną zastawę stołową, od lat paru już nieruszaną i sama zajęła się nakryciem w jadalnym pokoju. O czwartej stał już tam stół, gotów na przyjęcie potraw i gości.

Najpierw, bo już w kilkanaście minut po piątej, wpadła Zośka, a na jej widok pani Chojnicka aż krzyknęła z podziwu.

— Zosiu, Zosiu! — zawołała uradowana — jakże ty się ślicznie ubrałaś, jakże ci w tem dobrze! No, już teraz wszyscy głowy potrącą dla ciebie.

— Ej, cóż tam! Skromna nowa sukienka — tłumaczyła się dziewczyna. — Byłam już tak obdarta...

— Skromna... ale jakże to wybornie dobrane — podziwiała staruszka — jak szykownie zrobione. — Oj, Zośka! — poczęła jej grozić. — Ty mi dziś jednego chłopaka na nic zgubisz!

— Jednego? To więc będzie ich dużo? — podchwyciła dziewczyna z fiołkowemi oczyma.

— Zobaczysz. — odparła krótko pani Chojnicka.

Złotowłosa dziewczyna zrobiła wówczas nadąsaną minkę.

— Więc dobrze się domyślałam, że tu dziś będzie sporo gości? — rzekła z udaną wymówką! — A! niedobra pani! A gdybym też tak przyszła była podskubana, jak geś?

— Ej! co ty wiesz! Tobie we wszystkim dobrze...

— Tak się to mówi... A wie pani, czemu przyszłam umyślnie tak wcześniej? — mówiła dalej nieco już smutniej Zośka — bo jakżeby to wyglądało, gdybym przy gościach wchodziła do salonu sama?...

— Słusznie, rybeńko, słusznie. Dobrześ zrobiła!

— A ktoś dziś będzie? — spytała jeszcze Zosia.

— Nic ci nie powiem. Zobaczysz sama. Znasz prawie wszystkich.

Dalszą rozmowę przerwał dzwonek u drzwi.

— Oho! Już! — szepnęła Zośka, rzucając okiem w zwierciadło.

Młoda służąca, czekająca w pogotowiu, przebiegła przez salon do przedpokoju, a po chwili wkroczyli państwo Koreccy z dwiema córkami, witani w progu przez gospodynię.

— Pani dobrodziejce! — przemówił pan Korecki, całując rękę starej damy.

— Witam, witam!

Nastąpiła serya całusów pań — i niebawem pierwsze miejsca zostały zajęte.

Zosia знаła się z pannami Koreckimi, jakkolwiek zdaleka.

Przy swej urodzie i pomimo starannego wykształcenia, miały one w obejściu pewną sztywność, mówiono też o nich, że noszą z sobą swoje posagi, które ojciec ciągle pomnażał przez szczęśliwe spekulacje domami.

Wobec Zosi, zaczęły się zachowywać z pewnem łaskawem pobłażaniem, ale sprytna dziewczyna zdobyła się dla nich na uprzejmość i zasuwała się w cień wobec nich umyślnie, śmiejąc w duszy, że przyjęły to, jakby im się istotnie należało.

Znów dzwonek, który tym razem Zosia mocniej odczuła i przez chwilę nie śmiała ku drzwiom spojrzeć.

Spotkał ją jednak zawód.

Był to bowiem pan Broniewski z córką, wdową, młodą i śliczną osobą, pełną wrodzonej a wykwiłnej swobody w obejściu, ale zarazem bardzo miłą i naturalną. Ubrana w skromną, choć kosztowną suknię, właściwą na

pierwsze miesiące po wyjściu żałoby, była ona prawdziwie pociągającym zjawiskiem.

Państwo Koreccy nie znali młodej wdowy, która dopiero od paru tygodni bawiła w Warszawie u ojca, przebywszy na wsi cały czas żałoby po mężu. Nastąpiła więc wzajemna prezentacya, a pan Broniewski przywitawszy się z Koreckimi, zwrócił się zaraz do Zosi.

— Cóż panna Zochna porabia? — pytał stateczny jegomość, trzymając obie dłonie płoniącego się dziewczęcia i patrząc jej w oczy.— A nie było to sobie przypomnieć o starym przyjacielu rodziców? Rok właśnie mija, jak panią spotkałem tu, u pani Chojnickiej i prosiłem, abys o mnie pamiętała, aleś wzgardziła moją znajomością.

— O nie! — zaprzeczyła wzruszona Zosia.

— No bądźmy teraz przyjaciółmi! — dodał.

I podprowadzając piękną dziewczynę do córki, rzekł w rodzaju przypomnienia:

— Panna Rucińska, Helenko!

Wdowa podniosła się i uściskała Zosię serdecznie, a sadzając ją obok siebie i wpa-

trując się w jej twarzyczkę z czułością, wdała się z nią w szczerą, poufałą rozmowę.

Panny Koreckie spoglądały zazdrośnie na tę scenę, porozumiewając się oczami. Obie przywykły do hołdów, jakie nieraz oddawano ich urodzie, szczególnie jednak starsza siostra nie wyobrażała sobie, aby mogła komukolwiek ustąpić pierwszeństwa — i aby takie zwłaszcza „małe“ zebranie nie zajmowało się tylko nią jedną. Przyszła tu dla królowania, a tymczasem berło odbierała jej, przynajmniej na chwilę, jakaś tam nauczycielka, biegająca całe dni za zarobkiem. Siostra i matka podzielały widocznie tę urazę, twarze ich bowiem wyrażały zdziwienie, a myśli obracały się snąc około pytania: „Zkąd taka Zosia przychodzi do takich względów?“ O! tak, w tem coś być musi!

Zjawił się nareszcie pan Józef i witając się serdecznie z gospodynią, szukał już od progu oczyma złotowłosej dziewczyny. Nie znał on tu nikogo z gości, pani Chojnicka więc musiała go wszystkim przedstawić, a trzeba przyznać, że wzrok obecnych zatrzymywał się z pewną przyjemnością na tej postaci męskiej, opromienionej młodością i wielką ochotą do życia, tryskającą z lekkiego uśmie-

chu na twarzy i z błyszczących a nieco wyzywających oczu. Wyświeżony starannie, bez żadnej przesady, swobodny i układny w ruchach i obejściu, pociągał oczy ku sobie mimowoli.

Zosię spostrzegł odrazu, więcej instynktem, niż oczyma, musiał jednak poprzestać na oddaniu jej ukłonu z oddali, nie można się bowiem było do niej dostać przez grono gości, otaczające kołem stolik przed kanapą.

Złotowłosa panienska odpowiedziała mu skinieniem główki, ale zaraz odwróciła się do pięknej wdowy i nie spojrzała więcej w jego stronę.

Jedynie wolne krzesło zostało obok młodszej panny Koreckiej, aby więc nie okazać się niegrzecznym, usiadł tam pan Jasinowski i rozpoczął żywą rozmowę z obiema siostrami.

Gwiazda ich znowu zabłysnęła, bowiem całe towarzystwo poczęło z zajęciem przysłuchiwać się tej salonowej paplaninie, jaką poprowadził młody człowiek, znalazłszy w obu pannach doskonałe partnerki, którym nie brak było wprawy i dowcipu w szermierce językowej.

Rozmowa wrzała w najlepsze, gdy w salonie pojawiła się pani Dworzecka z córką i synem, a prawie równocześnie i młodzietka panna Poziemska z ciotką.

Dla zrobienia miejsca przybyłym paniom, wydostała się i Zosia, biegnąc przywitać się z panną Izabellą.

Zaledwie jednak zamieniły słów parę, podsunął się do nich pan Józef, uwolniony z pęt panien Koreckich i wyciągnął do Zosi rękę.

— Nareszcie mogę się z panią przywitać — przemówił z radością, pragnąc uściśnąć serdecznie rękę dziewczyny.

Ku jego niezmiernemu zdziwieniu, podana rączka wymknęła mu się jednak szybko, jakby cofnięta umyślnie, musnąwszy zaledwie dłoń jego drobnymi paluszkami.

Ukłuło go to, jak dotknięcie sztyletu, oniemiał też na chwilę i chmurząc czoło, mierzył dziewczynę zimnemi oczyma, w których odbijał się gorzki wyrzut.

Zosia, która sama nie pojmowała przyczyny tego swego dziwactwa, spuściła oczy ku ziemi, okrutnie pomieszana. Wszystka krew zbiegła jej do serca, uczuła też chłód w całym ciele.

— Pani... widocznie... — zaczął pan Jasinowski, lecz urwał, przygryzając wargi.

— O co to idzie? — spytała panna Izabella, nie wiedząc o niczem i tylko domyślając się jakiegoś nieporozumienia.

Zamiast odpowiedzi, Zosia podniosła rozżalone oczy na młodego człowieka i w jednej chwili wyciągnęła doń ponownie rękę.

— O, tak! — mówił teraz pan Józef, ściskając zimną, jak lód, rączkę dziewczyny. — Dziękuję pani z całego serca i sam proszę o przebaczenie.

Sliczna dziewczyna, widocznie pomieszana, nic już nie odpowiedziała i unikając wzroku młodego człowieka, wszczęła z towarzyszką jedną z tych rozmów, które prowadzi się nieraz tylko dla ukrycia zakłopotania.

Ale pan Józef, pomimo niezaprzeczonej swojej bystrości, nie domyślał się nawet w tej chwili, iż zadał dziewczynie katusze, zmuszając ją niejako do owego powtórnego podania ręki. Owszem, był nawet z siebie zadowolony, a nagły zwrot Zosi z rozmową do towarzyszki uważał za zupełnie naturalny i tłumaczył na swoją korzyść.

— Sprytna! — rzekł sobie — tem lepiej!

A tymczasem Zosia myślała z żalem, iż on mógł być jej oszczędzić przymusu i tej całej sceny, zwłaszcza, że odbyło się to wobec przyjaciółki, przed którą dziewczyna pragnęła za jaką bądź cenę zataić budzące się uczucie. Byłaby mu tę pobłażliwość nagrodziła później sowicie, a teraz widzi, że on jej nie pojął i czuje coś w rodzaju pierwszego zawodu, dziwiąc się, iż to takie jeszcze niewyraźne a takie bolesne.

Spostrzegli nareszcie, iż zbyt na siebie zwracają uwagę wszystkich, odłączając się we troje od towarzystwa. Szczególniej panny Koreckie mierzyły ich ciekawie oczyma.

— Pójdę tam do nich — szepnął pan Józef, odgadując skrupuły obu pańienek i odszedł z ukłonem, który miał oznaczać wzajemne porozumienie.

Na szczęście zbliżyła się chwila podwieczorku i dwie schludnie ustrojone służące poczęły rozstawiać i nakrywać małe stoliki, dla tych gości, co miejsca przy większym nie znajdują.

W jednej z tych dziewcząt poznała Zosia pokojówkę państwa Dworzeckich.

— Wszakże to twoja Marychna — szepnęła.

— Tak, nie mylisz się — odparła panna Izabella z uśmiechem — pożyczona na dzisiejsze zebranie.

Dziewczyna uśmiechnęła się też nieznacznie do nich, poznając obie panienki.

— Ale trzeba nam się tam zbliżyć — szepnęła panna Iza, biorąc Zosię pod rękę — bo już się wszyscy młodzi ze swoich miejsc ruszają.

Zatrzymawszy się przy otoczonych paroma osobami pannach Koreckich, usłyszały, jak pan Józef, który pierwszy tam podążył, mówił tajemniczo: „Nie pozwolimy na to! Nie damy się!“

— Nie damy się! — powtórzyły z animuszem obie siostry, którym wtórowała też i panna Poziemska, młodziutkie i miłe dziewczątko, a poparł ów okrzyk gorliwie, student heidelberski, brat panny Izabelli.

— A nad czem to państwo spiskujecie? — spytała panna Dworzecka, zwracając się do brata.

— Zaraz się panie dowiedzą — odparł za niego pan Józef, grający tu widocznie rolę przywódcy.

W tej właśnie chwili zastawa stolików została ukończona i pani Chojnicka poczęła skrzętnie zabiegać około ugrupowania gości według swojej woli.

Próżno jednak tym razem komenderowała młodymi: „Tu usiądziesz... tam pan się posunie... państwo przy sobie“... Młodzież bowiem podmówiona przez pana Józefa, który ten despotyzm przewidział, nie ruszała się z miejsca, a w końcu zaprotestowała hałaśliwie. „Sami sobie damy radę, sami się podobieramy!“.

Protest był wyraźny, gospodyni też zaraz dość chętnie ustąpiła, zastrzegła sobie tylko rozdzielenie pańien Koreckich, co jej pan Józef zaprzysiągł uroczyście, z ręką wzniesioną: „Przysięgamy!“ — wywołując nowy wybuch wesołości. Nadto zmusiła pani Chojnicka uroczą wdowę do opuszczenia kanapy, mówiąc: „Do młodych, śliczna paniusiu, do młodych!“ — co znów swawolna gromadka powitała wesoło: „Brawo! Zgoda! Całem sercem prosimy!“.

Piękna pani nie ociągała się wcale, zwłaszcza, iż młodzież ruszyła natychmiast po swoją zdobycz, a panny Korecka młodsza i Poziemska, ujęły ją pod ręce i łasząc się

do niej, jak młode sarenki, wprowadziły uśmiechniętą do wesołego grona.

Rozdzielono się szybko na dwie grupy i niebawem przy stole, przezwanym przez akademika „wielkim ołtarzem“ zostało sześć starszych osób, jeden zaś mniejszy obsiadły: starsza pana Korecka, panna Iza i Zosia, pod przewodnictwem pana Józefa, a przy drugim umieścili się: urocza wdowa, młodsza panna Korecka i miluchna panna Poziemska, w towarzystwie młodego i skłonnego do figlów akademika.

W sztywne nieco z początku zebranie wstąpiło odrazu nowe życie, zapanowała szczerza wesołość i niewymuszona swoboda. Młodzi przestali pozować i zbratali się niejako w jednej myśli wspólnej zabawy. Nawet panny Koreckie, pozbywszy się sztywności, oddały się całej tej swawoli, a młoda wdowa upajała się poprostu tą swobodą, która pozwalała jej w tem kółku zapomnieć o więzach etykiety i szerzej, pełną piersią odechnąć. Jedna tylko Zosia nie mogła się jakoś dostroić i śmiała się znowu nieszczerze, zręcznie to jednak maskując, zadowolona szczególnie z tego, iż zajęty przewodnictwem pan Józef najmniej mógł zwracać na nią uwagi.

Oba mniejsze stoliki, choć rozdzielone, łączyły się ciągle jednak we wspólnej zabawie, posyłając sobie wzajemnie koncepty, uwagi i dowcipne zaczepki. Panował tu ustawiczny hałas, milknący tylko chwilami, a nieraz przerywany wybuchami głośnej wesołości, po jakim zręczniejszym ataku.

Gdy przyszły na stół owoce, zdarzyło się, że student i młodsza panna Korecka, którzy się znali od dzieci, wyciągnęli naraz ręce po śliczną gruszkę, którą jednak pierwiej udało się pochwycić panience.

— Kto pierwszy, ten lepszy! — zawołała z uśmiechem zwyciężkim.

Heidelberczyk wpatrywał się przez chwilę z udanym żalem w rączki panny, obierającej owoc złotym nożykiem, poczem przemówił uroczyście tonem cytaty:

— Ewa jadła sama i podała Adamowi.

— Tak, ale panu nie Adam, mnie nie Ewa, a to gruszka nie jabłko — odcięła się panna.

— Szkoda! — odparł student. Trzeba mi było nie objeżdżać przez Palestynę, ale przemówić wprost do serduszka pani: „Emilciu, pamiętaj o Edziu!“.

— Zabraniam panu mówić do mnie „ty!“.

— Ja, Emilciu? — odparł z minką niewiniątka. — Jabym nigdy nie wymówił „ty“ do ciebie.

— Niech pan przestanie — rzekła panna — bo odejdę!

Młody Dworzecki westchnął, wznosząc oczy w górę:

— O! młodości! — zawołał z komiczną powagą. — Był czas, gdyśmy inaczej do siebie nie mówili!

— Było, ale się zbyło! — odparła panna. — Zabraniam i zakazuję!

Starsi z zajęciem przysłuchiwali się tym odgłosom śmiechu, a pan Broniewski odezwał się do gospodyni:

— A już też dawno nie widziałem tak wesołej młodzieży. Oniby i świętego rozśmieszili. Widzi pani, co zrobili z mojej Heluni? Anibym pomyślał, że dziś jej śmiech usłyszę, a ona rozbawiła się tam na dobre i ciągle chichocze, jak inni. Daj im Boże zdrowie, bo to pierwszy jej śmiech od dwu lat prawie...

Nareszcie, po całej godzinie, ruszono od stolików, ale raz nawiązany węzeł swobody nie rozerwał się już przez cały wieczór. Wszyscy szukali teraz zabawy, dla niej sa-

mej, znajdując szczególny urok w tem zrzuce-
niu z siebie więzów dorosłych ludzi. Roz-
bito się na pary i grupy, które krążyły
po sali, wiodąc żywe rozmowy pomiędzy sobą.

Pan Józef, który podczas podwieczorku
musiał się oddać wyłącznie ogólnej zabawie
i nie mógł z Zosią samą nawet jednego zda-
nia zamienić, zauważył już wówczas, że
dziewczyna bronila się jakoś porywowi we-
sołości i uparcie przez cały czas unikała je-
go wzroku.

Rozżalony, pełen najgorszych przeczuć
i domysłów, które zawładnęły jego wyobra-
źnią, nie przyłączył się teraz do żadnego
grona i począł szukać okazji zbliżenia się do
ślicznej dziewczyny, aby choć parę wyra-
zów przemówić do niej bez świadków. Ale
mimo wszelkich manewrów, okazało się to
trudniejszym, niż sobie wyobrażał. Zosia,
trzymając się umyślnie towarzyszek i udając
wielkie zajęcie rozmową, tak zręcznie lawi-
rowała w przechadzkach po salonie, iż mło-
dy człowiek nie mógł jej zaczepić, bez zwró-
cenia na to uwagi paru osób.

Kilka razy schwycił jej spojrzenie i usi-
łował oczami powiedzieć: „zlituj się! nie
dręcz!“ — ale oczy jej zatrzymywały się na

nim tylko przelotnie, jakby przypadkowo i nie wyrażały nic, prócz jakiegoś zamyslenia, które mógł poczytać nawet za obojętność. Krew burzyła się teraz w jego żyłach, uczuwał pewną zawziętość, miał nieprzewartą ochotę kląć głośno, lub zgrzytać z gniewu zębami, a jednak nad całą tą mieszaniną uczuć górowała zawsze ochota upadnięcia jej do stóp i owa prośba: „nie dręcz!”.

Niestety, nie domyślał się wcale i nie mógł się domyślić, że ona jednak nie czyni tego bezmyślnie, lub w celu pustej kokieteryi, i że sama potrzebuje teraz od niego litości i pobłażania.

O! bo nie była, jak inne!...

Krótkie dotąd, a pełne zmian życie urobiło z tej rozpieszczonej w dzieciństwie, później zaś tak Nielitościwie odartej z dostatków i osieroconej jedynaczki, jedną z tych natur subtelnych, wydelikacyonnych, czułych, jak mimoza, które idą za pierwszym wrażeniem choćby tego później przyszło żałować. Sama się dotąd z tej strony nie znała. Odrzuciwszy po śmierci rodziców opiekę pani Chojnickiej i zadowolona z tego, iż sama może sobie pracą wystarczać, uważała się za zahartowaną na wszystko — złe, czy dobre.

A to poczucie własnej siły dawało jej ową rezolucję i ochotę do życia i śmiechu, za którą tak ją wszyscy lubili.

Dopiero ta nieszczęsna niedziela zachwiała ją cokolwiek w tych przekonaniach.

Oto bowiem bez żadnego zastanowienia, poddając się z jakimś bezwiednym lenistwem pierwszemu wrażeniu, porwana urokiem młodego człowieka, spostrzegła ze zdziwieniem, iż zaprzętnęła nim sobie główkę odrazu i broniła się już napróżno myślom, które jej uparcie obraz jego nasuwały. Gniewała się zrazu za to sama na siebie, ale w tem poddaniu się dobrowolnem odnalazła czar jakiś, który ją nęcił i pociągał do siebie.

Mimo to, przywołała do pomocy cały swój rozsądek, którego jej nigdy nie brakło i nie obiecywała sobie nic prawie po dzisiejszem spotkaniu, ciesząc się samą myślą, że go zobaczy. Niczego więcej dziś nie pragnęła, owszem, chciała koniecznie ukryć jeszcze swoje uczucie przed wszystkimi, a szczególnie przed nim samym — i napięścić się jeszcze w skrytości swoją tajemnicą.

A tymczasem on zniweczył cały urok tego spotkania swoją śmiałością, z jaką przy-

owem podaniu ręki zmusił ją niejako do uznania swojej przemocy.

Zachowała za to skryty żal do niego i buntowała się teraz w duchu przeciw sobie samej, a jednak wiedziała, że muszą się dziś jeszcze rozmówić ze sobą. Pragnęła tego nawet, ale miotana sprzecznymi uczuciami, chciała przynajmniej zyskać na czasie i odwlec tę rozmowę. W głowie uczuwała szum, a w sercu trwożę, która odbierała jej spokój.

Ach! — myślała z pewną goryczą — przecie on powinien to pojąć, jeżeli ma dla mnie odrobinę serca!

Jeszcze chwilka wahania — i dobre jej serce powzięło rozpaczliwe postanowienie zbliżenia rozmowy. Gdy też on raz jeszcze przesunął się obok niej, mierząc ją chłodnym wzrokiem, spojrzała na niego łaskawiej i pod jakimś pozorem wysunęła rękę z pod ramienia młodziutkiej panny Poziemskiej, postępując przed siebie nieprzytomnie.

Domyśliła się też tylko, bo nic nie widziała, że pan Józef podbiegł zaraz i zatrzymał się przed nią.

— Pani na mnie jakoś bardzo nie łaskawa? — począł cicho, ostrym, jakby nieswoim głosem.

— Pan się myli — szepnęła, nie podnosząc jeszcze oczu i czując, że jej tchu w piersiach brakuje.

— Ja pani wcale nie poznaję! — dodał gniewnie.

— Czemu? — wyszeptała cichutko, wierząc jeszcze, iż czepia się tem pytaniem jakiegoś ratunku.

— Bo pani dziś inna, o! i jak inna! — mówi znów on oschłym już od gniewu szeptem.

Ona milknie, żal bowiem ściska jej serce i tamuje słowa na wargach.

— Od niedzieli dużo dla pani czasu do środy upłynęło — dodaje znowu on z gryzącą ironią, zaciskając niemal zęby.

— Ja pana nie rozumiem — broni się jeszcze biedna dziewczyna, złamana już zupełnie.

— Ale ja panią rozumiem, — odpowiada pan Józef z jakąś zawziętością, która odbiera mu wszelką rozwagę. — Ja panią pojmuje! Już przy powitaniu ręka moja sparzyła widocznie panią, jak ukąszenie gadu i musiała się pani przezwyciężać, aby mi dłoń swoją pozwolić uścisnąć.

Zosia, dotknięta do żywego, zachwiała się teraz całą postacią, ale zbierając ostatki sił, podniosła oczy i szepnęła z wysiłkiem:

— O! nie powinien był pan tego mi wypominać! O! nie powinien! — powtórzyła dobitniej, z bezgranicznym żalem.

A gdy młody człowiek, uderzony nareszcie ławym oddźwiękiem w głosie dziewczęcia, począł teraz dopiero pojmować swoje straszne zaślepienie, rzekła jeszcze szybko, błyskawicznie, płacąc ironią za ironię:

— Dobraliśmy się! bo i ja innym sobie pana wyobrażałam!

I zawróciwszy się w miejscu, zanim zdumiony pan Józef zdołał głos odzyskać, odeszła zwolna ku pani Chojnickiej, czepiając się bezsilnie, kurczowo, jej ramienia.

Pan Józef teraz nareszcie wszystko zrozumiał.

— O! bodajto pioruny zabiły! — pomyślał, szalejąc z rozpaczy i mimowolnie załamując ręce.—Co ja zrobiłem! Boże! Co ja zrobiłem!

Tymczasem stara dama dostrzegła snąć wzruszenie dziewczyny.

— Co ci to, Zosieńko? — spytała.

— Nic, nic, złota pani!

— Drżysz cała...

— Nie, nie! Zdaje się pani.

I trzymając się ciągle ramienia starszki, obejrzała się po salonie mdlejącym wzrokiem.

— A po co to otwierają fortepian? — spytała, jak we śnie.

— Będzie śpiewała Emilcia Korecka.

— Ale kiedy fortepian nie odpowiada w trzech klawiszach z wiolinu — mówiła, walcząc ze łzami, które cisnęły jej się do oczu.

— Owszem, rybeńko, kazałam nastroić.

— A to dobrze! — odrzekła obojętnie, aby coś powiedzieć.

I czując, że zdołała nareszcie cokolwiek zapanować nad sobą, posunęła się zwolna ku uroczej córce pana Broniewskiego, obok której było wolne miejsce i padła bezsilna na krzesło.

Młoda wdowa, która interesowała się Zosią Rucińską, widziała dobrze całą poprzednią scenę, a teraz już z ociężałości dziewczęcia odgadła jakieś cierpienie. Ale żadna chęć zapytania nie powstała ani na chwilę w jej myśli, z doświadczenia bowiem знаła potrzebę serca ludzkiego, które stara się czasami przytulić do ludzi, ale mimo to, chce być same z sobą.

— Pozwoli pani? — spytała słodko Zosia, czując niejaką ulgę z obrania tego niedostępnego kącika.

— Czyż godzi się pytać, panno Zosieńko? — brzmiała serdeczna odpowiedź.

Poczem wytworna pani, jakby pragnęła do reszty zabezpieczyć obopólną dyskrecyę, szepnęła do dziewczęcia:

— Będziemy teraz z przymusu milczały, bo ta panienska ma śpiewać...

Panna Emilia nie dała się dziś długo prosić, a widocznie była na popis przygotowana, nuty bowiem znalazły się, porzucone na stolyczku w przedpokoju i właśnie przybiegł z niemi swawolny student, mówiąc:

— Masz, drogi skarbie!

Upozowana już przy fortepianie, przy którym dla akompaniamentu zasiadła starsza jej siostra, pogroziła jednak młoda panna Heidelberczykowi bez ceremonii, w oczach wszystkich, poczem dopiero rozłożyła nuty na pulpicie.

Po paru taktach przegrywki, rozległy się dźwięki ślicznej piosenki francuskiej, zaśpiewanej śmiało i swobodnie:

„Voici que j'ai seize ans
On dit que je suis belle,
Adieu, adieu, jeux innocents,
Le monde à lui m'appelle!
Quelle ivresse dans tous mes sens
Toujours fête nouvelle,
J'entends la nuit dans mon sommeil
Chanter la valse que j'adore,
Et le matin à mon réveil
La valse chanter encore!“.

Wszyscy spojrzeli mimowolnie po sobie, doznawszy snac̄ przyjemnej niespodzianki, która się na ich twarzach odbiła.

W miarę, jak się piosenka toczyła, wszyscy zgodzili się na jedno, że głos młodej panny, choć nie nadzwyczajnej siły, ma jednak czarującą czystość i świeżość, a miłym swym brzmieniem wkrada się odrazu do serca. Znac̄ tu było amatorkę, ale z wrodzonymi zdolnościami i w dobrej szkole kształconą.

Gdy ostatnia zwrotka pieśni Chopina, napisanej dla słynnej Viardôt, przebrzmiała, rozległ się zgodny oklask, a młody Dworzecki ukląkł na środku salonu, zwracając złożone dłonie do „kochanej Emilci“, jakby się do niej modlił.

Wszyscy się roześmiali i ponowili oklask, tylko panna Emilia, korzystając z pauzy, po-

wiedziała głośno do klęczącego wciąż wi-
susa:

— Jak pan będzie figle płatał, to już
nic nie zaśpiewam!

Heidelberczyk wstał, jakby podrzucony
sprężyną, obudzając nową wesołość.

Popłynęła niebawem piosnka Gounoda:

„A quoi bon entendre
Les oiseaux des bois?
L'oiseau le plus tendre
Chante dans ta voix.

Que Dieu montre ou voile
Les astres des cieux!
La plus pure étoile
Brille dans tes yeux!

Qu'Avril renouvelle
Le jardin en fleur?
La fleur la plus belle
Fleurit dans ton coeur.

Cet oiseau de flamme,
Cet astre du jour
Cette fleur de l'âme
S'appelle l'Amour!“.

Oczywiście nie dano pannie Koreckiej
poprzestać na tych dwóch piosenkach, lecz
musiała śpiewać kilka jeszcze, włoskich i pol-
skich, a gdy wreszcie ustępowała od forte-
pianu, zasypano ją powinszowaniami.

Na Zosię oddziaływała muzyka zawsze kojąco, a przy obecnym nastroju każdy ton odbijał się w duszy głośnem echem. Była teraz znów panią siebie i gdy się po chwili uci-
szyło, nachyliła się do ucha młodej wdowy, szepcząc cichutko, jak gdyby się zwierzała:

— Ja zagram!

Córka pana Broniewskiego, ścisnąwszy serdecznie dłoń dziewczęcia, poprowadziła ją sama, bez żadnych zapowiedzi, do fortepianu i usiadła za nią na foteliku, w cieniu, odłą-
czona od całej kompanii.

Pani Chojnicka, widząc Zosienkę przy fortepianie, chciała właśnie wyrazić swą radość z tego obrotu rzeczy, gdy pod drobną dłonią dziewczęcia zabrzmiały energiczne akordy jakiegoś pełnego rytmiki utworu, przypominającego marsza.

Śpiew już był dobry, niepowszedni, ale ta gra, pełna serca i uczucia, oczarowała odrazu wszystkich.

Gdy też ostatni akord przebrzmiał, a dziewczyna, nie ruszając się z miejsca, ręce na kolana opuściła, pierwsza powstała wówczas młoda wdowa i przechylając się do Zosi, spytała:

— Coś to grała, Zosiu? — tykając ją niechęćcy.

— „La fanfare militaire“ — odparła krótko złotowłosa dziewczyna.

Tytuł właśnie obiegał z ust do ust, gdy Zosia zaczęła Sonatę Beethovena, którą wielu po pierwszej części poznało, słuchając w skupieniu do końca tego arcydzieła. Była tylko chwilka przerwy, gdy sobie poczęto podawać cichą uwagę: „gra bez nut“ — na co pani Chojnicka odszepnęła: „Co jej tam po nutach?...

Gdy Zosia wstała od fortepianu, wyczerpana i ledwie żywa, a jednak z wyrazem jakiejś błogości na zarumienionej twarzy, ruszyli się prawie wszyscy, najprzód jednak ucałowała ją urocza wdowa, poczem wzięła ją w objęcia pani Chojnicka, ściskając serdecznie i wołając: „Zosiu, Zosiu!“ — trzeci z kolei przysunął się pan Broniewski, mówiąc:

— A to mi panna Rucińska siurpryzę zrobiła!

Otoczyli ją z kolei wrzyscy, a państwo Koreccy, zadowoleni z tryumfu Emilki, pośpieszyli też z pochwałami. Docisnął się wreszcie młody akademik i nie wypadając z roli

urwisa, zawołał z komiczną powagą: „Pani! Pani! Pani!“ — rozśmieszając wszystkich, nawet Zosię, która się szczerze uśmiechnęła.

Gdy nareszcie Zosia wyrwała się z tych opałów i szukała oczyma młodej wdowy, zastąpił jej drogę pan Jasinowski, mówiąc z cicha, nieśmiało, z widocznym drżeniem.

— A odemnie nie raczy pani przyjąć szczerego poklasku?

— Dziękuję — odparła grzecznie dziewczyna, nie patrząc jednak na niego i nie widząc umyślnie jego wysuwającej się do uścisku ręki.

Poczem szepnęła jeszcze słodko: „Przepraszam“ — i postąpiwszy krok naprzód, uczepiła się czempredziej ramienia wdowy.

W tej chwili poczęto obnosić wódki i likiery, z zakąskami, a po paru minutach, spędzonych na zaprawionych konceptami młodego Dworzeckiego traktamentach, otwarły się podwoje do rżęsiście oświetlonej salki jadalnej i pani Chojnicka sama wygłosiła: „Proszę państwa“.

Poczęto się dobierać parami, przy czem akademik ofiarował ramię Emilci, która się jednak drożyła i dopiero po wielu zastrzeże-

niach, zdecydowała się pójść do stołu z przyjacielem dzieciństwa.

Mimo, że panny nie wzbraniały się od skosztowania likieru i dawały dobry przykład, Zosia podziękowała skinieniem ręki i dopiero, gdy towarzyszka, biorąc kieliszek likieru, szepnęła: „A ja radzę, Zosiu, choć usteczka umaczać“ — sięgnęła po kieliszek i wypila do połowy.

Nie spieszyły się obie z zajęciem miejsc u stołu i poczęły spacerować zwolna po salonie.

Niebawem zjawił się znów przed niemi pan Józef, szukający widocznie każdej okazji odezwania się do Zosi i zatrzymując je delikatnie na zakręcie, spytał:

— Pozwolą panie, żebym towarzyszył im do stołu?

Uroczą damą miała ochotę przyjąć tę propozycję, gdy uczuła, iż Zosia zwiesza się u jej ramienia całym swoim ciężarem.

— Wybaczy pan — odparła zaraz jak najuprzejmiej — ale ja z towarzyszką upatrzyłyśmy już sobie miejsca.

Pan Józef, choć czuł żal i zawód, skłonił się głęboko w milczeniu i ruszył do sali.

Zosia, po odejściu młodego człowieka, przytuliła złotą główkę do ramienia towarzysczki i spuszcżając oczy, szepnęła:

— Pani... ty... tyś, Helenko, nic nie ciekawa?

— Nie, Zosieńko — odparła wytworna dama — dość mi, żeś tego pragnęła i żem cię zrozumiała.

Dziewczyna uczuła łzy w oczach i począła z niemi walczyć.

— No, no! Odwagi! — szepnęła dobra pani. — Trzeba nam tam iść już, moja złota! Spokoju!

Zosia siłą woli pohamowała wzruszenie i blada jeszcze bardzo, ale swobodna i wypogodzona, pojawiła się u ramienia przyjaciółki w sali jadalnej.

— A to dopiero! — zawołała na ich widok pani Chojnicka — że ja też mogłam nie spostrzedz, iż pań tu jeszcze niema!

— Niech się pani o nas nie martwi — odpowiedziała młoda dama i obie z Zosią usiadły na wolnych miejscach, obok panny Koreckiej i studenta.

Wesoły nastrój nie opuścił i przy stole zebranego towarzystwa, które wiodło gwarne i ożywione rozmowy. Pani Chojnicka, rzadko

większe grono przyjmując u siebie, pragnęła tym razem wystąpić okazale i zupełnie jej się to udało. Kolacya złożona z paru dań i zakończona lodami, była widocznie dla wielu rodzajem niespodzianki, nie myślano bowiem, że staruszka zada sobie tyle trudu i zdobędzie się na takie przyjęcie.

Pan Broniewski, siedzący najbliżej gospodyni, zauważył też pod koniec kolacyi otwarcie:

— A toż to istna uczta, pani dobrodziejko!

— Czem chata bogata — odparła stara dama, zadowolona jednak z tego uznania.

Było już około dwunastej, gdy nakoniec ruszono od stołu i zabrano znów miejsca w salonie.

Ale tym razem prowadzono już tylko rozmowę dla formy i wszyscy widocznie czekali hasła do odwrotu.

Zosia trzymała się już teraz ciągle swojej pięknej przyjaciółki, a i pan Broniewski korzystając z wolniejszej chwili, przysiadł się do córki i począł figlować ze złotowłosą dziewczyną.

— A to widzę—mówił z radością—przypadłyście sobie do serca, moje śliczne panie!

Za całą odpowiedź ucałowały się serdecznie.

Pan Józef, po niefortunnej próbie zbliżenia się do Zosi, zrozumiał nareszcie, że na dziś przegrał sprawę z piękną dziewczyną i że nie wypada mu być natrętnym. Nie stracił jeszcze dotąd nadziei zgody i nie wyrzekł się niczego, ale czując swą winę, postanowił okupić ją delikatnością, posuniętą do zaparcia się siebie samego. Podczas kolacyi nie ścigał jej oczami, udając zajęcie rozmową z panią Dworzecką, a i teraz na ukradkowe spojrzenia wybierał tylko takie chwile, gdy nie mógł się spotkać z oczyma dziewczęcia.

Porozumiawszy się oczami z córką i Zosią, pierwszy powstał pan Broniewski i żegnając się z gospodynią, dodał:

— Zabieramy ze sobą pannę Rucińską i odwozimy ją do domu.

— O! bardzom z tego rada i bardzo wam dziękuję, drodzy państwo — odparła pani Chojnicka. — Ale czy tylko jest tam już wasz powóz?

— O! z pewnością — rzekł pan Broniewski. — Miał wrócić po nas już od godziny. Ale właśnie za tę godzinę jesteśmy pani

wdzięczni całym sercem — ucałował rękę staruszki.

— Bóg zapłać! — odpowiedziała pani Chojnicka, całując się kilkakrotnie z Zosią i jej towarzyszką.

Odchodzących wstrzymał głęboki ukłon p. Józefa, który widząc pożegnanie, tak się ustawił, że musiał być dojrzany. Pan Broniewski podszedł o krok i uściśnął mocno rękę młodemu człowiekowi, obie panie zaś odpowiedziały mu uprzejmem skinieniem głowy.

Teraz poczęli się wszyscy żegnać i po małej chwili w gwarnym salonie został tylko pan Józef i gospodyni.

Uczuł on znów żal do samego siebie, bo nie takim wyobrażał sobie dzisiejsze pożegnanie z piękną złotowłosą, ale pohamował się zaraz.

— Dziękuję pani — rzekł drżącym głosem, jakby pragnął dokuczyć sobie samemu — dziękuję za wszystko, co pani dziś dla mnie uczyniła...

— A widzi pan, panie Józiu! — odparła uradowana dama — już jak ja co obmyślę, to musi się udać...

Dopiero na pustej już o tej porze ulicy, gdy stróż zamknął bramę za tym ostatnim z gości, rozległ się gorzki śmiech młodego człowieka:

— Ha, ha, ha!... Istotnie się udało!...

*

*

*

Tymczasem pan Broniewski, odwożąc Zosię w swojej karecie, wymógł przez drogę na pięknem dziewczęciu przyrzeczenie, iż musi dom jego odwiedzić. Oczywiście projekt ten był widocznie poddany przez córkę, młoda wdowa bowiem, siedząc w milczeniu, przytulona w rogu karety, uśmiechała się figlarnie, dopiero gdy ojciec skończył, poczęła ze swej strony prosić, ściskając i tuląc do siebie.

— A niech panna Zosia nie myśli — dodał stary szlachcic — abyśmy jej z córką nie oddali także wizyty. Owszem, oddamy z ochotą...

— Ach, gdzieżbym ja... — poczęła z trwożą dziewczyna — gdzieżbym... państwa przyjęła u siebie...

— Moja droga pani — przerwał pan Broniewski — świat jest plotkarzem. Ja też dziś dowiedziałem się już wszystkiego od pani Chojnickiej: pani ma dwa saloniki, urządzone jak bombonierki...

— Ach, ta pani Chojnicka! — szepnęła Zosia zakłopotana.

Gdy karetka zatrzymała się przed bramą domu, w którym mieszkała Zosia, oboje państwo wysiedli z nią także i wśród prześlicznej nocy letniej, wyiskrzanej od gwiazd, gawędzili jeszcze przez chwilę na chodniku.

Wreszcie pan Broniewski zadzwonił, a gdy stróż bramę otworzył, rozpoczęły się na nowo pożegnania.

— Dobranoc, Zosieńko! — wołała córka.

— Ale niech panna Zofia dotrzyma słowa — dodał ojciec.

— Dobranoc!

— Dobranoc!

Znalazłszy się nareszcie w swoim mieszkanku, nie rozbiegając się wcale, zapaliła tylko świecę i padła w kapeluszu na maleńką kozetkę, jakby oszołomiona, oddychając ciężko przez chwilę.

— Ach, Boże, Boże! — szepnęła wreszcie z jakimś uczuciem ulgi.

Potem, jakby sobie coś przypomniała, pobiegła znów do świecy i obracając się z nią dokoła, rozglądała się po pokoiku.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Mały salonik, odnajmowany od większego mieszkania pewnej zamożnej rodziny, wyglądał istotnie jak ozdobne pudełko do cukierków. Mebelki były jakby miniaturowe, lecz dobrane doskonale, z obiciem w jasnych barwach. Stała też tutaj biała, ze złoceniami, stylowa, staroświecka komoda i małe damskie biurczko z okuciami, pamiątki po dziadkach, ocalone z rozbicia fortuny. Reszty dopełniało mnóstwo kwiatów i zieleni, oraz ów zmysł kobiecy, który rozpostarł tu wszędzie, gdzie się dało, śliczne robótki, atłasy haftowane i mnóstwo gustownych drobiazgów. Mile wpadająca w oko biel nadawała temu salonikowi pozór przedziwnej czystości, jasności, wesela.

Zosia, czyniąc ten przegląd, nie myślała wcale o tem, że poszła na to jedna premiówka, ta właśnie od pani Chojnickiej, zamykana tak pilnie przez czas dłuższy w biurczku, pocieszała się zaś myślą, że została jeszcze jedna i że przecież kiedyś musi się ona doczekać towarzyszki.

Naraz, ciągle jeszcze ze świecą w ręku, zajrzała do drugiego pokoiku, do którego drzwi były otwarte, a gdzie stało jej łóżko i gdzie była nisza, zasłonią kotarą — i poczęła pilnie nadśłuchiwać.

Tam, za tą kotarą, w niszy, sypiała jej towarzyszka, podeszła już w latach, biedna nauczycielka, która nie wiele mogła zapracować na swe utrzymanie i korzystała z przytułku u Zusi, zajmując tę niszę na nocleg, a za to matkując niejako ślicznemu dziewczęciu. Oczywiście, staruszka opłacała ten lokal tylko ścieraniem kurzów i utrzymywaniem go w idealnej czystości, a Zosia nadto musiała często myśleć i o jej obiedzie, gdy tylko spostrzegła, że stara coś kręci i że to się przydać jej może. Pomimo biedy i szalonego przywiązania do zacnej dziewczyny, było to biedactwo tak harde, czy delikatne, że nie jedząc dwa dni, byłoby samo ust nie otworzyło.

— Śpi — szepnęła, nadśłuchując Zosia.

Raz jeszcze wróciła ze świecą do saloniku, dla zdjęcia przed zwierciadłem kapelusza, poczem przechodząc do pokoiku z niszą, szepnęła sobie półgłosem, z silnem postanowieniem:

— A teraz zasnąć, zasnąć czempredzej!

Dłuższą chwilę zajął jej jeszcze pacierz, który zawsze, od dzieciństwa, odmawiała na klęczkach przy łóżku, a dziś, nie zdając sobie sprawy z tej potrzeby wewnętrznej, modliła się goręcej.

Półgłosem też już poczęła rozmodlona pod koniec pacierza:

„Aniele Boży, Strózu mój,
„Ty zawsze przy mnie stój,
„Jak we dnie, tak i w nocy,
„Bądź mi zawsze ku pomocy...“

Wreszcie światło zagasło i pokój pograżył się nagle w ciemności.

Napróżno jednak długą chwilę leżała cichutko, próżno przewracała się z boku na bok, przytulając twarzyczkę do poduszki — sen nie przychodził.

W rozmarzonej główce poczęły się przewijać wydarzenia ubiegłego wieczoru, a pomimo wszelkich wysiłków dziewczyny, nie dały się odegnąć i czepiały się jej myśli z natręctwem, które ją zarazem i gniewało i niepokoiło i nawet urażało, niby cień, który utkwiał gdzieś w głębi piersi.

Ale bo też to był wieczór!

Najprzód to nowe spotkanie z panem Broniewskim, dawnym sąsiadem rodziców, z owych dobrych jeszcze czasów, gdy to mieszkali tam, na wsi, w skromnym ale ładnym dworku — ze stawem, po którym pływała para łabędzi i z kawałkiem starego parku, położonego za ogródkiem kwiatowym i sadem owocowym.

Miała zaledwie ośm lat i zaczynała dopiero dziewiąty, gdy rodzice przenieśli się najprzód do jakiegoś małego miasteczka, a po paru tygodniach do Warszawy, ojciec bowiem mówił, że muszą to uczynić dla kuracyi mamy, której lekarze na wsi pomódz nie umieli.

Dopiero później domyśliła się całej prawdy i odgadła to szlachetne kłamstwo rodziców.

Rzewne łzy poczynają też płynąć z wolna z jej oczu na to wspomnienie, a dom cały staw i park widzi z po za mgły, przesłaniającej jej źrenice, jakby je pożegnała dopiero wczoraj.

Po chwili uspakajała się wysiłkiem woli i z rozkoszą oddaje się myśli o córce starego przyjaciela rodziców, o której tylko sły-

szala w dzieciństwie, a dziś dopiero poznała i odrazu przylgnęła do niej całym sercem.

— Dobra, śliczna pani — myśli — a przecie nieszczęśliwa...

Pragnie teraz już zasnąć i znów przytuliła głowę do poduszki, ale niebawem spostrzeżga, iż oszukuje sama siebie i z zawstyżeniem przyznaje przed sobą, że ten wieczór przyniósł jej nie tylko te drogie wspomnienia i te miłe znajomości.

— Ach, Boże, Boże! — westchnęła głośno ze szczerą rozpaczą.

Westchnienie to, na nieszczęście, obudziło starą towarzyszkę.

Biedactwo, sypiające z właściwą starości czujnością i budzące się co chwila, za lada szelestem, spytało w ciemności z po za koutary:

— Czy pani nie śpi?

Zosia przez chwilę miała chęć nie odezwać się wcale, ale nie chciała kłamać.

— Przebudziłam się na chwilę — odparła — zaraz znowu usnę!

I teraz dopiero spostrzegła z przykrością, że tak się jej jakoś poplątało wszystko od dni paru, iż w roztargnieniu jedno kłamstwo zastąpiła drugim.

— Ach, Boże, Boże! — westchnęła ci-chutko.

Uspokoila się po chwili i znów myśli jej popłynęły wytkniętym torem.

— Stało się! — pomyślała z rozpaczą. — Ach, tak! to już daremne!

Rozmarzoną, senną już nieco, dręczy znów przez chwilę myśl, że wszystko dziś już się popsuło i przepadło bezpowrotnie. Ach, co ona wycierpiała tam, przed paru godzinami, od niego i przez niego—i cierpiała z całą szczerością, walcząc ze łzami i teraz jeszcze czując je w sercu i pod powiekami.

Ale dość tego! Na złość nie będzie płakała—i... i zapomni o nim—na wieki, na zawsze, wypędzi go ze swych myśli i z serca—i będzie znowu wszystko jak było, zanim nadeszła ta nieszczęsna niedziela.

— Ojej! Ja się nie wyśpię — myśli biedna dziewczyna—a muszę przecie jutro wstać przed dziesiątą.

I czempredzej stara się pozbyć wspomnień, przytula jeszcze raz głowę do poduszki i marząc coraz niewyraźniej, zasypia znużona, wyczerpana, unosząc z sobą jednak uparte widziadło.

Nazajutrz stara towarzyszka, widząc jej sen niespokojny, pozamykała drzwi i raniutko, o siódmej poszła do kościoła, a wróciwszy po godzinie, sprawowała się tak cicho, że Zosia obudziła się dopiero przed samą pierwszą w południe.

Malutki, złoty zegareczek, pamiątka po matce powiedział jej o tem z całą bezwzględnością.

— Pani! pani! — zawołała z łóżka — jak ja strasznie zasnęłam, a miałam iść na lekcję o dziesiątej!

I chciała się zrywać.

— A przecież to dziś święto — powstrzymała ją uwaga staruszki — Piotra i Pawła...

Złotowłosa dziewczyna klasnęła w ręce z zadowoleniem.

— A prawda! A to doskonale! — zawołała z radością. — Szkoda tylko, że nie zbudziła się choć przed godziną, gdyż byłabym zdążyła do kościoła! A tak się chciałam dziś pomodlić!

— Ja byłam rano u Świętego Krzyża i modliłam się szczerze za panią — odezwała się staruszka, zbliżając się do łóżka dziewczyny.

— Dziękuję paniusi — odrzuciła Zosia.

— Ale to pani — poczęła znów staruszka, siadając na krawędzi łóżka — musiała późno jakoś wrócić, bo tak pani smaczno, choć trochę niespokojnie, spała i teraz jakoś trudno się pani ruszyć.

— Późno. Ale zaraz wstanę! — odparła.

Zamiast tego jednak poczęła rozplatać włosy i po chwili, dokonawszy szybko tej czynności, ujęła gruby pęk złoty i biła się nim z figlów po twarzy, śmiejąc się sama do siebie.

— Moja pani kochana — poczęła znów Zosia — ja taka głodna, że strach! Możeby pani podała mi woreczek z pieniędzmi... leży tam na biurczku... i posłała dziewczynę od naszych państwa po cośkolwiek... Musimy dziś zjeść śniadanie! — dodała z fantazyą.

— Sama skoczę! — odparła stara nauczycielka.

— Więc możeby ćwierć funta szynki... no, i ze cztery jajka... i parę rogalików i bułek, moja pani — mówiła rozochociona Zośka, dając starej rubla. — A ja tu śmignę z łóżka, w mgnieniu oka się ubiorę i nastawię maszynkę do herbaty.

Co obiecała, dotrzymała w zupełności. Po chwili, zamknąwszy drzwi na klucz za starą, była już umyta i ubrana w ranny szlafroczek, tylko złote sploty, w ogromnych pasmach zwieszały się jej na ramiona. Zanim starowina wróciła, zagotowała się i woda w maszynie spirytusowej, a zalana w czajniku herbata poczęła naciągać.

Zosia zasłała łóżko i usłyszawszy kroki staruszki na schodach, pobiegła drzwi otworzyć.

— Widzi pani—rzekła z dumą—herbata gotowa.

Starowina zajrzała do maszynki, którą się zawsze opiekowała.

— Tak—odparła—ale pani nie zapaliła drugiego ogniska i nie nastawiła rondelka, jakże teraz ugotujemy jajka?

— Prawda moja pani!—odparła Zosia— a niechże mnie...

Po małej chwili wszystko było gotowe i obie zasiadły do śniadania, dzieląc się zgodnie po połowie.

Starowina się wzbraniała, ale jadła z apetytem widocznym, a Zosi dziś wszystko bardzo smakowało.

Po śniadaniu, gdy stara towarzyszka zasiadła w ulubionym swoim kąciку pod oknem, zaczytana w jakiejś powieści, Zosia wtuliła się w róg kozetki w saloniku i przechylona na bok, wsparwszy głowę na dłoni, poczęła widocznie snuć znowu wczorajsze wspomnienia.

W zapatrzonych w przestrzeń jej oczach i na ślicznej twarzyczce, w miarę biegnących myśli, odbijały się niby w zwierciadle, całe dzieje minionej doby. Usta skłaniały się czasami do lekkiego uśmiechu, to znów zaciskały się na chwilę z pewną zawziętością, a lica bladły, lub wykwitał na nich słaby rumieniec, zapalając żywym blaskiem fiołki w oczach.

Była chwila że zamyśliła się głębiej, patrząc przed siebie nieprzytomnie, poczem nagle, jakby pod wpływem jakiegoś postanowienia, twarz jej ożywiła się i rozpogodziła, niby wschodząca zorza, a różowe usteczka okraszył uśmiech, pełen otuchy i tłumionej rozkoszy.

I rozswawolona poczęła przyśpiewywać sobie i tańczyć po saloniku szalonego walca, przy czem bawiło ją najwięcej to, że niby złota chmura, gonity za nią rozwichrzone pasma ślicznych włosów.

Nareszcie, nacieszywszy się do syta, padła znów na kozetkę oddychając z zadowoleniem:

— Aż dusza się raduje, że pani taka wesolutka! — odezwała się staruszka z sąsiedniego pokoiku, ze swego kącika, przerywając sobie czytanie na chwilę.

— A wie pani, że chciałam właśnie płakać — odpowiedziała Zosia z humorem — tylko mi się jakoś na śmiech obróciło!

A była w tem dziwacznem określeniu istotna i szczerą prawdą.

— Ach, żebym miała teraz fortepian u siebie! — pomyślała, załamując ręce z niecierpliwością.

I jakby czyniąc zadość jakiejś nieprzypartej potrzebie nasycenia się melodyą, począła nucić czystym, dźwięcznym głosem ulubioną „Mignon“:

Znasz ty kraj, cudny kraj
 Mirtów, pomarańcz, róż,
 Wdzięczny maj, ziemski raj,
 Dla kochających dusz!
 Kędy się chmurzy mniej
 Obszar błękitnych stref,
 Kędy ptak buja lżej
 I miłszy wiatru wiew!
 Kędy Bóg szczęście zlał

I zdroje świętych łąsk,
Gdzie powabniejszy dał
Gwiazdom czar, słońcu blask...“

Cała ta arya popłynęła z jej piersi niepowstrzymywanym potokiem, poczem dopiero dziewczyna, uspokojona widocznie, rzekła sama do siebie:

— No, a teraz ubierajmy się!

I przebiegając żwawo, w podskokach, do drugiego pokoiku, przemówiła pompatycznie do swojej starej towarzyszki, siedzącej nad książką:

— Pani! Niech pani raczy opuścić ten pałac i przenieść się do wspaniałej sali królewskiej, tu zaraz niedaleko, gdyż w tym przybytku pragnie założyć swoją rezydencję królowa Zofia!

Uradowana, nie czekając na odpowiedź staruszkì, wzięła ją delikatnie za ręce i pocięła prowadzić do saloniku, a usadowiwszy wygodnie na fotelu, dodała zwykłym już głosem:

— Tu pani będzie nawet lepiej, a ja się tam ubiorę..

Zamknęła drzwi za sobą, a gdy je po dłuższej chwili znowu roztwarła, była już zu-

pełnie do wyjścia ubrana, miała bowiem kapelusik na głowie i parasolkę w ręku.

Stara nauczycielka oczom swoim nie chciała wierzyć.

— I z włosami już sobie pani dała radę? — spytała.

— A już!

— A gdzie pani idzie, jeśli można zapytać?

— Do kościoła. Nie byłam dziś na mszy, moja pani, pójdę choć na nieszpory — odparła dziewczyna.

— A dokąd — spytała jeszcze stara.

— Umyślnie dalej trochę: na Koszyki.

I wyszła, zbiegając po schodach uradowana, a zwinna jak młoda wiewiórka.

*

Przez całe dni cztery od owego wieczoru pani Chojnicka napróżno czekała na pojawienie się Zosi. Dziewczyna nie dawała znaku życia i nie pokazywała się nigdzie. Próżno stara dama zapytywała tego lub owego ze znajomych, nikt nie umiał nic o Zosi powiedzieć — nikt jej nie widział.

— Wpadła w wodę, czy co, nie daj Boże! — mówiła sobie rozgniewana i nawet trochę zaniepokojona staruszka.

Dopiero tegoż dnia, pod sam wieczór, zjawił się u drzwi mieszkania pani Chojnickiej jakiś posłaniec, przynosząc list, który staruszka rozerwała gorączkowo, poznając na adresie pismo dziewczęcia i spytała:

— Kto wam to dał?

— Jakaś stara pani — odparł posłaniec.

— Jaka stara? — zawołała pani Chojnicka z gniewem — nie mogła być wcale stara!

— Ale była! Widziałem ano dobrze — usprawiedliwił się posłaniec. — Cała na gębie, z przeproszeniem pomarszczona i żółta, niby wątroba... Niech mi tak Bóg da zdrowie!

— No, dobrze! — rzekła pani Chojnicka, domyślając się teraz dopiero, iż Zosia posłużyła się towarzyszką. Odprawiła też posłańca, zadowolona już i z tego, że miała nareszcie jakąś wiadomość od kochanej dziewczyny.

Zbliżywszy się pod okno dla lepszego światła, poczęła czytać z wielką ciekawością.

List, niedługi zresztą, opiewał:

„Moja złociunia i ogromnie cacana
Pani!

„Pewnie się tam Pani strasznie dziwi,
że ta nieznośna Zocha nie pokazuje się wcale
od dni dwóch, czy nawet już i trzech...

Pani Chojnicka przerwała czytanie.

— Tak! — szepnęła — dwóch, czy
trzech, jak całe cztery minęło!

I zabrała się znów do listu.

...„Ale, droga moja Pani — czytała da-
lej — nie uczyniłam tego przez obojętność,
bo Panią okrutnie kocham i Pani wie chyba
o tem sama, lecz musiałam całe dwa dni sie-
dzieć w domn i ruszyć się nie mogłam. Ja
pani nie oszukuję, powiadam: musiałam, niech
mi paniusia wierzy. Niech pani jednak nie
myśli, żem była chora, albo co takiego,
a przecie nie mogłam, nie mogłam“...

— No, niech kto będzie z tego mądry!—
przerwała sobie znów czytanie pani Choj-
nicka.

...„Teraz już, moja złota Pani, sama się
za Panią bardzo stęskniłam i jutro przybie-
gnę, aby Panię moją złocistą wyściskać, uca-
łować i być znowu dawną Zošką, którą Pani
przecie choć trochę lubi. Proszę się tego nie

zapierać, Zośce się nie dziwić, bo Zośka dobra, zawsze dobra, a przyjdzie jutro i ucałuje serdecznie, gorąco, sto razy, Pani rączki“...

Toute à Vous chérie, très chérie Madame

Z. R.

— Tak, to co innego — szepnęła staruszka, zupełnie już rozbrojona.

W tej chwili odezwał się dzwonek.

Staruszka skryła liścik w kieszeni sukni i wstrzymując wbiegającą pokojową, sama poszła dla roztwarcia drzwi.

— Dobrze, że panią zastaję — odezwał się głos jakiś już w przedpokoju.

— A to pani, droga panno Izabello, proszę, proszę bardzo — mówiła pani Chojnicka, wprowadzając gościa do salonu.

Gdy zasiadły, panna Iza, widząc, że staruszka namyśla się nad zaczęciem rozmowy, odezwała się żywo:

— Nie wie też szanowna pani cokolwiek o Zosi? Nazajutrz po zebraniu u pani, w to święto, miała być u nas na obiedzie i przyrzekła mi to solennie. Naraz, przed samą szóstą, gdyśmy jej się lada chwila spodziewali, przychodzi bilecik, a w nim dwa

wiersze. „Izo, Izo, Izo, Izo! Wytłomacz mnie przed rodzicami, niech mi wybaczą i ty sama wybacz — ale dziś być u was nie mogę“. Widzi pani i nie przyszła...

— Nia przyszła? — odpowiedziała stara dama, udając zdziwienie.

Nowy odgłos dzwonka u drzwi ocalił panią Chojnicką od trudnej odpowiedzi.

— Może właśnie Zosieńka? — powiedziała panna Iza z radosnym oddźwiękiem.

— Ej, chyba nie.

Z przedpokoju, już po głosie poznała panna Iza w nowym gościu pana Józefa Jasinowskiego.

— Witam pana! — rzekła i podała mu rękę.

Uścisnął dłoń podaną i usiadł, posyłając ukradkiem błagalne spojrzenie pani Chojnickiej, która jednak udała, że nic nie widzi.

— Przyszłam tu — mówiła dalej panna, patrząc w twarz młodego człowieka — przyszłam, aby dowiedzieć się coś o Zosieńce naszej kochanej.

Pan Jasinowski, widocznie blady i zmieniony, zmieszał się na sekundę, ale w mgnieniu oka odzyskał swobodę.

— Nie widziały się panie od owego wieczoru? — spytał.

— Niestety, nie — odparła panna lakonicznie.

Zamilkli i poczęli obserwować staruszkę, która udawała, że nie słyszy ich rozmowy.

Młody człowiek wysilał się dziś na uprzejmość dla panny, w duchu jednak niecierpliwiło go to, że cel główny jego wizyty — wiadomość jakabądź o Zosi — oddalała się w nieskończoność.

Panna Iza, jak gdyby wyczytała jego myśli, zwróciła się do pani Chojnickiej raz jeszcze z zapytaniem o Zosię.

— A więc i pani nie wiadomo — rzekła — czemu się Zosia tak gdzieś ukryła i nigdzie się nie pokazuje?

Staruszka, zazdrosna o dziewczynę, zawahała się z odpowiedzią.

— Co ja mogę wiedzieć — rzekła ze spuszczoneym ku ziemi wzrokiem. — Do pani przynajmniej pisała, dla mnie nie znalazła na to nawet chwilki czasu. Ale ja — broń Boże! — nie mam jej tego za złe. Ona czasem bardzo jest zajęta, a do wszelkich jej fantazyj tak się przyzwyczaiłam, że niczemu się nie dziwię, więc i dziś jestem o nią zupełnie spokojna. Ma ona swój rozumek! A nie pokazuje się, to widocznie ma jakąś słuszną przyczynę...

Słowa te wygłosiła pani Chojnicka z największą swobodą. Nie wiedziała tylko, iż dotknęła niemi młodego przyjaciela, który sobie przypisywał całą winę.

— Boże! — pomyślał — com ja nie-szczęśny uczynił!

Niebawem panna Dworzecka powstała i poczęła się żegnać z gospodynią.

— Odprowadzi panią pan Jasinowski — rzekła stara dama — przy jego opiece będę zupełnie o panią spokojna.

Panna nic na to nie odpowiedziała i zbliżywszy się do lampy, poczęła zapinać zwolna rękawiczki, odwrócona umyślnie dla ukrycia uśmiechu, jaki na jej różowych wargach zaigrał.

Pan Józef, nie mogąc się już wobec tego cofnąć od usługi, skorzystał z chwili, aby odciągnąć panią Chojnicką jak najdalej i szepnąć do niej cichutko:

— Pani! litości nademną!

— Bądź pan spokojny — odparła, nachylając jego głowę i szepcząc mu do ucha — jak co będzie potrzeba, dam panu znać za-raz, choćby jutro...

W tej chwili panna Dworzecka odwróciła się i żegnając raz jeszcze gospodynię, ruszyła naprzód do przedpokoju.

Pan Józef, idąc za towarzyszką, odwrócił się na sekundę w progu i złożył ręce do pani Chojnickiej, jakby się modlił.

Staruszka skinęła mu głową parę razy, niby w porozumieniu, a to go znowu natchnęło odrobiną otuchy.

— Dobrze, że sobie poszli — pomyślała pani Chojnicka, gdy się drzwi za gośćmi zamknęły. — Oj, dobrze, dobrze!

Rozsiadłszy się przed stolikiem w wygodnym fotelu, z rękami na poręczach, poczęła znów myśleć o dziewczynie,

Była ona przekonana, że Zosię kochała zawsze, ale teraz dopiero, wobec jej powodzeń, uczuła do dziewczyny większe jeszcze przywiązanie i jakąś słabość, która nie dawała jej spokoju ani na chwilę. Parę razy na dzień zjawiała się teraz Zosia w jej myślach, a wspomnienie takie wywoływało zawsze na usta starej widoczne zadowolenie.

I znowu uśmiecha się na samą myśl o liście dziewczyny, którego się dziś zazdrośnie przed gośćmi zaparła, a teraz znów go od-

czytuje ponownie, z wielką ciekawością, jakby chciała w nim coś nowego odszukać...

— Przyjdzie jutro — myśli. — Żeby tylko nie zwlekała a przyszła wcześniej, choćby i o drugiej lub trzeciej, bo to tak ciężko czekać...

Uśpiła ją tego wieczora myśl o Zośce, a dała słodki spoczynek.

Ale Zosia nie czekała tym razem wieczoru i wstawszy wcześniej, postanowiła zaraz rankiem pobiedz do starej przyjaciółki. Chciała zastać ją koniecznie samą i drżała na myśl, że przy odwiedzinach popołudniowych mogłaby tam „kogo“ spotkać.

Była godzina ósma i staruszka siedziała przy rannej kawie w swoim pokoiku, gdy Zosia stanęła przed domem. Weszła w bramę, ale mijając drzwi frontowe, skierowała się na podwórze do drugiego wejścia przez kuchnię.

— Cicho, cichutko! — szepnęła do zdumionej kucharki i pokojowej — ja sobie tędy dzisiaj przejdę...

Przedostawszy się na palcach przez dwa pokoje, zatrzymała się na sekundę przed drzwiami trzeciego i nacisnęła klamkę, stając

nagle w progu, z figlarnym uśmiechem na ustach.

— Zosia! Jezus, Marya! Czy mi się śni? — zawołała pani Chojnicka.

Dziewczyna wybuchnęła radosnym śmiechem i w jednym prawie skoku znalazła się przy staruszce, a wdzięcząc się, pytała:

— Czy nie gniewa się paniusia na mnie?

— Ej! pleciuga! — odparła stara dama — przestań mnie całować i siadaj!

Dziewczyna rzuciwszy mały kapelusik i rękawiczki w mgnieniu oka, usiadła posłusznie naprzeciw staruszki.

— Możebyś się napiła ze mną kawy? — zaproponowała gospodyni.

— Doskonale! — zawołała ochoczo Zoska — bo też nic dziś jeszcze w ustach nie miałam!

— Gwałtu, dziewczyno! Wyszłaś zrana z domu naczczo?

— Eh! cóż tam! Przecie to nie pierwszy raz mi się zdarzyło.

— No, to dalej — mówiła pani Chojnicka gorączkowo — zadzwoń na pokojówkę, niech ci poda śniadanie.

Ale zanim Zosia zdążyła do dzwonnka doskoczyć, otwarły się drzwi i służąca wniosła

na małej tacy świeży imbryk z kawą i parę filiżanek.

— A to co? — zapytała Zosia po odejściu dziewczyny. — Pani cuda czyni, czy też mnie się spodziewała?

— Nie spodziewałam się ciebie tak rano, alem ci tem więcej rada — odparła staruszka. — A kawę podano ci dlatego, że one tam robiły ją dla siebie, no, i domyśliły się i...

— I odstąpiły mi swoją? — dokończyła Zosia z wesołym śmiechem.

— Nie bój się, zrobią sobie inną i nie gorszą!

— Zawsze to jednak poczciwie z ich strony — mówiła Zosia — bom była głodna, ach, jaka głodna!

— To też pij, a nie bałamuć — odparła staruszka. — Potem dopiero pogadamy.

Zosia, zapijając kawę, nie mogła odrazu przemówić, ale po chwilce spytała:

— O czym?

— A zaraz: o czym, o czym? Pij! — upomniała gospodyni a — a nie mów!

Dziewczyna poczęła teraz pić w milczeniu, a tak chciwie, że pani Chojnickiej, pa-

trzącej na to ukradkiem, aż serce rosło z radości.

Znikały też, jeden po drugim, małe kawałeczki białego chleba, które Zosia pochłaniała zawzięcie.

— Mój żarłoczek kochany! — pomyślała staruszka, patrząc na dziewczynę rozradowanym wzrokiem.

Wreszcie Zosia odsunęła od siebie filiżankę i całując rękę staruszki, szepnęła słodziutko:

— Dziękuję pani!

Pani Chojnicka sądziła, że dziewczyna pocznie teraz sama jakie zwierzenia, a przynajmniej, że będzie pragnęła usprawiedliwić parodniową swoją nieobecność, której wczorajszy liścik, prawie wcale nie objaśniał.

Ale Zosia, spoglądając ukradkiem na starą przyjaciółkę, jakby chciała odgadnąć jej myśli, milczała uparcie.

Staruszka musiała sama zacząć.

— A czemu to, moja Zosieńko — spytała — odsunęłaś się tak przez te dni od wszystkich i nawet u mnie się nie pokażałaś?

— Od wszystkich? — rzekła dziewczyna, udając zdziwienie. — Chyba tylko od pa-

ni, czego mi żal szczerze i od życzliwych mi zresztą bardzo państwa Dworzeckich, a właściwie od Izy, co też naprawię wkrótce z ochotą.

— No, niby tak... ale...

— Ale za to — przerwała czempredzej dziewczyna — wie, pani? Byłam onegdaj u pani Broniewskiej, to jest u ślicznej mojej nowej znajomej...

— Patrzajże! — zawołała pani Chojnicka z zajęciem. — Byłaś? Zaprosili cię?

— Zaprosili... i wie pani, zaprosili tak, że nie mogłam się żadną miarą namyślać.

Staruszka zawisła oczami na ustach dziewczęcia.

— Jakżeś się ubrała?

— Oczywiście dość skromnie — mówiła Zosia — ale wzięłam tę czarną sukienkę, wie pani, co to ubrana jest trochę koronkami i tak dobrze przystrojona jedwabną morą, a przecie skromnie wygląda, wie już paniusia?

— Wiem, wiem. Dobrześ zrobiła!

— Poszłam około czwartej — opowiadała dalej — no i mówię pani, że byłam rozrzewniona sercem i uprzejmością tych ludzi. Niewiele brakło, a byłabym się przy nich

rozpłakała. Wspominali mi o rodzicach, opowiadali o sobie, wypytywali, jak sobie radzę. Anim się spostrzegła, jak wybiła szósta na zegarze w salonie, gdzieśmy siedzieli — więc chciałam ich pożegnać. Ale niech sobie pani wyobrazi, powiadają mi wtedy: „A to co? — mówi pan Broniewski. — Doczekała panna Zosia łaskawie do obiadu, to musi go zjeść z nami, w naszym małym kółku“. — „A zresztą — dodaje zaraz śliczna wdowa — nie widziałas dotąd moich sierrotek, a zobaczysz je, bo przyjdą do stołu, trzecie zaś, niespełna trzyletnie, sprezentuję ci, Zosiu, z piastunką przy obiedzie“. No i moja pani, co miałam robić, zostałam.

I urywając opowiadanie, Zosią zamyśliła się smutno.

— Mówże jeszcze, mówże! — zawołała pani Chojnicką. — Dzieci, wiem, troje... jakie? Mówże, zlituj się dziewczyno...

— Zaraz... — odparła Zosia. — Gdyśmy już przeszli do jadalnego pokoju, naraz roztwarły się drzwi i wpadły w podskokach, z krzykiem, dwa aniołki, ośmioletni chłopczyk i może sześcioletnia dziewczynka, rzucając się do rąk dziadzi, a potem czepiając

się uśmiechniętej matki. Dopiero po chwili zobaczyłam, że za dziećmi weszli także: jakiś młody człowiek, nauczyciel synka i guwernantka, miła francuzka. Śliczne dzieci!

— No i co? — rzekła znów pani Chojnicka, dla podtrzymania opowiadania, które pochłaniała ciekawie.

— Zaraz... — rzekła Zosia. — Ale co ja pani więcej powiem? Siedzieliśmy z półtorej godziny przy stole, aż musiano zapalić światło. Widziałem też i tę najmłodszą, trzyletnią dziewczynkę, na ręku piastunki. Kawę piliśmy w salonie, znów sami we troje i dosiedziałam do dziesiątej.

— A jakżeś wróciła?

— Ach, prawda! — przypomniała sobie Zosia — gdym się już żegnała, spostrzegłam, że córka zniknęła z salonu, a pan Broniewski trzyma kapelusz. Spojrzałam zdziwiona. „Odwieziemy panią do domu — wyjaśnił — Helenka zaraz wróci“. No, i znów mnie odwieźli, jak wtedy od pani.

— A o mnie nie było mowy? — spytała pani Chojnicka po dłuższej chwili.

— Ach! — zawołała Zosia, chwytając się za głowę — a tobym się była spisała! Właśnie pan Broniewski zapowiedział tu na

dziś w południe swoją wizytę i chce panią na jutro prosić na obiad w imieniu córki, no i mnie zmuszają także do przybycia.

— Dziś w południe? — spytała pani Chojnicka, skrywając swoje zadowolenie.

— Dziś, dziś! Z pewnością, dobrze pamiętam! — odparła Zosia.

I zobaczywszy na zegarze dziesiątą godzinę, porwała się z miejsca, mówiąc zakłopotana:

— Oj! dziesiąta! Muszę uciekać!

— Czekażże, czekaj! Chciałam cię jeszcze... jeszcze... samą nie wiem... o coś zapytać — mówiła staruszka — aha, wiem już!...

I chwytając ubraną już dziewczynę za obie rączki, jakby w chęci jej przytrzymania, poczęła:

— Wiesz, była tu wczoraj panna Izabella, pytając się o ciebie, a co lepsze, spotkali się z panem Jasinowskim. Ale mnie mężczyli pytaniami o ciebie, więc ich oboje po herbacie wyprawiłam.

— Doskonale! — odparła dziewczyna, wyrывая rękę z uścisku.

— Czekajże—przytrzymała ją staruszka—
widzisz, chciałam... tego... bo to... zapytać
się ciebie, co ty myślisz o panu Jasinowskim?

I poczęła patrzeć jej wprost w oczy.

— Pan Jasinowski? A któryż to, pa-
nusiuku? — spytała przebiegła dziewczyna.

Staruszka puściła ręce dziewczyny.

— Ej, Zosiu — poczęła z lamentem —
nie udawaj! Powinnaś wiedzieć, że mówię
o tym młodym chłopcu, któregoś tu u mnie
poznała i co to był i wczoraj. Pamiętasz chy-
ba przecie?

— Ach, tak — odparła swawolnica, jak-
by istotnie teraz dopiero odgadła o kim mo-
wa. — Wiem już... pan Józio!

Pani Chojnickiej, widocznie zawiedzionej,
opadły ręce bezwładnie.

— O joj! jakże ty to mówisz?

— Jakże mam mówić? — ciągnęła dalej
dziewczyna. — Przecież ja tego pana pozna-
łam dopiero przed paru dniami. Ja nawet
nie pamiętam, czy mu się dobrze przypatrzy-
łam? Moja kochana panusiuku, jakże ja mogę
już dziś coś o nim powiedzieć? Nie mówię,
żeby później, kiedyś, gdy go poznam lepiej...
ale dziś, jakżeby to wyglądało?

Staruszka poczęła mrugać oczyma, jakby traciła przytomność.

— Aj! będę ja tu miała od tego waryata! — zawołała — a niechże go kaczkę zdziobią!

Dziewczyna, hamując śmiech, który ją porywał, udała, że nie słyszy tego wykrzyknika i wtrąciła szybko:

— Moja pani, proszę pamiętać, że to dziś przybywa pan Broniewski, a jutro ten obiad. To najważniejsze!

— Najważniejsze — powtórzyła machinalnie stara dama.

I przejęta istotnie tą nowiną, dodała, wstrzymując dziewczynę:

— Słuchajno! Możebyś ty ze mną jutro tam pojechała, będę miała karetę, to cię zawiozę i odwiozę. Przyjdź o piątej.

— Dziękuję złotej pani, pan Broniewski przysłał po mnie swój powóz, a nie mogłam przecie odmówić.

Powiedziawszy to, ucałowała gorąco starą przyjaciółkę i wymknęła się czempredzej.

Gdy się wydostała do sieni i zobaczyła, że niema nikogo, wybuchnęła pustym, szczerym śmiechem.

Naraz jednak pomyślała z żalem prawdziwym, że najwięcej ucierpieć musi na jej zamysłach biedna pani Chojnicka.

— Jej mi tylko żal — szepnęła w duchu — ale ja jej to wynagrodzę.

I wyszła, biegnąc ku domowi, uśmiechnięta, tryumfująca, pełna zadowolenia i otuchy.

*

*

*

Rozpoczęła się teraz istna „gra w ślepią babkę“, uplanowana przez psotnicę, która wiedziała dobrze, że nie zdoła już uciec przed ogarniającą jej serce miłością i czuła w głębi duszy, że samaby nawet uciekać nie chciała.

Inna jeszcze myśl poczęła ją dręczyć i niecierpliwić.

— Ładnieby było — mówiła z gniewem — gdyby świat cały mógł powiedzieć: Panna Zofia Rucińska zakochała się od pierwszego widzenia! Tego tylko potrzeba! — dodała z gryzącą ironią, ktorej dotąd nigdy u siebie nie spostrzegiała.

Nie, na to pozwolić nie mogła — przeni-gdy — za żadną cenę.

Postanowiła więc zaprzeć się na czas jakiś swego uczucia, a tego „zbrodniarza“ upokorzyć, złamać, otrzeźwić i dowieść mu, że był zbyt pewnym siebie. Niech się trochę rozczaruje, niech i on trochę pocierpi, a przede wszystkim niech ją ludzie nie mają za jakieś... brrr!... ciepłe piwo... za jakieś „baj-bardzo“.

I przyszła jej na myśl znana strofa z „Hrabiny“.

„Mam że mój żal okazać mu
„I gorzkie łzy wylewać tu?
„Ach, byłby to poniżej kres,
„Ujrzy mój gniew, lecz nigdy łez“.

Trzymając się tego planu, postanowiła unikać każdego spotkania z młodym człowiekiem, a znała siebie dobrze i wiedziała, że potrafi to wykonać doskonale. Tydzień — nie, tó zamało — dwa tygodnie, nie pokaże mu się na oczy. A potem, gdy ona sama powie „dosyc“ i gdy się znów spotkają, już ona sobie poradzi.

Młody człowiek, nie panujący nad sobą, już nazajutrz po niefortunnym spotkaniu z panną Izą, które mu nie pozwoliło porozmawiać poufniej z panią Chojnicką, podążył do sta-

ruszki wprost z biura, dla pośpiechu nawet bez obiadu, aby się czegokolwiek od niej o Zosi dowiedzieć.

— Nie widziała się też pani przypadkiem z panną Zofią? — zapytał odrazu na wstępie pan Jasinowski.

— Widziałam — odparła stara dama — była tu dziś u mnie raniutko na śniadaniu, siedziała ze dwie godziny...

Panu Jasinowskiemu zajaśniały oczy radością.

— Czemuż się dotąd nie pokazywała? — spytał.

— A bo to od niej może się człowiek czego dowiedzieć — odpowiedziała pani Chojnicka wymijająco. — Plotła mi tam coś, alem nie wiele pojęła. A prawda! — dodała zaraz. — Zaprzyjaźniła się z córką pana Broniewskiego, bo to stary znał i cenil jej rodziców, no i była u nich cały prawie dzień, bo ją zatrzymali na obiedzie.

Pan Józef namyslał się chwilę, wreszcie ośmielił się zapytać:

— A czy o mnie nie było mowy?

Pani Chojnicka, dla świętego spokoju, odparła czempredzej, cokolwiek zmieszana:

— Owszem, była! Sama zapytałam Zo-
skę o pana...

— I cóż? — spytał ciekawie.

Stara namyślała się chwilę nad odpo-
wiedzią, widocznie w obawie, aby nie zary-
zykować się zbyt. —

— Mówiła niewiele, ot, tak sobie, jak to
młoda dziewczyna — poczęła powoli. — Po-
owiedziała mi nawet, że pana pamięta.

— Było to pewno powiedziane z iro-
nią — szepnął gorzko młody człowiek.

— E! co znowu!

— Ale bo pani nie wie — począł znów
gwałtownie — pani nie wie — że ja zacho-
wałem się wobec niej, na tym wieczorze u pa-
ni, jak szaleniec i że nawet uraziłem ją i za-
raz dała mi to do poznania!

— Tak? — szepnęła — nic nie wie-
działam. Nic mi o tem Zochna nie wspo-
минаła.

— Tem gorzej! tem gorzej! odparł pan
Jasinowski, załamując ręce — bo to dowodzi,
że mi jeszcze tego nie zapomniała.

— No, a po co pan takie rzeczy ro-
bi? — spytała.

— Ach! żebym był wiedział! Żebym był mógł tego się dymyśleć! — dodał z rozpaczą.

Nasłało dłuższe milczenie.

— Ale bo pan Józio — poczęła znów staruszka — to zawsze trochę w gorącej wodzie kąpany. Jakże tak można? Przecie to panienka, jak szczerze złoto, a przytem, po co pan się tak spieszy? Nie można w paru dniach żądać od dziewczyny, od panienki do brze wychowanej, jakiejś decyzji... Zdejmij pan pychę z serca, pochódź koło niej, miesiąc, dwa, a choćby i trzy, czyż ona tego nie warta, a potem dopiero rozpocznij jakieś starania. Któż widział być takim, jak pan i tak głowę tracić!

— Ma pani słuszność najzupełniej! — wykrzyknął pan Jasinowski. — Ale całe nie-szczęście w tem, że ona się już do mnie zraziła, że ona mnie pewnie znienawidziła.

— No, nie wiem — odparła pani Chojnicka — ale jakoś nie sądzę, aby tak było.

— O! złote byłyby słowa pani, gdyby tak było! — zawołał młody człowiek. — Ja już byłbym wobec niej uważny, ostrożny, lękliwy, cichy. Nie dałbym jej w niczem uczuć mojej miłości, kryłbym ją nawet przed sobą

i przed nią, mówiłbym do niej najobojętniej, ale widzieć przynajmniej ją muszę, widzieć koniecznie, choćby na parę chwil, na parę minut, bo, dalibóg, uwierzę w moją klęskę i oszaleję.

I uczuł łzy w oczach.

— No, no, jakoś to będzie — pocieszała pani Chojnicka, choć sama, trapiąca złem przecuciem, nie bardzo wierzyła w to, co mówi.

Pan Józef powstał i począł się żegnać.

— Pozwoli pani, że tu będę przychodził, bo inaczej gdzież ją spotkam? — dodał nieśmiało.

— Pewnie, pewnie! — rzekła pani Chojnicka, oddychając dopiero po odejściu młodego człowieka.

Dwa dni znów upłynęło, zanim Zosia pokazała się u pani Chojnickiej, a i tym razem przybywała wczesnym rankiem.

— Ja tu już stale przychodzę do pani na śniadanie — mówiła na wstępie.

— Dobrze robisz dziewczyno — odpowiedziała stara — widzisz nawet, że miałam przecucie i czekałam z podaniem kawy. A z tobą mam zawsze lepszy apetyt.

— Moja złota pani!

Podczas śniadania zaś dziewczyna spytała, niby od niechcenia:

— A cóż ten pan Jasinowski?

— A prawda! — odparła pani Chojnicka — codzień mnie tu nachodzi, ale już bardzo spokorniał. Muszę mu też powiedzieć, że ty teraz przeważnie rano u mnie bywasz, bo on pragnie się z tobą spotkać.

Nie mówiono już więcej o tej sprawie, ale Zosia, żegnając się ze starą przyjaciółką, pomyślała sobie z uśmiechem: „Oho, już przepadły moje śniadania, trzeba teraz przychodzić przed wieczorem, ale i to ostrożnie“.

Zawiadomiony pan Jasinowski, przyszedł pewnego ranka we wskazanej porze śniadania, świeższy, niż zwykle, wymuskany, pełen nadziei i otuchy, która mu piersi rozpierała.

— Zośka tu pewnie zaraz nadejdzie! — odezwała się pani Chojnicka.

Siedział teraz biedak, jak na szpilkach, nasłuchując każdego szelestu, z sercem napelnionem i trwogą i radością.

Ale przeszła godzina cała, skończyło się śniadanie, a Zośki jak nie było, tak nie było.

— I widzi pan, właśnie dziś pobałamucila -- odezwała się stara dama.

Pan Józef był już bardzo zdęczony, aby mu się chciało usta otwierać. Nic też na tę uwagę nie odparł, lecz począł się żegnać.

— Do widzenia, może innym razem! — dodał tylko.

Teraz już — i właśnie za to, że był taki pokorny — poczęła pani Chojnicka szczerze współczuć z młodym człowiekiem i żałować go serdecznie.

— A jednak, ja tej Zośce trochę uszu natrę! — postanawiała sobie, pod świeżem wrażeniem litości.

Ale przebiegła dziewczyna, odczekawszy znów dwa dni, przyszła pewnego wieczoru dość późno, gdy już dobry zmrok zapadał, i poczęła zaraz opowiadać, że była raz jeszcze u pięknej wdowy, która sama po nią o trzeciej przyjechała.

— Zjedliśmy wcześniej obiad — mówiła — i zaraz pojechaliśmy powozem do Wilanowa, a potem do Natolina. Wróciliśmy późnym wieczorem, a com się napatrzyła, moja pani, com się nacieszyła!

Pani Chojnicka słuchała w milczeniu.

— Nie cieszy się pani ze mną? — spytała Zosia.

Znów nie było przez chwilę żadnej odpowiedzi.

— Owszem, moja rybeńko — odezwała się wreszcie stara. — Ale żebyś ty wiedziała, co ja tu mam z tym panem Józefem...

— Znowu z nim?

Pani Chojnicka poczęła się namyślać.

— Wiesz ty, co ja myślę -- mówiła — że chyba nic z tych jego zamysłów nie będzie...

Dziewczynie żal jakiś ścisnął serce na chwilę.

— Niby co do mnie? — spytała cichutko.

— Juści! On ciągle pragnie cię zobaczyć.

— Czemu nie?

— Chciałabyś?

— Zosia znów poczęła się cofać.

— Bo ja wiem sama... bo ja wiem... Teraz tak mało mam czasu, tyle muszę jeszcze nad sobą popracować... A i te wizyty... ta znajomość nowa... Sama nie wiem, jakbym to pogodziła... Może za jaki tydzień, za parę dni...

Pani Chojnicka, wpatrująca się pilnie w twarz dziewczyny, która mówiła to ze

spuszczonym wzrokiem, powzięła widocznie jakieś rozpaczliwe postanowienie.

— Ja cię już rozumiem — poczęła — i nie mam ci tego za złe. Trzeba mi teraz będzie wybić to z głowy panu Józefowi, a im prędzej, tem lepiej. Jest przecie mężczyzną, niech stara się zapomnieć.

Zoskę ogarnął teraz jakiś zabobonny strach, którego trudno jej było przewyciężyć. Uczuła też ból w piersi, jakby w obawie, aby takie oświadczenie pani Chojnickiej nie dotknęło zbytecznie młodego człowieka i postanowiła rzucić staruszce jeszcze promyk nadziei, aby jej zamiar powstrzymać.

— Jak pani uważa — poczęła niby obojętnie — pani przecie wie, co robić. Ale — dodała zaraz — możeby pani jeszcze nie mówiła mu tego tak odrazu. Możeby pani jeszcze coś innego w główce swojej znalazła. Moja paniusiu, niech paniusia poszuka, a znajdzie się z pewnością! Moja paniusiu!

— Żal ci go? — spytała pani Chojnicka.

— Żal, nie żal! — brzmiała odpowiedź — ale ja wolę mieć w nim przyjaciela, niż zażądanego wroga. To się jakoś może i zrobi...

— No, no! Zobaczą jeszcze! — odpowiedziała pani Chojnicka.

Dziewczyna chciała jeszcze coś powiedzieć, ale już tej chęci jej nie spostrzegła.

Po chwili pożegnały się i Zośka poszła dziś ku domowi z jakimś niepokojem w sercu, którego się już pozbyć nie mogła.

*

*

*

Dobiegały dwa tygodnie tej gry w „śle-
pą babkę“.

Pan Jasinowski chudł, mizerniał i włączył się, jak mara, a choć co drugi dzień, to rano, to wieczorem, zjawiał się u pani Chojnickiej, nie poruszał już spraw swego serca ani słowem i milczał uparcie.

Pani Chojnicka, jakkolwiek drżała na myśl o odpowiedzialności, jaką na siebie mimowoli przyjmowała, nie wyjawiając przed młodym człowiekiem całej prawdy, powiedziała sobie jednak, że nigdy nie zdobędzie się na zadanie ciosu temu biedakowi.

Przyszedłszy pewnego razu i posiedziawszy chwilę w zamyśleniu, pan Jasinowski na

nowo zdobył się na odwagę i przemówił łagodnie:

— Niech pani wybaczy, że znów wróczę do zapomnianych dziejów. Przykro mi jednak, że panna Rucińska widocznie mnie unika. Wie pani, zauważyłem, że w ciągu tych dwóch tygodni, od których tu chodzę, ona umyślnie wybiera na swe odwiedziny takie godziny, aby się ze mną nie spotkała... Bóg z nią! — dodał.

— Ach, mój panie Józiu! — odparła stara — niech jej pan nie podejrzywa, bo czyni mi pan największą przykrość. Ja sama nie widziałem jej już teraz całe dwa dni...

— Przepraszam panią najmocniej! — odparł pan Józef z poddaniem.

Dalsza rozmowa nie kleiła się już tego dnia obojgu, więc młody człowiek skrócił wizytę i począł się żegnać.

— Cierpliwości tylko, cierpliwości — dodała jeszcze staruszka.

Pan Jasinowski nie mógł sobie zdać sprawy z tego, czemu te właśnie słowa starej przyjaciółki pogoniły za nim owego wieczoru i chmurne jego myśli rozjaśniły jakimś błyskiem nadziei, która już poczęła wygasać w jego sercu. A pani Chojnicka ze zdziwie-

niem spostrzegła, iż w nią samą wstąpiła jakaś otucha i szepnęła też sobie:

— Czemu miałyby to być już stracone? Może też Zośka się opamięta?

Okazało się, że oboje mieli tym razem dobre przeczucie.

Zośka bowiem, śledząca z opowiadań pani Chojnickiej cały przebieg tej pokuty młodego człowieka, właśnie tego wieczora postanowiła odpuścić mu grzechy, darować wszystkie urazy i na tę myśl z uśmiechem wstawiała się sama przed sobą za biednym „zbrodniarzem“.

— Daruj ty mu już winy, Zośka — mówiła sobie psotnica głośno, pieszcząc się swemi słowami.—Daruj mu wspaniałomyślnie. On już teraz, będzie cacany, grzeczny, słodki i taki dobry, że go owiniesz na paluszek, jeśli tylko zechcesz...

Po tej przemowie, korzystając z nieobecności starej towarzyszki, poczęła się śmiać wesoło.

Gdy śmiech przebrzmiał, zjawiła się w jej sercu jakaś tęsknota i żal do siebie samej. Uczuła teraz pragnienie zobaczenia go czempredzej i pomyślała, że gdyby tak teraz otwarły się drzwi i on ukazał się w progu,

byłaby mu się chyba rzuciła na szyję z radości.

Natychmiast jednak twarzyczka jej oblała się rumieńcem, a na zmarszczonem czole pojawiła się chmurka niezadowolenia.

— Zośka, Zośka! — karciła się sama. — Tylko żadnych szaleństw!

Poczem, przyciskając obie dłonie do policzków, jakby je chciała prędeej ochłodzić, szepnęła sobie zcicha:

— Nie ma co zwlekać... Jutro musimy się zobaczyć!

Naraz myśl jakaś zabłysła jej w oczach.

— Tak — zawołała — to powinno wystarczyć.

I siadając przy biurczku, poczęła szybko kreślić liścik do starej przyjaciółki.

„Ukochana moja Paniusiu! pragnę jutro koniecznie odwiedzić drogą Panią, bo mam o czemś do porozmawiania. Przyjdę o piątej punktualnie, ale chciałabym Panią zastać samą. Niech Paniusia postara się, aby — broń Boże! — kto nam nie przeszkodził i proszę o tem przed nikim, ale to nikim, nie wspominać.“

Ukończywszy pisanie, pobiegła z liścikiem pod okno i naśladując głos pani Choj-

nickiej, odczytała pismo powoli, wyraz po wyrazie.

I tym samym starym, bezdźwięcznym głosem dodała:

— „Aha! Figa! Mam cię teraz, moja panno! Zapłać mostowe.“

I poczęła zanosić się radosnym śmiechem, bez miary i upamiętania.

Na schodach tuż pod drzwiami, dały się słyszeć ciężkie kroki.

Zosia nasłuchiwała chwilę.

— To moja starowinka! — zawołała i roztworzyła drzwi narozścież, czekając na wejście towarzyszki.

— To pani w domu? — spytała stara nauczycielka, siadając w ubraniu, widocznie zmęczona.

-- A w domu!

— Nie wychodziła pani popołudniu?

— Nie. Ale zkądże to panusia tak późno wraca?

— Byłam w naszym Schronieniu, bo ta Bojarska, stara moja przyjaciółka, prosiła o to bardzo.

Starowina zajęła się przyrządzeniem herbaty, a Zosia poczęła wydobywać z małej szpiżarki różne zapasy, których od ostatnich

dni nigdy nie brakowało, bo dziewczyna, kryjąc się przed ludźmi i zmuszona więcej w domu przebywać, nie chciała być ogłoszoną.

Nazajutrz Zosia wczesnie się zbudziła, ale uczuła ze zdziwieniem jakiś niepokój, którego pozbyć się nie umiała. Mówiła sobie, że go przezwycięży i odpędzi, a tymczasem on chodził za nią, jak cień, z lekcyi na lekcyę, uparty, niepokonany. Nie było nań rady, rozumiała bowiem, że nosi go w sobie.

Ale po powrocie do domu, około czwartej, na samą myśl, że już tylko godzina oddziela ją od nieuniknionego spotkania, doznała zaraz jakiegoś uczucia ulgi, a po małej chwili otrząsnęła się do reszty z odrętwienia i poczęła sama żartować z tej swojej niemoicy, która ją dzień cały tak niepotrzebnie pętała i udręczała.

Szczera radość poczęła też krasić jej lica rumieńcem, gdy zaś ujrzała to w zwierciadle, mimowoli usta jej rozchylił czarowny uśmiech.

— Wstydz się Zośka — powiedziała sobie nadąsana — ty z miłości wcaleś nie zbłądła i nie będziesz dziś wyglądała interesująco!

I poczęła się śmiać głośno.

Nareszcie spostrzegła, że był już najwyższy czas pomyśleć o ubraniu i jak fryga pobiegła do szafy po jasną sukienkę, o której dobrze wiedziała, że stroi ją lepiej od innych.

— Filut Zośka, filut! — mówiła przy ubraniu. — Łuna będzie od niej biła!

Przed wyjściem zatrzymała się jeszcze u zwierciadła, obracając się połową figury, to w prawo, to w lewo, a egzamin wypadł snąć pomyślnie, bo się znowu uśmiechnęła.

Kiedy miała uchwycić za klamkę, przeżegnała się jeszcze czempredzej i dopiero, zupełnie już swobodna i pewna siebie, podążyła ku domowi staruszki.

Dzień lipcowy był śliczny i nieskwarny, w południe bowiem przeleciała nad miastem burza z ulewą, która odświeżyła powietrze i odmłodziła niejako wszystko dokoła, zieleń drzew i zmęczone spieką twarze ludzkie.

Zosia odczuła też dziś żywo tę przemianę. Oddychała swobodniej, biegła szybciej i ani spostrzegła, gdy stanęła u drzwi mieszkania pani Chojnickiej.

Dopiero wówczas przypomniała sobie treść swego listu wczorajszego, w którym

prosiła, aby nie było nikogo i pomyślała, że stara mogła to wziąć dosłownie.

— E! nie! — szepnęła zaraz.

Drzwi roztwarła jej sama pani Chojnicka i w przedpokoju już mówiła do niej z widoczną radością:

— Chodź! Niema nikogo!

Teraz już Zosia była pewną, że się w rachubach swoich nie zawiodła.

Swobodna, promieniejąca zadowoleniem wewnętrznym, z lekkim uśmiechem na ustach, dostrzegła już od drzwi pana Józefa, który powstał z krzesła na jej widok, cały drżący, mierząc ją niepewnym wzrokiem.

Zamieniwszy uścisk z panią Chojnicką, posunęła się Zosia bez zbytniego pośpiechu, ale dość śmiało do młodego człowieka i podnosząc śliczne oczy ku jego oczom, podała mu rączkę z całą swobodą, poczem zwróciła się znów ku staruszce.

Pan Jasinowski, pod wzrokiem dziewczyny, uczuł zawrót w głowie. Powieki zaczęły mu biegać szybko, jakby zbudził się z ciężkiego snu i nie pojmował jeszcze nic z tego, co go spotkało. Mgła przesłaniała mu oczy, więc bezwładny, drżący, oszolomiony, stał jeszcze ciągle w miejscu i dopiero po chwili

spozstrzegł, że obie panie zasiadły już obok siebie.

Przysunął krzesło swoje cokolwiek bliżej i trzymając się jeszcze w oddali, usiadł w milczeniu.

Zośka rzuciła mu znów krótkie spojrzenie i rzekła swobodnie:

— Co się z panem działo? Co pan porabiał?

Pan Józef, pod wpływem wzruszenia, nie mógł jeszcze głosu wydobyć z piersi, a pani Chojnicka, która dotąd jeszcze nie dowierzała dziewczynie, przyglądając się obojgu młodym z zaciekawieniem, nie odzywała się wcale.

— Dowiedziałam się od Izy — poczęła znów Zosia — że był pan z wizytą u państwa Dworzeckich?

— Musiałem! — odezwał się pan Jasiński, spostrzegłszy zapóźno, że zbyt wyraźnie zdradził się tym szczerym wykrzyknikiem.

W każdym innym razie byłaby podchwyciła taką niezręczność, gdyż lubiła się posprzeczać. Dziś jednak uczuwała, że wojowniczość jej topnieje i serce mięknie wobec zakłopotania młodego człowieka.

— Był pan tam raz jeden? — spytała po chwili.

— Właściwie dwa razy — brzmiała odpowiedź — z pierwszą wizytą, która trwała niemal przepisany kwadrans i później wieczorem na obiedzie.

Nastąpiła chwila milczenia.

Teraz też dopiero ocknęła się pani Chojnicka z zamyslenia i wtrącając się w rozmowę, rzekła do pana Józefa:

— No, i nie zjedli tam pana, a tak się wzbraniałeś, że już musiała cię prawie gwałtem wypchnąć...

Zoska pierwszy raz dopiero w ciągu wizyty uśmiechnęła się szczerze po tym dobitnym wyrażeniu starej.

Ale pomimo wszelkich wysiłków, zarówno młody człowiek, jak i śliczna dziewczyna, czuli się dziś jakoby skrępowani swoją obecnością.

Rozmowa obojga poczęła utykać i rwała się co chwilę. Napróżno to jedno, to drugie starało się podtrzymać ją wszelkimi sposobami. Raz po raz wspólnymi siłami poruszali różne tematy: teatr, literaturę, muzykę, życie towarzyskie, a jednak ciągle zbywali się tylko krótkimi i obojętnymi odpowiedzia-

mi, czując z zakłopotaniem, iż dopuszczają się wzajemnie jakby oszukaństwa, które nic im pomódz nie mogło, a mieszało ich i upokarzało!

Tracili już głowę i nie wiedzieli, co z sobą począć, gdy naraz Zośka, zdziwiona dłuższem milczeniem pani Chojnickiej, obróciła się ku niej i spostrzegła, że staruszka, wtulona w kącik kanapki, drzemała sobie w najlepsze, nie wiedząc o Bożym świecie.

— A tośmy biedaczkę ubawili naszą konwersacyą! — zawołała zcicha, sznurując usteczka, aby śmiechem nie buchnąć.

Pan Józef chciał coś odpowiedzieć, ale dziewczyna wstrzymała go, przykładając paluszek do warg na znak milczenia:

— Cicho! — szepnęła — niech się trochę przedrzemie. Musimy teraz sprawiać się cichutko.

Nie odwróciła też już głowy do niego przy tej uwadze, ale i pan Józef rad był, że może teraz myśli zebrać.

Salon zalegała teraz zupełna cisza, nie słychać było nawet oddechu śpiącej.

Oboje teraz, nie starając się spojrzeć sobie w oczy, oddali się własnym myślom i pograżyli się w zadumie.

Pan Józef, który już utracił wszelką nadzieję pogodzenia się z ukochaną dziewczyną, był poprostu oszołomiony i przygnieciony jej łaskawością dzisiejszą, nie spodziewał się bowiem tego wcale. Patrząc też teraz na nią z boku nieznacznie, uczuwał dla niej za to bezgraniczną wdzięczność. Jak człowiek, któremu udało się zatrzymać nad przepaścią, obawiał się jeszcze ciągle nowego zawodu i podejrzliwie przyjmował każdy błysk myśli o możliwości szczęścia. Ale tem więcej starał się nie urazić ślicznego dziewczęcia, ciesząc się ogromnie tem jednym, że znowu ją może widzieć i chwycić od czasu do czasu jej cudne spojrzenie. Sprawiał się istotnie teraz tak cichutko, że wstrzymywał oddech w piersiach.

Innym nieco torem biegły myśli zadumanej także Zośki, która za żadne skarby nie byłaby teraz odważyła się spojrzeć na młodego człowieka i rada była, że pod pozorem czuwania nad śpiącą, zajęła taką pozycyę, iż on mógł tylko widzieć drobną cząstkę jej twarzy, zwróconej do staruszki.

Ułożyła sobie z góry, że będzie dziś śmielszą i bardzo uprzejmą dla tego „ładaco,” który tam teraz siedzi w milczeniu i pewnie

z niej oka nie spuszcza. Uprzejmość i pobłażliwość—mówiła sobie—i nic na dziś więcej. Ale teraz dopiero widzi, iż przeliczyła się z siłami. Nie spodziewała się bowiem, aby nowe spotkanie z tym człowiekiem, który zabrał jej myśli, wywarło na niej takie wrażenie, jak się to stało. Po zamianie pierwszych paru wyrazów uczuła odrazu, iż karząc jego, ukarała bezwiednie i siebie. Wiedziała nadto, iż tęsknotę za nim sztucznie tylko tłumiała w sobie w czasie tej rozłąki i owa tęsknota zagroziła jej przy spotkaniu i widoku młodego człowieka zerwaniem wątlej zapory, bo pozbawiła ją spokoju i ciągnęła jej oczy ku niemu.

Teraz, gdy o tem myślała, zupełnie znów władała już sobą i miała nawet ochotę pożartować z tego chwilowego oszołomienia swojego.

Wreszcie drzemiąca staruszka otworzyła oczy.

— Co to?—zawołała—czy ja naprawdę drzemałam?

Dziewczyna ucałowała ją serdecznie.

— Troszkę, troszeczkę—odparła—a my tu tymczasem tak cicho się sprawialiśmy, żeśmy nawet słowa nie przemówili.

— No, no! A to mi się też już dawno nie zdarzyło — dziwiła się, przecierając oczy chusteczką.

A gdy oni i teraz milczeli, spytała:

— A podwieczorek dali wam już?

— Jakże? Bez pani? — odezwała się zgorziona Zośka.

— Zaraz nam podadzą — odparła staruszka — trzeba tylko zadzwonić.

Przy podwieczorku, jakby pod wpływem tajemnego układu, żadne z obecnych nie okazywało ochoty do rozmowy, od czasu do czasu tylko pani Chojnicka odezwała się z zaproszeniem i zachętą do nowego ciasteczka lub filiżanki, poczem zalegało salon milczenie, pozwalające słyszeć cichy chód starego zegara alabastrowego.

Pierwsza wreszcie podniosła się pani Chojnicka, a za nią podążyła Zosia, zatrzymując ją na środku salonu i oplótłszy jej szyję swemi rączkami, zawisła u jej piersi w długim uścisku.

— Dziękuję paniusi! — mówiła.

Nie ruszyła się też od boku staruszki nawet i wtedy, gdy podszedł pan Jasinowski i ujmując wolną rękę staruszki, ucałował ją serdecznie w milczeniu.

Gdy chciał się odsunąć po tym akcie podziękii, Zośka, nie rozplatając rąk, zatrzymała go, utkwivszy w jego oczach swoje śliczne oczy, jakies łagodne, dobre i uśmiechnięte.

Przykuła go do miejsca temi oczami i dopiero wówczas zasłoniła je znowu rzęsami.

— Ja już paniusię kochaną — mówiła — muszę teraz pożegnać.

Pani Chojnicka, widocznie znużona, nie protestowała.

— Ale przyjdź znowu Zośka — rzekła — tylko nie daj się prosić.

— Jutro nie mogę — odparła żywo — ale pojutrze będę tu z pewnością, bo podwieczorek bardzo mi smakował.

Poczęła wdziewać rękawiczki i kapelusik przed zwierciadłem, poczem już z parasolką w rękę, wróciła raz jeszcze dla ucałowania rąk starej damy.

I nie podnosząc już oczu na pana Jasińskiego, podała mu w milczeuiu rękę, którą uściśnił z pełnym czci ukłonem.

Po odejściu Zosi, uznając także potrzebę wytchnienia staruszki, począł się po chwili żegnać.

— Niech pani Bóg zapłaci! — mówił, całując jej rękę kilkakrotnie.

— Słyszałeś pan? Pojutrze! — rzuciła za nim pani Chojnicka.

— Słyszałem, słyszałem! — zawołał radośnie od progu.

*

*

*

Za zgodą pani Chojnickiej, która poczęła niebawem wierzyć w pojednanie młodej pary i radowała się z tego skrycie a serdecznie, pan Józef i Zosia widywali się teraz częściej, pogodzeni już snąc z losem, co zbliżył ich ku sobie i połączył, niby fala jeziorą dwa samotne liście.

Nie mówili o tem nigdy, ale czuli, że było im obecnie z sobą zawsze dobrze, choć nawet czasami niewiele gawędzili, dopowiadając sobie jednak dużo spojrzzeniami, trochę jeszcze niepewnemi, które zatrzymywały ciągle szczerą nieśmiałość, a nie krępowały się jedynie w wyrazie wzajemnej, serdecznej życzliwości.

Ukarani oboje — bo i Zośka już teraz, pod wpływem uczucia żalu i litości, uznawała swój kaprys za karę i dla siebie — byli też bardzo ostrożni i unikali starannie wszystkiego, co mogło być sprowadzić nowy cień na ich pogodne niebo.

Zazwyczaj bowiem te poobiednie spotkania nie zabierały im wiele czasu. Po godzinie, a rzadziej już dwóch rozmowy, obojętnej zresztą zawsze, ale dla nich nieraz znaczącej, Zośka zrywała się pierwsza i wtedy nie skutkowały już żadne prośby i namowy staruszki.

— Proś-że pan od siebie! — odezwała się raz w takiej chwili pani Chojnicka — bo ja jej nie uproszę.

Ale pan Jasinowski postanowił sobie widocznie robić tylko to, czego pragnie sama Zośka i nigdy nie sprzeciwiał się jej woli, uszczęśliwiony panującą od pojednania harmonią. Nie odezwał się więc i wtedy na tę zachętę staruszki.

Zosia nie oczekiwała nawet jego odpowiedzi. Zamieniwszy z nim spojrzenie, powtórzyła raz jeszcze staruszce swoje „Dobranoc!” i zniknęła za drzwiami.

Panią Chojnicką zadziwiło to jednak, nie mogła się wstrzymać po wyjściu dziewczyny od uwagi:

— A to pan już dał się jej zupełnie za-wojować!

Pan Józef szczerze się zaśmiał.

— Nic mi nie będzie, moja dobra pani— rzekł wesoło — nic do samej śmierci.

— Zobaczymy! — rzekła staruszka z przekąsem.

— Zobaczymy! — odparł.

Teraz mógł już sobie powiedzieć, że odgadł i rozumiał Zośkę, a nauczony doświadczeniem, które prawdziwą męką przypłacił, był zupełnie zadowolony z każdej okruszyny łaski ukochanego dziewczęcia, jaką raczyła go obdarzyć.

Powiedzieli sobie oboje oczami i powtarzali to codzień, przy nowem spotkaniu u pani Chojnickiej, że się kochają, ale rozmowy prowadzili ciągle jak najobojętniejsze, bawiąc się jak dzieci, ową tajemnicą, której dotąd, nawet i po trzech tygodniach spotkań, nie domyślała się biedna stara dama, ciągle jeszcze zadająca sobie pytanie: co to z tego będzie?

Pewnego dnia, gdy już miesiąc dobiegał od pojednania, trawiona niepewnością pani Chojnicka postanowiła wybadać Zośkę w sposobnej chwili i dowiedzieć się od niej, co ona właściwie myśli o zamiarach pana Jasinowskiego, jak na to patrzy i jak w ogóle posunęła się ta sprawa.

Znała dobrze drażliwość dziewczyny, ale liczyła na jej przywiązanie, a mówiła sobie, że uczyni to jak najostrożniej, aby Zośki nie dotknąć i nie urazić.

— Jeżeli kto—myślała—ma prawo do jej zaufania, to chyba ja najwięcej.

Sposobność znalazła się wreszcie, Zosia bowiem przychodziła tu bardzo często o całą godzinę wcześniej od pana Józefa, aby wkrótce po przywitaniu ze staruszką, rzucić się ku fortepianowi i przy ślicznej grze swojej marzyć, a nawet i szaleć czasami.

Nieraz przynosiła nowe nuty i przez ów miesiąc miała tu ich już sztuk kilka, a studia te prowadziła z jakąś gorączką i zapamiętałością, grywając bez wytchnienia.

Pani Chojnicka, wtulona w kąć kanapy, słuchała jej z rozkoszą, w milczeniu; czasami tylko w przerwach między zmianą nut, odzywała się z przestroga:

— Dziewczyno, ty się zamordujesz!

Ale to wzmagало tylko zapał Zosi, która odpowiadała zwykle na te uwagi milczeniem.

Raz tylko zawołała z nniesieniem:

— Pani! Ja dopiero przy grze czuję się sobą!

Zdarzyło się, iż dziewczyna spóźniła się i po przegraniu jakiegoś utworu z pamięci, nie chcąc widocznie aby ją zastał przy tem młody człowiek, zamknęła czemp prędzej fortepian i usiadła obok staruszki.

Pani Chojnicka postanowiła skorzystać z tej chwili i po namyśle zwróciła się do dziewczęcia, mówiąc nieśmiało:

— Aj, Zośko, takbym się chciała o coś zapytać.

Dziewczynę tknęło jakieś przeczucie.

— O co?—spytała.

— Ach, Boże!—westchnęła stara, kiedy to tak trudno...

Zosia domyśliła się już teraz wszystkiego i czuła, że serce jej mocniej uderza.

— Widzisz, rybeńko—poczęła pani Chojnicka — nie powinnaś dziwić się mojej ciekawości, bo przecie wiesz, jak mię los twój zajmuje. Pragnęłabym dowiedzieć się coś od

ciebie, jak tam postępuje wasza... wasza... zgoda z panem Józefem i co wy zamysłacie?

Pomimo całego przywiązania do opiekuńki, Zosia miała teraz wrażenie, iż dotknęła jej jakaś świętokradzka ręka. Zazdrosna o swe uczucie i skrywająca je dotąd, jak jej się zdawało, przed całym światem, nie mogła pogodzić się z myślą zwierzeń wobec staruszki i uczuła, że ją to boli. Byłaby poświęciła wiele za to, aby nie być jeszcze zmuszoną do żadnych wyjaśnień, bo dotąd odpychała je nawet od siebie, nie chcąc nad tem myśleć.

— Nic mi nie odpowiesz? — dodała stara z żalem.

— Owszem — odparła Zośka — ale ja myślałem, że paniusia sama widzi, iż my sobie sprzyjamy i nie potrzebuje odemnie żadnych zapewnień.

— Tak, widzę i wiem — mówiła dalej pani Chojnicka — ale byłoby mi to od ciebie tak miło usłyszeć.

— Co tu mówić — brzmiała odpowiedź — dobrze nam z sobą i oto wszystko, moja paniusiu. A co tam będzie z tego kiedyś, to ja już nie chcę o tem myśleć. Będzie, co Bóg da!

Dalszą rozmowę przerwało przybycie pana Jasinowskiego, który, przywitawszy się z paniami, odezwał się do Zosi:

— Sądziłem, że panią dziś wyprzedzę, bo wcześniej przybywam.

— O! Zośka tu jest już od pół godziny — przemówiła pani Chojnicka, wyręczając dziewczynę w odpowiedzi.

Wymieniono jeszcze parę frazesów, poczem zaległa cisza.

Pan Jasinowski dopiero po chwili spostrzegł tego dnia, że stara dama niema jakos właściwej swobody, a Zosia, bledsza i mniej ożywiona niż zwykle, nie jest już tak łaskawą dla niego w rozmowie oczu, którą zwykle prowadzili tu podczas tych zebrań.

Ufał już jednak Zosi i łatwo ją usprawiedliwiał, nie podejrzewając niczego i tłómacząc sobie tę jej wstrzemięźliwość tylko zmęczeniem spędzonego na lekcjach dnia.

Nie zdziwiło go też, iż dziewczyna niebawem podniosła się i spytała, zwracając się do staruszki:

— Pozwoli mi pani zagrać?

— A graj sobie rybeńko — odparła pani Chojnicka — wiesz, że to zawsze bardzo lubię.

— A pan? — spytała jeszcze Zośka i obdarzyła młodego człowieka uroczem spojrzeniem, wiedząc że musi mu ono zastąpić dziś rozmowę, do której dziewczyna straciła już ochotę.

Nie czekała nawet na odpowiedź i odbiegłszy do fortepianu, poczęła grać jakiegoś upajającego walca koncertowego, który płynął jak marzenie, z pod jej palców.

Był to tylko wstęp, zaraz bowiem poszły inne utwory i szalejąca Zośka podniosła się dopiero wtedy, gdy ręce poczęły jej odmawiać swych usług.

Pokrywając zmęczenie, porozmawiała jeszcze chwilę i oświadczyła, że już musi uciekać.

— Do widzenia, pani — mówiła — ale zapowiadam, że jutro się tu nie pokażę.

Posłała jeszcze jedno spojrzenie młodemu człowiekowi i zniknęła z pośpiechem.

Nocy tej znowu czas jakiś zasnąć nie mogła, zajęta myślami. Nie dziwiła się ciekawości staruszki, uważała to nawet za naturalne, a jednak drżała z obawy, że to z ko-

nieczności będzie się nadal powtarzało i przy jej drażliwości o drogą tajemnicę, zatruje jej jeszcze niejedną chwilę.

Nazajutrz poczęła się oglądać za jaką radą, ale nic wymyśleć na razie nie mogła i zrezygnowana wreszcie, pragnęła pogodzić się z losem i mówiła sobie:

— Co mi tam!

Na jedyne dwie lekcye, jakie jej jeszcze na lato pozostały, szła dziś dopiero około jedenastej, ale gdy, ubrana już, chciała ująć za klamkę, usłyszała stukanie do drzwi i głos: „List“.

Otworzyła drzwi ostrożnie i nie wychylając się z po za nich, wyciągnęła rączkę.

— Od pana Broniewskiego — powiedziano jeszcze i pismo znalazło się w rękach dziewczęcia.

Zośka poczęła szybko przebiegać list oczyma.

Okazało się, iż był od córki, nie od ojca, a uroczą wdowa prosiła w nim Zosię o przybycie: „kiedy chcesz sama, byle prędko“.

Przypomniała sobie, iż nie pokazała się tam już prawie od tygodnia i, po załatwieniu się z lekcyami, postanowiła odwiedzin nie

zwlekać. Zapowiedziała wczoraj, że dziś nie przyjdzie do pani Chojnickiej, pomyślała więc, iż dobrze się złożyło.

— Pójdę dziś około drugiej — myślała — aby nie trafić na obiad.

Młoda wdowa powitała Zosię serdecznie, ale jak marnotrawną córkę.

— Co się z tobą działo?—zapytała, usadowiwszy dziewczynę przy sobie i rozkośzując się jej ślicznymi oczami.

Zoska tłumaczyła się, jak mogła, choć jej to nie szło.

— Bo widzisz — mówiła pani Helena — chcielibyśmy z tatusiem koniecznie namówić cię do czegoś.

I po chwili zdziwiona dziewczyna musiała wysłuchać najserdeczniejszych zaprosin do towarzyszenia pięknej przyjaciółce w podróży do Krynicy, którą wdowa musiała odbyć dla kuracyi dzieci.

-- Posiedzimy tam tylko trzy tygodnie—mówiła — a zrobisz mi łaskę, jeśli dasz się na to namówić.

Zosia słuchała jakby oszołomiona.

— Nie myślę — dodała piękna pani — abym spotkała się z odmową od ciebie, Zosienko, bo teraz, w lecie, nie musisz mieć chy-

ba nawału lekcyj, a zresztą dałoby się może urządzić zastępstwo.

Nie dopuściła też dziewczyny do słowa i poczęła ją przekonywać, że odpoczynek taki i jej bardzo może posłużyć, że jej się należy za całe lata mozolnej pracy. Wreszcie oświadczyła z uśmiechem, że nie chce słyszeć o niczem, bo nie umiałaby odmówić sobie rozkoszy jej towarzystwa i już od dni kilku, od chwili powzięcia tej myśli, serdecznie się z tego raduje.

— Daj się namówić, moja Zosieńko — prosiła śliczna pani.

Zaledwie dziewczyna mogła nieco ochłonąć z wrażenia, jakie jej to zaproszenie sprawiło, nadszedł pan Broniewski i po przywitaniu począł odrazu:

— Jedziemy, prawda, panno Zosiu?

Dziewczyna zrozumiała już teraz, iż wszelkie wymówki nic tu nie pomogą i że nie będzie miała siły oprzeć się serdeczności tych zacnych ludzi. Rozrzewnili ją swoją dobrocią, której dziś nowy dowód składali, podsuwając jej możliwość wytchnienia i wypoczynku. Czowała dobrze, że odmowa dotknęłaby ich do żywego i że nawet chwilowe wahanie byłoby już niewdzięcznością z jej strony.

— Co ja mam robić! — zawołała do głębi wzruszona. — Państwo tacy dobrzy!

I wstrzymując łzy, które się jej cisnęły do oczu, przytuliła się do piersi ślicznej pani, poddając się bezsilna jej radosnym uściskom.

— Bravo! Wiwat! — zawołał pan Broniewski.

Dalsze układy nie zajęły wiele czasu i Zośka, ucałowana i wyściskana serdecznie przez śliczną panią, niemal ze łzami w oczach rozstała się z nią, uradowana i jakby oszłomiona tem wszystkim, co dziś ją spotkało.

Na ulicy opamiętała się odrazu i postanowiła pobiedz z tą nowiną do pani Chojnickiej. Starej damie należało się to niezaprzeczenie, za tę życzliwość, jaką jej zawsze okazywała.

Zjawiając się w pół godziny później przed zdumioną staruszką, rzuciła się jej na szyję i wyściskawszy mocno, zaczęła bez namysłu:

— Wie kochana paniusia, co mnie dziś spotkało i co mnie pojutrze czeka?

I zatrzymawszy się na sekundę, dodała z żywością:

— Wyjazd do Krynicy!

Na twarzy pani Chojnickiej odbiło się wielkie zdumienie.

— Zabierają mnie z sobą państwo Broniewscy — mówiła dalej Zośka — a postawili mi tę propozycję tak stanowczo, iż musiałam się zgodzić.

— Jakto? — przemówiła wreszcie stara dama, ochłonąwszy już nieco ze zdumienia — I to wszystko prawda?

— Najprawdziwsza! — odparła dziewczyna.

Nie dając już przyjść starszce do słowa, poczęła opowiadać dokładnie wszystko, poczynawszy od listu i przytaczała przytem niemal każde słowo i każdy argument pięknej pani, dodając, iż nie mogła pogardzić dobrocią, która ją ujęła za serce.

— Jeżeli czego mi żal — zakończyła — to rozłąki z panią.

— Cóż tam ja! — rzekła starszka. — Ja rada, że ci się to trafiło. Ale, widzisz — dodała, zajęta jakąś dręczącą myślą — gorzej będzie z tamtym... z panem Józefem... bo chyba sama się domyślasz, że... że go to trochę... obejdzie.

Zośka ucałowała jej rękę szczerze.

— Owszem, myślę nad tem — odparła już bez żadnych wykrętów i przyznam się paniusi, że sama pragnęłabym spotkać go tu... choćby dziś nawet... i jutro. Możeby się to dało jakoś zrobić, bo widzi paniusia, tylko już te dwa dni zostają.

— Zośka! — rzekła staruszka, która się wcale tej szczerości dziewczyny nie spodziewała, — bardzoś mnie tem uradowała i bardzo pocieszyła. Niech ci Bóg zapłaci!

Zasiadła też zaraz i skreśliła mały bilecik, który miał tu dziś sprowadzić młodego człowieka, mówiąc głośno: „adresuję do Banku, bo tam go jeszcze złapią“. Zapowiedziawszy, aby wysłano bezzwłocznie, kazała czempredzej podawać obiad.

— Dziś dopiero — mówiła — będzie mi smakował.

Siedziały jeszcze przy smacznym obiadku, rozbawione i uśmiechnięte, racząc się lekkim winem francuskim, gdy w przedpoкою rozległo się mocne szarpnięcie dzwonka.

— Ot, masz go! — szepnęła pani Chojnicka. — Cicho! Niech mu tam otworzą. Niech poczeka troszeczkę. Antosia pewnie mu powiedziała, żeśmy przy stole.

Ale Zośka poczęła się niecierpliwić i podnosząc kieliszek, zawołała:

— Za zdrowie paniusi — i wychyliła go duszkiem.

— I za twoje! — dodała staruszka.

Wzięły się teraz pod ręce i ruszyły do salonu. ale pani Chojnicka uczuła, iż dziewczyna, idąc obok niej, drży cała, jak w febrze.

— Zośka! — upominała cichutko.

Przyjąwszy ukłon od pana Jasinowskiego i wymieniwszy z nim powitania, zasiadły w milczeniu.

Stara dama nie chciała tracić czasu i umówiwszy się poprzednio z Zosią, że bierze na siebie oznajmienie owej nowiny młodemu człowiekowi, poczęła po małej chwili widocznego namysłu:

— Na pana, panie Józefie — rzekła — zawsze liczyć można. Nie zawiodłam się na pana jeszcze nigdy, a dziś rada jestem, żeś pan mej prośby wysłuchał.

Pan Jasinowski, któremu twarz błyszczała radością, skłonił się w milczeniu. Nie uszło jednak jego uwagi, że pani Chojnicka mówiła to, jakby ważąc każde słowo z osobna, a nie rozumiejąc, co to ma oznaczać, utkwiał pyta-

jące spojrzenie w oczach dziewczyny, jakby tam szukał rozwiązania dręczącej zagadki. Ten sztuczny wstęp wydał mu się bowiem podejrzanym i zaniepokoił go bardzo.

Zośka, czując, że krew ścina się w jej żyłach i nabiega do twarzy, wytrzymała śmiało wzrok młodego człowieka i zdjęta litością, postanowiła sama wyznać mu całą prawdę.

— To ja—rzekła, dziwiąc się sama swej odwadze — pragnęłam się z panem dzisiaj zobaczyć... Niech to pana nie dziwi, proszę... Pojutrze wyjeżdżam z panią Heleną do Krynicy...

— Na długo?— spytał pan Józef głucho, ale bez wysiłku.

— Na trzy tygodnie—odparła Zośka cichym szeptem.

Wygrała sprawę tą właśnie odwagą.

Młody człowiek wyraził jej bowiem oczami całą bezgraniczną wdzięczność za tę szczerość, z jaką z nim postąpiła.

— Bardzo dobrze pani czyni—odpowiedział serdecznie.

Pani Chojnicka uszom swoim nie chciała wierzyć. Zadanie, którego się podjęła, wydawało się jej niezmiernie trudnem a tym-

czasem oni w paru wyrazach załatwili to wszystko między sobą.

Teraz dopiero, wyręczając Zosię i korzystając z milczenia, jakie zaległo salon, poczęła opowiadać wszystko to, czego się od Zosi dowiedziała. Mówiła przytem, że się bardzo z tego raduje, iż Zosi zdarzył się wypoczynek tak niezbędnie dla niej potrzebny i pożądanym.

Dosiedziano dnia tego blisko do dziesiątej, a czas płynął wszystkim tak szybko, iż dopiero nagle Zośka spostrzegła, iż powinna już wracać.

— A teraz, moja paniusiu — rzekła — niech mi pani pośle po dorożkę.

Pan Jasinowski, nie mówiąc słowa, rzucił się ku drzwiom i po chwili dorożka czekała już w pogotowiu.

— Jutro proszę was na obiad—dodała pani Chojnicka—i znów spędzimy wieczór razem.

W dzień odjazdu Zośki, umówiła się stara dama listownie z panem Broniewskim, że zjawi się na dworcu z pożegnaniem, ale prosiła, aby nic o tem nic wspominać ani Zośce, ani pani Helenie, bo chce, by to było dla nich niespodzianką. „Tylko przyjeździe wcześniej“ -- dodawała.

Pan Broniewski nie miał oczywiście nic lepszego do zrobienia, jak zdradzić zaraz tajemnicę przed Zosią i córką.

— Pocziwa! — rzekła Zosia.

Pani Chojnicka, której teraz towarzyszył pan Józef, zastała już wszystkich w poczekalni, a na wstępie wręczyła pani Helenie i Zosi po prześlicznym bukietcie.

Zosia rzuciła się jej na szyję.

— O paniusiu! paniusiu!

— Zbytki, mościa dobrodziejko! — dodał pan Broniewski.

Było pół godziny do odejścia pociągu, gawędzono też swobodnie, nie zważając na obecnych.

Czas ten zbiegł wszystkim na ogólnej rozmowie, jak jedna chwilka.

Gdy miano ruszać, Zosia sama zbliżyła się do pana Józefa, podając mu rękę.

— Niech pan o pani Chojnickiej nie zapomina — rzekła, patrząc mu w oczy — nie możemy jej oboje naraz opuścić.

— Codzień będę tam przychodził — odparł pan Józef — bo teraz zostaje mi tylko ta jedna życzliwa dusza.

— Dziękuję panu — szepnęła Zośka, podając mu rękę.

Gdy już miano miejsca zajmować, pani Chojnicka zawołała do dziewczyny:

— A pisz mi, Zośka... i często... bo głowę-bym ci urwała!

— Dobrze, dobrze! — odparła Zosia, całując ręce staruszki. — Będę pisała często! A niech tylko paniusia uważa na siebie, moja złota paniusiu.

Jeszcze parę słów życzeń i ukłonów i pociąg ruszył w kłębach dymu.

Upłynęła jeszcze chwila po jego zniknięciu, zanim pani Chojnicka spostrzegła znów młodego człowieka, który czekał w pogotowiu, aby wyprowadzić starą przyjaciółkę i odwieźć ją do domu.

— Pojechała! — odbiło się echem w sercu pana Józefa.

Dopiero w dorożce ochłonęli oboje i pani Chojnicka poczęła rozpowiadać, iż ogromnie się cieszy, że dziewczyna odetchnie, zobaczy coś nowego i że pod opieką pani Heleny i jej ojca, będzie jej tam chyba, jak w raju.

Przed domem zagadnęła jeszcze, żegnając się, pana Józefa:

— Pan przecie nie opuści mnie teraz, panie Józiu?

To samo — dodał z uśmiechem — polecała mi panna Zofia.

— Moja złota rybka!

*

*

*

Siadywali teraz oboje całe popołudnia, gawędząc o tem i owem, a zawsze rozmowa w końcu przechodziła na nieobecną dziewczynę. Poczęli wówczas wyrywać sobie z ust to lub owe wspomnienie o Zosi, a niejedno z nich rozrzewniało staruszkę i młodego człowieka, choć nie chcieli okazać po sobie wzruszenia i kryli się z niem zazdrośnie.

— Pamiętasz, panie Józiu?

— Pamięta pani?

A wspomnień tych nigdy im dosyć nie było — nigdy się nimi nie mogli nasycić.

Czasem mogli mówić z sobą najobojętniej przez całą godzinę i widocznie starali się o to oboje, poruszając w tych gawędach wszystko, co na myśl im przyszło — niebo i ziemię. Przetrzytywali się wzajemnie, choć wiedzieli dobrze, że to wysiłek daremny, czczy i pusty.

Zawsze też nadchodziła chwila, gdy milknąc, spuszczała najprzód oczy, a gdy je po chwili podnosili, uśmiech wykwitał na ich ustach, a serca poczynały silniej uderzać.

— Zawsze mnie pan Józio skusi — odezwiała się pani Chojnicka pewnego dnia w takiej chwili.

— Com ja winien, złota pani? — odparł pan Jasinowski z głębokim uczuciem.

Nie byliby teraz mogli obejść się bez siebie, czuli bowiem oboje, że cały urok tych wspomnień o ukochanej dziewczynie tkwi tylko w tem, iż mogą je wspólnie ze sobą dzielić.

— Wie pan co? — rzekła pani Chojnicka czwartego dnia od wyjazdu Zośki. — Mógłby mi pan zrobić tę łaskę, aby teraz przychodzić do mnie na obiady. Jakbym ja panu Józiovi była za to wdzięczna!

Pan Jasinowski zrozumiał, że idzie tu o przedłużenie wspólnych gawęd i pomyślał z radością, iż dobrze wywiązuje się z poleceń Zosi, bo staruszka obejść się widocznie bez niego nie mogła.

— Przecie to panu — mówiła dalej biedaczka — nie może zrobić żadnej różnicy. Z ochotą zawsze zaczekam na pana Józia pół

godziny. A gdyby pan wiedział, jakie te obiady moje teraz puste, toby się pan nade mną zlitował z pewnością.

Pan Józef uczuł łyzy wzbierające pod powiekami.

— Od jutra? Dobrze? — dodała jeszcze pani Chojnicka.

— Pani, pani, pani! — zawołał tylko w odpowiedzi młody człowiek, całując gorąco ręce starej przyjaciółki.

Odtąd nie mógł już usiedzieć w biurze i zwykle na dziesięć minut przed innymi rzucał zajęcie i pędził w stronę ulicy Pięknej, jak szalony.

Szósty dzień upływał, a od Zosi nie było żadnego listu, żadnej wiadomości.

Pani Chojnicka dotąd jakoś tego nie spostrzegła, ale pan Józef, przyszedłszy na obiad, zwrócił się zaraz z żywym zapytaniem:

— Nie było też, proszę pani, jakiej wiadomości od panny Zofii?

— Patrzałże pan! — zawołała stara dama, uderzona nagle tą myślą. — Patrzałże, panie Józiu! Nie było! A to błąk! — dodała.

Zasiedli dziś do stołu bez zwykłej swobody i bez humoru, spuszczać oczy na ta-

lerze i nie wiedząc nawet, iż podano wybor-
ną zupę żółwiową.

Obiad zapowiadał się jak najgorzej, ani
bowiem pan Józef, ani pani Chojnicka, nie
mieli ochoty ust otworzyć i pokój jadalny
zaległo milczenie.

Drugie danie, na nieszczęście opóźniało
się jakoś i pani Chojnicka poczęła się już
trochę niecierpliwić,

Naraz, z większym niż zwykle hałasem
roztwarły się drzwi i Antosia, jakby wystra-
szona, wchodząc z półmiskiem, już od drzwi
zawołała:

— Proszę pani! Dwa listy teraz z po-
cztą przyszły!

I pobiegła wprost do pani Chojnickiej
i stając bokiem, z rękami zajętemi półmiskiem,
dodała, wskazując oczyma na biały fartu-
szek:

— Są tu, w kieszonce!

Pani Chojnicka wyjęła oba listy i spojrze-
wszy na kopertę pierwszego, wrzasnęła prze-
rażliwie:

— Jezus, Marya! Od Zośki!

Pan Józef odetchnął pełną pierśią, a oczy
jego zaświeciły, jak u wilka.

— A ten drugi — mówiła pani Chojnicka, rozpatrzywszy się w adresie drugiego pisma — od kochanej pani Heleny!

— Proszę pani, wszystko wystygnie — przerwała Antosia, stojąca ciągle z półmiskiem w ręku.

— Prawda, siadajmy! — odparła starszka, chowając listy za stanik.

— Siadajmy! — godził się młody człowiek.

— Obiad, który się tak źle zaczynał, był teraz jednym z najweselszych i ogromnie obojgu smakował. Jedli z wielkim apetytem, podnosząc często oczy od talerzy i wymieniając radosne spojrzenia, któremi jakby mówili sobie wzajemnie:

— „A co? Dobra?“...

Znowu przez chwilę oddawali się spożywaniu darów doczesnych i zaprzestali wymiany spojrzeń, jakby to mogło przyspieszyć koniec obiadu.

Nareszcie ku wielkiej ich radości, zjawiła się na stole legumina, którą już pospiesznie i z roztargnieniem poczęli nabierać na talerzyki.

— Kieliszeczek węgierskiego, panie Józiu — prosiła pani Chojnicka. — A nalej pan

i mnie, bośmy się trochę za bardzo spieszyli, a boję się, żeby mi to nie zaszkodziło.

Pan Józef nalawszy kieliszki, zawołał ochoczo:

— Zdrowie panny Zofii!

— Całem sercem! — odparła staruszka, trącając się swoim kieliszkiem.

Po chwili podniosła się pierwsza pani Chojnicka i wsparta na ramieniu młodego człowieka, przeszła do salonu, zasiadając wygodnie na fotelu, jakby gotowała się do jakiejś niezwyklej uroczystości.

— List od Zośki! — mówili sobie rozradowanemi oczami.

Staruszka, obejrawszy z uwagą elegancki arkusik, drobno zapisany na cztery strony, spojrzała raz jeszcze tryumfująco na pana Józefa i z namaszczeniem zabierała się do czytania.

List Zosi skreślony był barwnie i z tą szczerością, która nadaje niejako kształty wyrazom i na czytającym sprawia wrażenie, iż widzi i słyszy samego piszącego. Zośka miała ten dar zawsze i obecnie wylewała tu całą swoją duszę.

Najprzód opisywała podróż i zatrzymanie się w Krakowie na parę godzin, dla zwie-

dzenia miasta, wreszcie przybycie do celu i pierwsze wrażenia, jakie na nią wywarły nowe i nieznane widoki i to gwarliwe zbiorowisko ludzkie, o którym dotąd nie miała pojęcia.

Mówiła dalej o dobroci uroczej pani Heleny i o złotem jej sercu; o przywiązaniu dzieci, które bardzo ją polubiły i nazywają „ciocią“, wreszcie i o figlach, jakie na każdym kroku płała jej „nieznośny“ pan Broniewski, uprawiając nieraz w zakłopotanie — „sto razy nieznośny“.

— „Niech sobie panusia wystawi — pisała Zośka — co on mi dziś zrobił. Na promenadzie pokazuje mi naraz jakiegoś eleganckiego i niebrzydkiego, ale czarnego mężczyznę z wielkimi wąsiskami i powiada: „Strzeż się, Zośka, bo ten magnat węgierski już od wczoraj za tobą się kręci i zjada cię oczami. Musiałaś przecie to zauważyć. Dziś zaś dowiaduję się w Kasynie, że wypytywał się wszystkich o ciebie i pewnie ci się wkrótce oświadczy — bo to u takiego nie kupić — a gdy go odrzucisz, palnie sobie w łeb, jak nic, na środku ulicy“...

Już to poznaję go po tem — przerwała z uśmiechem pani Chojnicka.

— „Nie uwierzy paniusia — pisała dalej Zosia — co mi to strachu napędziło. Odpowiedziałam panu Broniewskiemu, że znam się na jego żartach, ale gdy w ciągu godziny spaceru ze dwadzieścia razy te wąsiska koło nas się przesunęły i zawsze na mnie spojrzały, jak wół na nowe wrota — słowo paniusi daję — dusza we mnie skrzepła i starałam się już nie patrzeć na niego. Tymczasem na obiedzie — bęc! — znowu ów Węgier się zjawia, rozgląda się dokoła i siada o dwa stoliki od nas, kręcąc wąsiska. „Widzisz go?“ — spytał pan Broniewski. „Wtedy już, moja paniusiu, wypuściłam łyżkę i całe szczęście, że sobie nowej sukienki nie oblałam. Teraz urocza moja Hela, wzięła mnie w obronę i rzekła: „Tatusiu! Nie dręcz-że mi mojej Zosieńki“. Pan Broniewski porwał mnie wtedy za rękę i choć się broniałam, pocałował jednak, mówiąc: „Już nie będę!“ Dopiero wtedy odetchnęłam swobodniej, moja paaiusu“...

Z listu było widocznem, że dziewczyna zachwyca się tą wycieczką i pełną piersią używa swobody i wypoczynku. Opisywała jeszcze willę i swój pokoik, cacany, niebieski, w którym najlepiej idzie im wieczorna

gawędka z panią Heleną, a opowiadanie to przerywała częstemi zwrotami: „Ach, że to paniusia mnie tu nie może widzieć“ — „że to paniusia nie ze mną“ — „żeby tu pani była“...

Pani Chojnicka, odczytawszy list do końca, chciała go już odłożyć, gdy naraz spostrzegła jeszcze dopisek, drobniutko w poprzek skreślony na marginesie,

— Aha! — rzekła do siebie — jeszcze tu coś dopisane.

Panu Józefowi poczęło teraz serce bić gwałtownie, kredowa błądź pokryła mu twarz i czoło, a w zapatrzonych oczach tlił płomień nadziei i zwątpienia zarazem.

— „Ale, ale! — czytała pani Chojnicka — co tam porabia jeden pan i jak się wywiązuje z moich poleceń? Czy codzień przychodzi do paniusi, czy grzeczny, czy pani nie dokucza? Niech mi o tem paniusia także napisze“...

— Ach. Boże, Boże! — westchnął pan Jasinowski z pełnej piersi.

— „I jeszcze jedno — kończył się dopisek. — Zabrałam tu trzy fotografie paniusine, te, które mi pani dała i trudno opowiedzieć ile mi one przyjemności sprawiają...“

Wie paniusia — czytała pani Chojnicka — chciałabym mieć jeszcze czwartą... ale... ale... ale...“ (teraz zaczęła utykać)... „nie po... po-wie... ponie...“

— Co u licha! — wykrzyknęła — ostatniego słowa nie mogę przeczytać.

— Może mnie się uda — rzekł pan Józef, odbierając list od staruszki.

— Spróbuj pan!

Pan Jasinowski spojrzał na wskazany ustęp i z piersi jego wyrwał się stłumiony okrzyk radości.

— Wie pani, co napisane? — mówił z gorączką. — Tu wyraźnie stoi: „Chciałabym mieć jeszcze czwartą... ale... ale... ale... nie paniusina!“

Pani Chojnicka zrozumiała.

— A to filut dziewczyna! — zawołała — nie moją, więc widocznie twoją, kochany panie Józefie?

Młody człowiek, którego oczy zajaśniały bezgraniczną miłością, nie mógł zrazu głosu wydobyć.

— Boję się w to uwierzyć — przemówił wreszcie — a jednak to prawda, bo tu jest istotnie: „nie paniusina“.

— Ale tak, tak, niezawodnie — potwierdziła staruszka.

Poczęli teraz już zastanawiać się nad niektórymi ustępami drogiego listu, przypominając sobie różne wyrażenia i odczytując je na nowo. Zapomnieli teraz na chwilę o wszystkim na świecie i Zośka nie schodziła przez długą chwilę z ich ust i myśli.

— A drugi list? — przypomniał wreszcie pan Jasinowski.

— Prawda... drugi... od pani Heleny — mówiła pani Chojnicka. — Odczytaj pan, bo mnie już trochę męczy głośnie czytanie.

I ten list ślicznie był napisany, ale nie sprawił już wrażenia na pani Chojnickiej. Tylko pan Józef rozkoszował się temi pięknymi, utoczonymi zwrotami, w których przebijiała wytworność wielkiej pani i przy całej serdeczności, pewna dyplomatyczna powściągliwość.

Pani Helena mówiła głównie o wdzięczności, jaką uczuwa dla staruszki za to, iż powierzyła jej ten drogi skarb, Zosienkę, w której towarzystwie ma teraz raj prawdziwy.

I tu było postscriptum.

„Zosieńka patrząc przez ramię, przypomina mi o ukłonie dla pana J. za to, iż się podjął opieki nad czcigodną i zacną Panią. Proszę zapewnić, że byłabym to sama uczyniła, bez przypomnień Zosieńki“...

Po odczytaniu tego listu zaległa salon długa cisza.

Ani staruszka, ani młody jej przyjaciel nie mieli już teraz najmniejszej ochoty do dalszej gawędy. Opanowała ich jakaś bezwładność, która czasami towarzyszy radości, objawiając się pewnem lenistwem myśli i uczuciem znużenia i zmęczenia.

Tego uczucia doznawali teraz oboje. Pragnienie samotności i swobody, któraby pozwoliła cieszyć im się skrycie, samolubnie, nie na oczach ludzkich, ogarniało ich coraz więcej, z każdą chwilą.

Najpierw zdał sobie z tego sprawę pan Jasinowski i z jakąś skwapliwością porwał się z miejsca i począł się żegnać.

— Niech mi pani przebaczy — mówił — ale ja już panią pożegnam.

Ku jego zdziwieniu, staruszka, jakby myśl jego odgadła, uśmiechnęła się tylko, szeptała z zwicha z jakąś pobłażliwością:

— Idź, panie Józefie! Idź!

Dnie mijały, a oni żyli teraz wyłącznie temi listami dziewczyny, która nie żalowała papieru i nieraz dzień po dniu obdarzała ich nową jakąś wiadomością.

Najwięcej uradował ich ten list Zośki, w którym prosiła pani Chojnickiej, aby podziękować „jednemu panu“ za przysłanie fotografii. „Oglądam go sobie bowiem — pisała — na zawołanie... t. j. co tydzień“.

— Widzi pan — odezwała się wówczas stara — co to za złoto!

Zawsze wszystkie wzmianki o „jednym panu“, kreślone były stale w przypiskach na marginesach. Pan Józef tak przywykł do tego, iż przy każdym nowym liście zapytywał najprzód: „Jest to, co pani wie?“ — a pani Chojnicka zwykle odpowiadała: „Jest!“ W odpowiedziach swych do Zośki nigdy też nie pisywała inaczej, jak o tym „jednym panu“:

Począł wreszcie zbliżać się kres rozłąki.

Listy Zosi zjawiały się ciągle jeszcze punktualnie, ale mimo radości, jaką sprawiały pani Chojnickiej i panu Józefowi, oboje liczyli już teraz dni, jakie pozostawały jeszcze do powrotu ukochanego dziewczęcia.

— Panie Józefie — rzekła w trzecim tygodniu staruszka — przecie to już tylko pięć dni do powrotu Zosieńki?

— Cztery — odparł pewny siebie pan Jasinowski.

— Ejże? — poczęła myśleć i liczyć coś w głowie. — A tak, prawda, cztery dni tylko!

Nazajutrz mieli się jednak rozżarować w swoich rachubach.

W liście, który teraz przyszedł, donosiła Zosia, iż jeszcze o całe dni dziesięć przedłużają swój pobyt, po Krynicy bowiem jadą jeszcze do Wiednia, a potem zamyślają zwiedzić dolną Austryę. Mają to być — dodawała Zośka prześliczne góry, a nazywają się jakoś „Salzer...kamer“, czy coś takiego. Obiecywała spamiętać dokładniej, gdy drugi raz usłyszy.

— Domyślam się: Salzkammergut — wtrącił pan Józef.

„Cieszyłabym się z tego okrutnie — kończyła — gdyby nie ta jedna przykra myśl, że tam paniusia pewnie już mnie się spodziewała. A tu jeszcze tyle do tego. Ale może „jeden pan“ jeszcze się paniusi nie znużył, a byłoby to dla mnie pociechą“.

Zamilkli na chwilę oboje.

— Widzi pan, dziesięć dni! — mówiła staruszka rozpaczliwie.

Pan Józef lepiej liczył.

— Właściwie jeszcze dwanaście—rzekł— bo list szedł dwa dni, a dwa też jeszcze od dziś posiedzą w Krynicy.

— Dwanaście! ładna pociecha!

Musieli jednak pogodzić się z nieuniknioną koniecznością i w tym celu starali się nie myśleć o zawodzie, jaki ich spotkał. Na-za jutrz przyszli do przekonania, iż najlepiej nie poruszać tej sprawy, bo wtedy łatwiej przyjdzie zapomnienie. Nie pomyśleli nawet, iż postępują na podobieństwo strusia, co schowawszy głowę w piasek, sądzi, że zapewnił już sobie doskonałą obronę.

Ale tęsknota nie dawała się oszukać i poczęła czepiać się najpierw pana Józefa, który często teraz zapadał w zadumę, goniąc widocznie myślą jakieś mary, urocze a jednak niepochwytne.

Niebawem uczucie to opanowało snać i panią Chojnicką, nieraz bowiem, pomimo męczącego wysiłku, pierś jej podnosiła się nagle głębokiem westchnieniem, a z ust wybiegał szept: „Ach, Boże, Boże!”

Dopiero nowy list złotowłosej dziewczyny, skreślony w jakimś hotelu górskim, rozjaśnił odrazu te mroki oczekiwania i przywrócił oboje do równowagi.

W każdym wyrazie tego listu przebijała radość Zośki, niezmiernie uszczęśliwionej, że los pozwolił jej nasycać się widokiem piękności cudów stworzenia. Opisy były już bardzo lakonicznie, a zastępowało je jakieś upojenie, nadające wielki urok tej szczerzej spowiedzi z wrażeń i zachwyty, w których, ni by w krynicy, odzwierciadlała się piękna dusza dziewczęcia.

— „Paniusiu, paniusu! — pisała dziewczyna — jaka ja szczęśliwa!“.

Stara dama, po odczytaniu pisma Zosi, poczęła mrużyć oczy, jakby przed nagłym blaskiem i niebawem rozplakała się rzewnie.

— A to chyba — mówiła przez łzy — Bóg mi zmysły pomieszał...

List stoczył się z jej kolan, a z piersi wydobywały się żalosne łkania, których starszka nie mogła żadną miarą opanować.

Rozkoszowali się znów odtąd wspomnieniami o ukochanej dziewczynie, która nie schodziła im z ust i ani spostrzegli, iż czas

mijał i zbliżała się szybko ku nim chwila wyzwolenia.

Zapomnieli już teraz nawet liczyć dni do powrotu Zośki i pewnego wieczoru spojrzeli na siebie z przerażeniem, słysząc dzwonek u drzwi frontowych.

— A to co?—rzekła staruszka—zobaczno panie Józiu.

Pan Józef pobiegł i po chwili zawołał z przedpokoju.

— Telegram z Krakowa! Pokwituję za paniusię!

— Chwała Bogu!—zawołała staruszka.— A dajże pan, daj!

Młodemu człowiekowi poczęły drgać ręce, gdy rozrywał pieczętkę.

— Czytaj, czytaj!

— „Banda cyganów—brzmiała depesza— stanęła już dziś w Krakowie w komplecie, jutro zwija szatnię i wieczorem wyrusza ku Warszawie, aby we czwartek rano uściskać panią serdecznie w jej domu i zwrócić skarb zabrany.“

Pod depeszą podpisany był pan Broniewski.

— Aha! Zaraz! — rzekła staruszka.— Ja-bym też dosiedziała w domu!

Poczem zwróciła się do młodego człowieka.

— Czwartek, to pojutrze?—spytała.

— Pojutrze — odparł pan Józef z cichem westchnieniem.

— Zamówię kareteę — oświadczyła pani Chojnicka—i pojedziemy na ich spotkanie.

Nazajutrz powtarzała ciągle: „jutro, jutro“, przez dzień cały, a wieczorem poczęła liczyć godziny, jakie ją dzieliły od upragnionego spotkania z dziewczyną.

— Już tylko dwanaście... już tylko dziesięć... dziewięć...

Pożegnała wcześniej pana Józefa i zaraz zabrała się do spoczynku, szepcząc sobie: Zośka, Zośka!

Spała tej nocy doskonale, wstała zatem świeższa, niż zwykle, i przywoławszy Antosię do pomocy w ubieraniu, o piątej zasiadła już do herbaty, zupełnie gotowa do drogi.

— Zeby tylko on się nie spóźnił—szepnęła, na myśl o panu Józefie.

Nie upłynęło dziesięć minut, gdy młody człowiek stanął przed nią i podbiegłszy od drzwi w jednym skoku, począł całować jej ręce.

— Siadaj i pij!—rozkazała krótko.

Pan Józef nalał sobie herbaty i w trzech haustach wypróżnił pierwszą filiżankę.

— Łyżeczkę araku do drugiej, panie Józiu—zaproponowała staruszka—ja z rana chętniej piję herbatę z tym zapachem.

Młody człowiek, rozpromieniony przepelniającem mu serce szczęściem, usłuchał i dołał sobie, nie mierzając nawet wcale.

— Ależ to od Józia łuna dziś bije—zauważyła staruszka z uśmiechem—a jak się pan wystroił, klękajcie narody!

Pan Jasinowski mimowolnie podkręcił czarnego wąsa.

Rozległ się turkot i przed oknami ukazała się przybywająca karetka.

— Zajechał?

— Zajechał!

Spojrzeli oboje na zegar jednocześnie.

— Dochodzi wpół do szóstej—rzekła pani Chojnicka—za dziesięć minut ruszymy.

Na dworzec przybyli na pół godziny z górą przed przybyciem pociągu i zasiedli w milczeniu w poczekalni pierwszej klasy.

— Uważał pan, jak mało jeszcze ruchu na ulicach — przemówiła wreszcie pani Chojnicka — a jaki dzień prześliczny!

— Prześliczny — i znów urwała się im rozmowa.

Nareszcie począł się wszczynać ruch na dworcu, służba przebiegała z pośpiechem i po pewnej chwili dał się słyszeć oddalony oddech zbliżającego się do celu pociągu, niewyraźny jeszcze, ale już niezawodny.

— Wyjdźmy! — zaproponował pan Józef.

— Nie puszczą, aż po dzwonku...

Pan Józef zniknął na chwilę i wrócił ze szwajcarem, który ułatwił wyjście tej jedynej parze.

Był już czas wielki i po chwili zarysowało się w oddali czoło maszyny, która pędem wbiegła na stację.

Pan Józef i pani Chojnicka, wsparta na ramieniu młodego człowieka, czynili baczny przegląd wychodzących podróżnych, ale ani z pierwszej, ani z drugiej klasy nie wyszedł nikt podobny choćby z pozorów.

— Ach, tam! Ze „Sleepingu“ wychodzą! — zawołał wreszcie pan Jasinowski i zwrócił się ze staruszką ku wagonowi sypialnemu.

Przybyli już ich spostrzegli i Zośka w podskokach zabiegła drogę starej przyjaciółce, rzucając jej się na szyję.

— Paniusia, paniusia! — i poczęła ją całować.

— Zośka, Zośka, Zośka! — bełkotała staruszka z załzawionemi oczyma.

Tymczasem zbliżyli się wszyscy i otoczyli kołem starą damę, witając ją nadzwyczaj serdecznie i z niezmierną czułością.

— Cóż to, łzy w oczach? — spytała pani Helena, obejmując rozrzewnioną staruszkę i całując ją po twarzy. — Któż to widział! — dodała z wyrzutem.

Pani Chojnickiej znów łzy zaświeciły w oczach, ale szybko je otarła.

Zośka, przybrana w lekką podróżną okrywkę jedwabną, która zacierała jej kształty zupełnie, korzystając z zamieszania, zbliżyła się do pana Józefa.

— Przyjechałam! — szepnęła, podając mu rękę do uścisku i spojrzawszy mu w oczy.

Omali przytem nie buchnęła śmiechem, na myśl, która zaświtała w jej główce: „A tom mu nowinę powiedziała“.

Pan Józef jednak nie zastanawiał się nad niczem i wpatrywał się w dziewczynę w milczeniu zachwyconemi oczyma.

Po wymianie kilku słów, przysunęli się do towarzystwa.

— Ładnie pani spełniła naszą prośbę — mówił pan Broniewski do staruszki — miała pani na nas czekać w domu.

— Nie mogłam!

— No, to teraz my zabieramy panią do siebie na śniadanie — rzekł stary żartowniś.

— Zabieramy! — powtórzyła pani Helena.

— Niech paniusia jedzie! — dodała zaraz Zośka.

Uroczą wdowa, przywitawszy się już poprzednio z panem Jasinowskim, zwróciła się do niego ze słowami:

— I pan nie może nam odmówić.

— Proszę bardzo — dodał pan Broniewski, ściskając mocno dłoń młodzieńca.

Na podróży czekały dwa powozy, w jednym z nich pomieszczono dziatwę z nauczycielką, w drugim zasiadły pani Helena z panią Chojnicką i Zośką, a pan Broniewski, podprowadzając pana Józefa do karety staruszki, rzekł:

— Siadajmy!

W domu czekał już stół zastawiony do śniadania, ale panie cofnęły się zaraz dla toalety do buduaru i nie chcąc tracić czasu na próżno, zabrały z sobą panią Chojnickę.

Pan Broniewski poprosił wówczas pana Józefa na cygaro do swego gabinetu, gdzie w oczekiwaniu na przebierające się panie, spędzili blisko godzinę na poufnej pogawędce.

Stary szlachcic, który już przy pierwszym poznaniu poczuł pewną sympatyę do młodego człowieka, począł mu teraz otwarcie okazywać swoją życzliwość i z wolna rozgawędzili się, jak starzy znajomi, którzy nie potrzebują tacić nic przed sobą i mogą mówić otwarcie.

Naraz zapukano do drzwi gabinetu.

— Tatusiu! — odezwał się głosik pani Heleny — my już gotowe!

— Już? — odparł pan Broniewski — bo-dajże was z takim pośpiechem, od którego kiszki grają marsza człowiekowi.

Po tej odpowiedzi, dał się słyszeć za drzwiami stłumiony chichot i cichy odgłos kroków, oddalających się w popłochu rozba-wionych swawolnic.

— No, tak, to co innego! — zawołał pan Broniewski, wchodząc z panem Józefem do jadalnego pokoju, gdzie już siedziała przy stole pani Chojnicka, a Zosia i pani Helena rozlewały herbatę do filiżanek.

Jasne, z odcieniem złotawym, lekkie sukienki, stroiły obie kobiety z jakimś nieopisanym urokiem, nadając im czar, który ciągnął oczy za sobą.

Sukienki skromne a bardzo gustowne, były wytworem wiedeńskim i niespodzianką dla pana Broniewskiego, który pierwszy raz dopiero od wyjścia żałoby oglądać mógł córkę w tak jasnym kolorze.

Śniadanie przeszło też wesoło, wypełnione gwarną rozmową, dotykającą od czasu do czasu wspomnień ostatniej wycieczki górskiej.

A po wstaniu od stołu, spędzono jeszcze z godzinę w salonie na ożywionej gawędzie.

Pierwsza ruszyła się pani Chojnicka i poczęła się żegnać, wszelkie zaś prośby pani Heleny i Zosi nie złamały postanowienia starszki, która powtarzała:

— Darujcie! Muszę już wracać!

Pan Józef pojął wówczas odrazu, że i jemu nie wypada dłużej zostać, jeżeli bowiem zjawił się na dworcu w towarzystwie damy, musiał teraz odwieźć ją do domu.

Zosi już wierzył i każdą wątpliwość o szczerości jej uczucia, odtrącał z oburzeniem a od powrotu ukochanego dziewczęcia, mówił sobie ciągle: „takie oczy nie kłamią!“

Pragnął teraz dowieść ślicznej dziewczynie, iż będzie jej godzien i może z nią rywalizować w trzymaniu na wodzy swego uczucia i w tym harcie duszy, który dostrzegał u niej w każdym postępku i którego od niej się nauczył.

— O! mój aniele! — pomyślał.

Obowiązek odprowadzenia starej przyjaciółki wydawał mu się teraz lekkim i słodkim i przynosił jakieś wewnętrzne zadowolenie.

Zosia wyczytała snąc tę myśl z jego twarzy i śmiało zbliżyła się ku niemu.

— Dobrze pan czyni — rzekła szepcąc — że nie opuszcza naszej przyjaciółki.

— Czy mogę mieć nadzieję — spytał pan Józef — że zobaczę panią dziś jeszcze?

— Tak... z pewnością,... tutaj.

Pan Jasinowski spojrział, jakby nie rozumiał.

— Zaraz się pan dowie o wszystkim — rzekła Zosia i nie oddalając się od jego boku, wskazała oczyma na staruszkę.

W tej chwili dały się słyszeć słowa pani Heleny, która mówiła do pani Chojnickiej z błagalną prośbą:

— Nie ustąpię, złota pani! Powinna paniusia zjeść dziś z nami obiadek i pod tym tylko warunkiem uwalniamy panią teraz, a oczekujemy popołudniu.

— Zosieńka tu zostanie? — pytała staruszka.

— Musi—brzmiała odpowiedź—wszystkie nasze rzeczy zmieszane w koszach i kufrach, a bodaj czy dziś skończymy z rozpakowaniem.

Zoska, podbiegłszy szybko, zawisła u szyi starej przyjaciółki i tuliła złotą główkę do jej piersi.

— Prosimy na piątą—szepnął tymczasem pan Broniewski do młodego człowieka.

Pan Jasinowski skłonił się w milczeniu i podał rękę staruszce.

Wszyscy wyprowadzili ich i długo żegnali na schodach okrzykami i przypomnieniami, zwróconemi ku pani Chojnickiej.

Przy obiedzie pan Józef znalazł się obok Zosi, a stało się to z woli uroczej pani Heleny, która wiedząc już o wszystkim, umyślnie usadowiła ich razem.

Napróżno jednak nie spuszczała z nich oczu przez cały obiad, który trwał blisko półto-rej godziny, młodzi bowiem zaledwo tylko

od czasu do czasu zamieniali po parę wyrazów, resztę zaś dopowiadali sobie niedostrzeżonemi rzutami spojrzeń, krótkich, przelotnych i niby obojętnych. Zdradzały ich tylko rozpromienione twarze i często uśmiechy, oznaczające zupełną zgodę i porozumienie.

Myliła się też śliczna pani, myśląc, że może dziś właśnie padło już między nimi jakieś wyznanie i „ostatnie słowo“.

Myśl ta, podyktowana istotnem przywiązaniem do Zosi, nie dawała spokoju pani Helenie. Znała ją dobrze i postanowiła cofnąć się odrazu, gdyby spostrzegła, iż dla zdobycia wyznań dziewczyny, musiałaby ją choćby najlżej urazić i dotknąć w jej uczuciu.

Po obiedzie, gdy podano kawę w salonie, śliczna pani wzięła Zosię pod rękę i odsunęły się obie do ustronnego kącika.

— Dobrzem uczyniła, Zosieńko—spytała — sadzając cię przy panu Jasinowskim?

— Ty, Helo — odrzekła Zośka — wiesz przecie o tem sama.

I jakby obawiała się dalszych pytań, poczęła cichutko swoją spowiedź.

— Nie wiele mówiliśmy, Heluniu—rzekło dziewczę — bo my już teraz zwykle unikamy

słów, choć sami może nawet nie wiemy czemu? Ale tak nam z tem dobrze, że nie pragniemy teraz niczego więcej... i czy ty Heluniu, uwierzysz... że nie gniewalibyśmy się, gdyby dzisiejsza chwila przeciągnęła się długo, bardzo jeszcze długo, bo ona taka śliczna, taka urocza!

— Aniele mój biały—zawołała wzruszona pani — teraz cię dopiero pojmuję! O! masz słusność! Przyjdzie inne szczęście, może nawet większe i pełniejsze, ale takie chwile, moja Zosieńko, to niby kwiat cudowny i one nie zatrą się nigdy w pamięci.

I opuściła głowę w zamyśleniu.

— Och, i ja je pamiętam—dodała—i zaliczam dziś do najmilszych wspomnień!

Po chwili, przy pożegnaniu, pani Chojnicka zagadnęła Zosię:

— Ty już, Zośka, wrócisz chyba jutro do siebie?

— I zaczniemy nowe życie! — odparła dziewczyna z zabawną powagą, rzucając się na szyję staruszki. — Do jutra paniusiu!

— A pamiętaj mi — dodała jeszcze staruszka—nie siedzieć dziś długo i wcześniej się położyć, abys dobrze wypoczęła.

— Dziękuję paniusiu — odparła Zośka — ale paniusia wyprawia mnie do spania z kurami!

Wszyscy się roześmieli.

— Najlepiej zaraz zabiorę się do tego — odezwała się Zośka z nadąsaną minką.

I obejmując główkę dłońmi, poczęła się kołysać z boku na bok i przyspiewywać:

„Lulajże mi, lulaj,
„Modre oczki stulaj!“...

Śmiech nappełnił teraz cały salon.

— Podoba się to paniusi? — spytała nagle dziewczyna, zaprzestając figłów.

— No, no! — rzekła udobruchana starszka — rób już co chcesz!

Pan Józef zbliżył się do dziewczyny i wyciągnął rękę do uścisku.

— Zgorszył się pan pewnie — spytała Zośka, patrząc mu w oczy i oddając uścisk dłoni.

— Ogromnie! — odparł z radosnym uśmiechem.

Poczęto się już teraz żegnać i odprowadzać, a gdy drzwi zamknęły się za gośćmi, Zośka rzuciła się na szyję uroczej wdowy i poczęła całować ją serdecznie.

— Jakam ja ci wdzięczna, Heluniu!

Po wyjściu pana Broniewskiego, który nie zapowiadał powrotu przed północą, usunęły się do buduaru i gawędziły jeszcze parę godzin. Dochodziła już jedenasta, gdy wreszcie, wśród nowych uścisków, rozeszły się na spoczynek.

Obiecywały sobie zbudzić się przed ósmą, tymczasem minęła już i dziewiąta, a w pokoju sypialnym zalegała głucha cisza. Napróżno służba nadśluchiwała, próżno też dzieci dopytywały się o mamusię i zarzucały dziadzie pytaniami: „Kiedy my siądziemy do śniadania?”

— Cicho!—uspakajał ich pan Broniewski -- niech mamusia pośni dziś dłużej.

Nareszcie przebudziły się niemal równocześnie.

— O jej!—zawołała Zośka—a tośmy zaspały, Boże, Boże!

— Istotnie—odparła pani Helena.—Trzeba nam się teraz pośpieszyć, bo tam moja dzieciarnia pewnie ze śniadaniem czeka.

Poczęły się śmiać na swój widok, ale żywo zabrały się do toalety.

— A wstawać tam, śpiochy! — odezwał się przez drzwi pan Broniewski, dosłyszawszy snąć, iż się już przebudziły.

— Dzień dobry, ojczulku!

— Dzień dobry panu!

W pół godziny były już ubrane i dzieciarnia powitała mamusię z wielkim hałasem.

Pod koniec śniadania pan Broniewski zagadnął Zosię:

— Chyba panna Zosia musi już u nas zostać do wieczora?

— Nie mogę, nie mogę!

— A przecie się panna Zosia w parę minut nie zapakuje, a bez rzeczy chyba nie pójdzie?— mówił pan Broniewski.

— Prawda, prawda! Co ja zrobiłam najlepszego!

— Nie wierz ojculkowi — odezwała się pani Helena—twoje rzeczy już wczoraj przed wieczorem wysłano ci do domu.

— Jacy państwo dobrzy! jacy dobrzy!

W godzinę później, serdecznie pożegnana i wycałowana przez dzieci i panią Helenę, biegła Zosia do swego mieszkanka, myśląc, jak ją też po miesiącu powita stara nauczycielka.

Kilka dni jeszcze upłynęło, zanim do domu zacnej staruszki powróciła znów dawna cisza, swoboda i spokój wielce już teraz upragnione dla młodej pary, pogodzonej z losem i oczekującej z utęsknieniem każdego spotkania.

Tymczasem pani Chojnicka, uszczęśliwiona z zacieśnienia węzłów dawnej przyjaźni z domem pana Broniewskiego i jego córki, poczuwała się do obowiązku przyjęcia ich raz jeszcze u siebie, trzeba się bowiem było „zrewanżować“.

Sposobność nadarzała się właśnie.

Zoska bowiem, która zawsze umiała znaleźć sobie chwilę w południe na odwiedzinach pani Heleny, przyniosła wiadomość, iż młoda wdowa, korzystając z zapowiadającej się pięknej jesieni, udaje się za dwa dni na wieś, do swego majątku, z ojcem i dziećmi.

Dziewczyna mówiła to z widocznym żalem, czuła bowiem, iż teraz właśnie przydało by się jej było to przyjazne serce, ale pani Chojnicka powitała nowinę z wielką radością, postanawiając wydać obiad pożegnalny.

Uroczystość ta odbyła się nazajutrz, a przyniosła Zosi wielką pociechę, pani Helena bowiem, podczas całego obiadu zajęta wyłącznie

rozmową z dziewczyną, prosiła serdecznie, aby pisywały do siebie, gdy muszą się rozłączyć.

— To będzie dla mnie Zosieńko — mówiła — wielka przyjemność!

— A dla mnie...—poczęła Zośka i łzy nie dały jej dokończyć.

Przy pożegnaniu raz jeszcze przypomniały sobie wzajemną obietnicę, a obie już miały łzy w oczach.

Nazajutrz wróciło wszystko do równowagi i znów rozpoczęły się owe spotkania popołudniowe, które już teraz stały się potrzebą obojga zakochanych.

Zdawało im się, że nie będzie w tem nic nowego i tak samo jak dawniej, upływać im będą wieczory na poufnych rozmowach i na zamianie tych spojrzeń, któremi już od pewnego czasu umieli sobie tak wiele powiedzieć.

Ale już po paru dniach spostrzegli, iż musiała zajść w nich jakaś zmiana, gdyż obojętna rozmowa rwała im się już teraz chwilkami i widocznie poczynała im ciężyć, niby pańszczyzna, którą odrabiali z musu i z jakimś zniecierpliwieniem. A przy każdym takim po-

tknięciu mieszał się oboje i nie śmieli oczu podnieść na siebie.

Nie wysilali się już teraz nawet na to, aby przymus ten ukrywać przed panią Chojnicką i gdy umęczyli się niekiedy tem nieznośnem nawiązywaniem myśli, które błądziły zdala od przedmiotu rozmowy i plątały ją bezładnie, zapadali wówczas z jakąś rozpaczliwą rezygnacją w milczenie i z lubością wypooczywali.

Po tygodniu sprzykrzyło się to Zośce, ale gdy chciała znaleźć jakąś radę, przyszło jej na myśl, że jednak ta nieznośna męka ma swoje dobre strony, bo jeżeli tylko zerwą owe więzy, będą musieli rzucić sobie ostatnie słowo i już na zawsze związać się wyraźnemi przyrzeczeniami.

Wyczekiwała tego wprawdzie z upragnieniem i wiedziała, że chwila ta nadejść musi i że jest nieuniknioną, jak świt ranny, jak zapadnięcie nocy, ale zarazem uczuwała jakąś trwożę na samą tę myśl, iż mogłoby to stać się już jutro, lub pojutrze.

Próżno mówiła sobie: „nie tchórz Zośka, bo ci to nic nie pomoże“, przekora bowiem jakaś, która się w niej znowu zbudziła, doradzała jej odwlec jeszcze ową chwilę.

Odrzuciła jednak te podszepty i przez dzień cały uczuwała jakiś żal do siebie samej za to; iż choć na chwilę zapomiała o słowach nieboszczki matki, która zawsze wierzyła w Opatrzność, czuwającą nad sierotami.

Teraz już oboje poczęli oswajać się z tą myślą, iż napróżno bronią się i muszą nareszcie raz powiedzieć sobie to, co czytają w każdym spojrzeniu swych oczu, które mówiły im tak wyraźnie: „My już swoi na zawsze!“

Nieme to porozumienie uspokoiło ich znów na czas jakiś. Wciągali teraz w swe rozmowy panią Chojnicką, z całą szczerością, i bawili ją swemi figlami, sami bowiem szczęśliwi, pragnęli widzieć tylko szczęście dokoła i poczuli się do obowiązku wdzięczności wobec zacnej staruszki, która temu ich szczęściu mimowoli może dopomagała i dawała im dotąd dowody wielkiej życzliwości.

Czuli, że miłość uczyniła ich lepszymi i radowali się z tego serdecznie.

Trzy dni minęło też znów dla nich, jak mgnienie oka, bo już teraz czuli, iż każda chwila zbliża ich do szczęścia. Rozkochane ich oczy uśmiechały się rozkosznie, jakby w ja-

kiemś porozumieniu, które im mówiło: „Oj, znowu o dzień bliżej!”

Zdali się już teraz na łaskę losu i ani na chwilę nie przyszło im na myśl, aby poszukać okazji i wydrzeć sobie wzajemnie tę tajemnicę, którą dotąd zmuszeni byli ukrywać.

Los, któremu zawierzili z taką ufnością, nagroził wreszcie ich cierpliwość, a stało się to w chwili, gdy najmniej się tego spodziewali.

Było to we czwartek—o! ten dzień dobrze zapamiętali i nigdy go nie zapomną!

Jak codziennie, przybyli do pani Chojnickiej i poczęli bawić starą damę różnemi konceptami, których im nigdy nie brakło. Staruszka pokładała się ze śmiechu, a ich pobudzało to tylko do nowych figłów. Pomieniali się wreszcie na kapelusze i podczas gdy pan Józef, w kapeluszu Zosi, udawał zażenowaną panienkę, ona przywdziała jego cylinder, udając eleganckiego młodzieńca. Poczęli biegać za sobą po salonie i mizdrzyć się zabawnie i śmiali się przytem sami ze siebie.

Zasiedli wreszcie zmęczeni, a pani Chojnicka przez chwilę jeszcze nie mogła uciszyć swego śmiechu.

— Ależ wyście się w korcu maku do-
brali — odezwała się wreszcie staruszka z ra-
dością.

Spojrzeli na siebie mimowolnie i czempę-
dziej znów oczy spuścili.

Sami nie wiedzieli, czemu to znane wy-
rażenie, które w tym razie odnosiło się zre-
szta tylko do ich usposobienia, tak jakoś
uderzyło ich oboje i wprowadziło w zamy-
ślenie.

Naraz we drzwiach odezwał się dzwonek.

— Ktoby to był taki? — szepnęła sta-
ruszka. — Nie ruszajcie się — dodała. — Za-
dzwoń tylko Zosieńko na Antosię, niech zo-
baczy.

Na wiadomość niedługo czekali.

— Ten pan, proszę pani — mówiła po-
kojowa — co to już był raz jeden.

— Wiem już! — odparła pani Chojnicka —
przeprowadź go tam przez podwórze do ja-
dalnego pokoju, niech zaczeka.

Rada nie rada, musiała objaśnić tę dziwną
wizytę swym gościom.

— Widzicie, moje dzieci, mam tam na
odludziu, pod miastem, małą chałupinę, tak
tam sobie, a ten jegomość, to właśnie nowy
rządca, którego muszę zgodzić.

A odchodząc, dodała jeszcze:

— Wybaczcie, moi drodzy, muszę się z nim rozmówić.

Młodzi odprowadzili ją oczyma i gdy drzwi się zamknęły, Zośka uczuła nagle, iż dreszcz przeszył jej serce.

Byli nareszcie sami, ale ta upragniona chwila spadła na nich tak niespodzianie, iż nie śmieli już oczu podnieść na siebie.

Zmieszani i jakby zawiedzeni, a pełni jakiejś zabobonnej trwogi, siedzieli teraz naprzeciw siebie, nieruchomo, w milczeniu.

A ta głucha cisza, jaka zalegała salon, poczęła dzwonić im w uszach nieznośnie i zapierać oddech w piersiach.

Nie mogli tej męki przedłużać.

Jeszcze sekunda i oczy ich spotkały się ze sobą, jakby zdziwione i załęknione.

I wtedy to dziewczyna, jakby przez mgłę, dostrzegła, iż towarzysz, nie ruszając się z miejsca, składa przed nią ręce z czcią jakąś bezmierną i z niemą prośbą w oczach.

Przymknęła oczy instyktownie.

— „Kocham!“ — rozległ się głos dźwięczny, łagodny, niemal żebrzący, a jednak pełen mocy i dziwnego czaru i uroku, który ją oszłomił.

— „Kocham!“

Miała teraz wrażenie, iż wyraz ten musnął ją po twarzy, jakby jakaś niewidzialna ręka rzuciła na nią garść różanych płatków.

Rumieniec oblał jej szyję i policzki.

Ale nie kryła już oczu powiekami, a choć nie patrzyła jeszcze wprost przed siebie, pozwalala jednak spoglądać w swoje rozmarzone źrenice i czuła wzrok, który nie schodził z jej lica.

— Kocham cię — dźwięczało wyznanie — kocham nad życie, nad wszystkie skarby świata całego, nad wszystkie wyrazy, kocham bez pamięci! Moja ty miłości! Zabrałaś mi serce od pierwszego wejrzenia, zabrałaś bezwiednie, tym czarem, o jakim do owej chwili tylko w marzeniach śniłem!... A i później jeszcze nieraz myślałem, że czar taki nie może po ziemi chodzić, żeś zesłała tylko ze stropów moich fantazyj, jak widzenie!... Była to niewola, ale niewola złotych kajdanów, któremi dotąd potrzasałem z dumą, aż wgryzły mi się w serce na wieki... O! słońko moje! świeć ty dla mnie, świeć nademną, bo nie pojmuję szczęścia bez ciebie, a jużbym nie wyżył bez twoich ocząt, bez twego głosu, bez twego uśmiechu, który mi świat ozłaca!... Panno Zofio... Zo-

siu... Zosienko... zlituj się!... rzuć mi choć cień nadziei...

Ale dziewczyna, która już od pierwszych wyrazów wstrzymywała łzy tylko wysiłkiem woli, zakryła teraz oczy chusteczką i wybuchnęła łkaniem, nie mogąc utulić swego rozrzewnienia.

Po chwili, która panu Józefowi wydała się wiecznością, Zośka otarła szybko oczy, a choć lśniły jeszcze w nich dwie perły, uśmiechnęła się rozkosznie i podała śmiało rączki do uścisku.

A gdy on zbyt długo je przetrzymywał, dodała nadąsana:

— Proszę puścić!

Siedzieli znów chwilę w milczeniu, patrząc sobie w oczy rapośnie.

— Panno Zofio!... nie, Zosiu! — począł cicho pan Józef — czy nic nie usłyszę w odpowiedzi na moją prośbę?

— Pan widzi przecie i wie — odparła.

— Ale usłyszeć „kocham“ z tych ustek, to dopiero byłaby rozkosz!

— E! kiedy nie... mogę...

— Niech Zosienka spróbuje... to nie-trudno...

— Ej! jak mnie pan dręczy... No, kocham! — rzuciła niedbale.

— Ale czy bardzo? — spytał jeszcze pan Józef, patrząc w oczy dziewczęcia.

Zośka uczuła znów w sobie przekorę.

— Właśnie, nie bardzo! — odpowiedziała z poważną minką.

— Józio będzie płakał..

— Niech płacze, owszem!

Pan Jasinowski nachylił się teraz ze swego krzesła, jakby chciał ucałować rękę dziewczęcia.

Ale Zośka schowała obie rączki za siebie.

— Tak? — spytał pan Józef z uśmiechem. — Taka Zosieńka dobra?

— Tak! — odparła.

— To się obejdę!

— Oczywiście! Lis i winogrona! — mówiła z uśmiechem, patrząc na niego pełnemi radości oczyma.

Pan Józef, upojony jej szczebiotem, chwycił się za głowę i powtarzał:

— Ach, moje złoto, moje skarby, moje gwiazdki, moje dyamenty!

Tymczasem roztwarły się żnów drzwi i ukazała się pani Chojnicka.

— Pozbyłam się nareszcie tego nudziarza—mówiła, zbliżając się ku swemu miejscu na kanapce, obok Zosi.

— Tylko ani słowa! — szepnęła zcicha Zosia do pana Józefa.

— Czemu?—zdążył jeszcze zapytać.

Ale ona nie mogła już odpowiedzieć, pani Chojnicka bowiem zasiadła na swoim miejscu.

— Spodziewam się — zaczęła stara dama — żeście się tu nie nudzili?

— O! nie, nie! — zastrzegli się oboje bardzo gorliwie.

Nastąpiła chwila milczenia.

Pan Józef począł teraz okazywać Zosi na migi, iż wszystko wyda przed staruszką.

Dziewczyna zrobiła wystraszone oczki i złożyła ręce do prośby.

— Co wy tam macie?—spytała stara dama, wpatrując się z kolei to w Zosię, to w pana Józefa.

Teraz powiedzieli sobie oczami, iż nie godzi taić się przed staruszką i Zosia, uznając sama tę konieczność, dała przyzwolenie skiniem głowy.

Pan Józef musiał się podjąć tego zadania i po chwili zaczął:

— Proszę paniusi! Nowina.

— Jaka?

— Zosia i ja jesteśmy już po oświadczeniach—odparł otwarcie.

— Co wy gadacie? -- zawołała — czy to tylko prawda? O! Jezu, Jezu! A toż ja tylko tego pragnęłam i zawsze to było mojem gorącym życzeniem. O! moje kochane dzieci! Co to za szczęście, co za szczęście! Boże najwyższy! czem ja za to podziękuję! Zośka! Józiu!

Poczęli teraz ścisnąć czule i całować po rękach zaczął opiekunkę, która wzajemnie oddawała im pocałunki i uściski, rozrzewniona, cała drżąca, a ucałowawszy ich oboje w czoła, wybuchnęła głośnym płaczem, zakrywając oczy, trzęsącemi się, jak w febrze, dłońmi.

Starali się ją uciszyć, uspokoić i oboje każde ze swej strony, ujęli płaczącą za ręce i udało im się nareszcie oderwać je od oczu.

— Złota paniusiu!

Staruszka otarła oczy:

— To nic, nic! To ze szczęścia, z radości, żeście spełnili to właśnie, czego tak go-

rąco pragnęłam! O! moja Zosiu! Józieczku kochany.

Po godzinie rozmowy, wypełnionej przeważnie wykrzyknikami uradowanej staruszki, pożegnali się serdecznie, wśród nowych całusów i uścisków starej damy, a ponieważ był jeszcze jasny dzień, wyszli oboje — pierwszy raz razem — uszczęśliwieni i uśmiechnięci.

Wiadomość rozbiegła się po znajomych w ciągu dni kilku, choć oni sami przed nikim nie przyznali się do niczego.

Zosia tegoż dnia jeszcze napisała jedynie do uroczej pani Heleny, zwiastując jej swe szczęście.

Dom pani Chojnickiej wrzał przez tydzień od ruchu i życia, mnóstwo bowiem osób zabiegało dla sprawdzenia wieści, począwszy od państwa Dworzeckich, Koreckich, śliczniutkiej panny Poziemskiej, a kończąc na liczonym bardzo szeregu znajomych dalszych staruszki. Pani Chojnicka była niezmordowana. Zamierzone małżeństwo młodej pary, uważała niejako za swoje dzieło, rada była takiej ciekawości ludzkiej, przed którą drzwi się tu teraz nie zamykały. Nie odmawiała

informacyi nikomu, a wszędzie z dumą zapewniała: „To ja ich wyswatałam!“

Pan Józef i Zosia, nie mogli przez ów pierwszy tydzień pokazywać się tu przez dzień i przychodzili tylko wieczorami, słuchając cierpliwie sprawozdań o tych wizytach i odpowiadając na zapytania pani Chojnickiej, czy szczęśliwi, czy się kochają, co robili wtedy a wtedy? Te kąty, tyle im nasuwały wspomnień, iż mimowoli oczy ich błędziły po nich z radością.

Ucichło to nareszcie i dopiero wówczas wrócili znów na obiady, pani Chojnicka bowiem zapowiedziała im uroczyście, aby nawet nie ważyli się jej sprzeciwiać, bo teraz mało już kto do niej zagląda, niechże więc ma ich dłużej przy sobie.

— Robicie mi łaskę, powiadała, gdy się wzbraniłi — łaskę i przyjemność.

Zosia rozpoczęła znów biegać za lekcyami, które jej całe ranki zapełniały. Lepszych parę straciła wskutek ukończenia edukacyi, wyjazdów i zmian losowych. Nie martwiła się jednak i wynagradzała to sobie ilością, a pracowała teraz ze zdwojoną siłą, oszczędzając grosz każdy, gdy go można było nie wydać.

Czasami jednak powracała bardzo strudzona, a obawiając się, aby na obiedzie po niej tego nie poznano, biegła najprzód do mieszkanka swego, rzucała się na łóżko z rękami pod głowę i wypoczywała, zapatrzona w sufit, lub licząc uderzenia serca swego.

Miesiąc dobiegał od oświadczyń, a pani Chojnicka dotąd nie mogła jakoś wydobyć od zakoełanych żadnej wiadomości o zamysłach i terminie, w jakim pragnę się pobrać.

Nagabywała to jedno, to drugie, zawsze jednak napróżno, zaraz bowiem tak zagadywali, że nawet nie mogła jasno postawić pytania.

Przecież raz udało się jej zagadnąć ich oboje.

— Cóż wy myślicie, moje dzieci? — pytała przy obiedzie. — Kiedyż zamierzacie skończyć ze sobą?

— Paniusia myśli o ślubie? — spytała Zoska udając domyślną.

— Oczywiście, że o ślubie — odparła starszka.

— Chyba jeszcze nie zaraz — odparła Zosia, po zamianie spojrzenia z panem Józefem — sami jeszcze nie wiemy. Zresztą jest

nam tak dobrze teraz, że nie chcemy się śpieszyć zbytecznie. Nie myślimy lat czekać, ale tygodnie... zobaczymy... naradzimy się jeszcze.

Urwała, bo on począł całować jej obie ręce, mówiąc przytem:

— Moje skarby! Moje złoto!

Ale pani Chojnicka nie dała się zbyć lada czem.

— Róbcie, jak chcecie, moje dzieci—rzekła — to już wasza rzecz. Ale, wiecie też—dodała nagle — co sobie dziś przypomniałam?

Spojrzeli na siebie z zaciekawieniem.

— A tożście wy, ladaco, dotąd się nie zaręczyli i pierścionczków nie zamienili.

— Prawda!—wykrzyknął on.

— Prawda!—dodała ona z żalem.

— Ja za was o tem pomyślałam — mówiła dalej dama — i jutro wyprawiam wam zaręczyny. Chcecie, sproszę sporo osób, nie życzycie sobie, urządzimy to sobie cichutko sami.

Zośka porwała się od stołu i rzucając się staruszce na szyję, wołała z radością.

— O! paniusiu! paniusiu! Pierścioneczek! marzenie moje, marzenie!

Oświadczyła im jeszcze, iż o pierścionki sama się postara, że muszą je od niej przyjąć i że od tego nie odstąpi.

Uszczęśliwieni i upojeni ceremonią zaręczyn, sami przybiegli za dni parę do staruszki z oznajmieniem, iż ślub pragną wziąć od dziś za trzy tygodnie, w końcu października.

— Bardzo dobrze!—odrzekła tylko.

Przejmując się coraz więcej rolą matki, pani Chojnicka wybrała się w dwa dni później sama do mieszkanka Zosi, przed dziewiątą rano i zastała ją jeszcze,

— Moja Zosieńko—odezwała się na wstępie, nie dając dziewczynie przyjść do słowa — trzeba teraz zakrzętnąć się nad wyprawą, nie można przecie odkładać na ostatnią chwilę.

Na twarzy dziewczęcia odbiło się zakłopotanie, dotąd bowiem o tem nie pomyślała.

— Widzisz, rybeńko — mówiła dalej stara dama bez wytchnienia — ja zajmę się tem z ochotą... dla mnie to będzie prawdziwą rozkoszą... boś ty mi prawie córką i ja też ko-

cham cię jak własne dziecię! Zresztą — dodała czempredzej — ja cię nie puszcze inaczey, tylko z porządną wyprawą.

Zośka załamała ręce bezsilnie.

— Paniusiu! — wołała ze łzami w oczach — ja tego przyjąć nie mogę! Nie, nie! Ja nigdybym się nie mogła wywdzięczyć.

Staruszka ujęła w obie dłonie twarzyczkę dziewczęcia.

— Pleciugo — mówiła — to nie żadna ofiara, to mój święty obowiązek!

Uściskały się serdecznie i umówiły zaraz, iż od jutra trzeba będzie codzień trochę czasu poświęcić na przejażdżkę po sklepach i magazynach. Pani Chojnicka nie chciała krępować wyboru Zosi, ale doradzała zawsze trafnie, w każdym wypadku, czy to dotyczyło jakiego stroju, czy domowego sprzętu. Dziewczyna zgadzała się na wszystko, czasami tylko bronila się przed niektórymi zakupami, wołając: „Paniusiu! A gdzie ja to pomieszczę?” — ale otrzymywała odpowiedź: — pleciugo, to wszystko potrzebne, potrzebne!”

Pan Józef dość długo nie domyślał się niczego, lecz spostrzegłszy wreszcie te ciągle konszachty obu kobiet, spytał pewnego razu przy obiedzie:

— Co panie ze sobą mają?

— A co panu Józiovi do tego? — odparła pani Chojnicka, wyręczając dziewczynę w odpowiedzi:

— Ona mi i tak powie, prawda Zosiu-niu? — spytał.

— No, więc robimy sprawunki — odrzekła stara dama — i jak będzie czas, to się pan dowie. A jej niech pan da spokój...

W tydzień wszystko było załatwione. Zośka dostawała wyprawę dostatnią, a nawet okazałą; niczego tu nie brakło, bo staruszka pamiętała o najmniejszym drobiazgu. Zbytku nie było w niczem, lecz natomiast wiele smaku i gustu, a pani Chojnicka miała słusność, gdy zapewniała, iż bez „porządnej“ wyprawy nie puści ukochanej dziewczyny.

Pan Józef, który już przed dziesięciu dniami oznajmił obu paniom, iż zdobył przyzłe gniazdko, dowiedział się też ze zdumieniem, iż pani Chojnicka pomyślała o przyzdobieniu tych trzech pokojów i saloniku.

— Niechno pan — rzekła stara dama — zostawi dokładny adres, to tam choćby jutro zwiozą mebelki. Tylko co do ustawienia, to już my z Zosieńką same zarządzymy.

Młody człowiek był jak oszołomiony.

— Jezu Chryste! — zawołał z uśmiechem — a toż ja nim się domyślał, że żenię się z takimi dostatkami!

I cała trójka uśmieła się serdecznie.

— Ale przecie — odezwał się jeszcze po chwili pan Józef — Zosiunia ma swoje meble, a i ja tam coś także u siebie znajdę do użytku.

I wtedy dowiedział się znowu, że i to wzięto w rachubę i o tem nie zapomniano.

Na parę dni przed ślubem, postanowiła pani Chojnicka zaprezentować młodą parę wybranym z pośród swych znajomych i urządzić wieczorek z kolacją. Wiedziała dobrze, że przybiegną wszyscy z zaproszonych i nikogo nie braknie, dokładała więc wszelkich starań, aby przyjęcie to, które miało zastąpić weselne gody, uczynić jak najokazalszem.

Nie zawiodła się też wcale, stawili się wszyscy, pociągnięci urokiem młodej pary i życzliwością dla zacnej staruszki, za tę jej opiekę nad sierotą. Było rojno i gwarno, a Zosia i pan Józef ciągle otoczeni, całe bowiem towarzystwo na nich skupiało uwagę. Panny Koreckie, panna Izabella i panna Poziemska, nie zapomniały o różnych upominkach. Każda coś przyniosła, a między dara-

mi znalazło się album, piękny szalik turecki, przyciski i inne drobiazgi.

Wszyscy obiecali stawić się na ślubie i rozeszli się dopiero około północy.

Na życzenie Zosi, ślub miał się odbyć wczesnym rankiem, o ósmej godzinie, po mszy świętej. Nie wstrzymało to jednak nikogo i cały kościół był natłoczony, a do kaplicy z trudem tylko przecisnęła się młoda para, torując drogą za sobą pani Chojnickiej, rozrzewnionej i uszczęśliwionej. Szli śmiało, on spokojny, poważny, ona bledsza dziś nieco, ale tem śliczniejsza i z uśmiechem jakimś w fiołkowych oczach. On jeden tylko czuł, że ukochana dziewczyna drży u jego boku, jak liść osiny, i tem mocniej przytulił ją do siebie.

Po odejściu od ołtarza, otoczyło ich całe grono znajomych i rozpoczęły się życzenia, przeplatane całusami pań z panną młodą i po chwili kareta uwiozła młodą parę.

Wprost z kościoła i wraz ze swą zacną opiekunką pojechali do jej domu, gdzie przygotowane było śniadanie, które mieli spożyć we troje, jak tyle razy przedtem i cieszyli się bardzo, że im to przypomni nie jedną minioną a złotą chwilę.

Gdy zajechali. staruszka nie wpuściła ich zrazu do salonu, lecz prosiła, by zatrzymali się w przedpokoju.

— Tak stary zwyczaj każe! — mówiła.

Naraz otworzyły się drzwi przed nimi i ujrzeli przed sobą starą przyjaciółkę, w otoczeniu służby, witającą ich chlebem i solą. Rozrzewnieni odebrali tacę i poczuli oboje całować jej rękę.

— Błogosławię was na tę nową drogę życia! — mówiła przytem uroczyście.

Śniadanie przeciągnęło się do południa, a gdy chcieli się żegnać, pani Chojnicka wyprowadziła Zosię do swego buduaru i zamknęła drzwi za sobą.

Dziewczynie ścisnęło serce jakieś przecucie

Staruszka wydobyla z szufladki jakąś dużą kopertę z pieczęciami i zwracając się do dziewczyny, rzekła:

— Przyjmijże to odemnie, moja pieszczotko, bo to już twoja własność. Zapiisałam ci tę bagatelkę, na wszelki wypadek, w moim testamencie, ale wolę dać dzisiaj, bo dziś więcej ci się to przyda...

Zośka mrugała oczyma, jak nieprzytomna i otwartemi usteczkami chwyciała z tru-

dnością powietrze, a wreszcie upadła bezwładna na fotel.

— Jezus, Marya! — wrzasnęła staruszka. — Co ci to, skarbie jedyny? Zośka, Zośka!

Dziewczyna przewyciężyła jednak omdlenie i poczęła spoglądać błędnymi oczyma.

Wreszcie rozplakała się rzewnie, po chwili zaś, z temi łzawiącemi się oczami, utuliła główkę na piersiach staruszki i poczęła mówić zcicha, wolno, słabym głosem:

— Moja dobra paniusiu, ja paniusi bardzo wdzięczna za tę ofiarę... ja paniusi tego nigdy nie zapomnę... i całe życie będę pamiętała, ale... ale ja... przyjąć tego nie mogę... nie mogę!...

Staruszce zaświeciły łzy w oczach.

— A widzisz, jakaś ty przecie niedobra! — mówiła, kwiląc, jak małe dziecko. — A ja się tak cieszyłam, że ty to przyjmiesz, że nie wzgardzisz i że cię uraduję... Ranisz mi serce, dziewczyno, ranisz mi moje biedne serce!

Zośce to kwilenie staruszki targało duszę na strzępy.

Poruszyła się żywo i podniosła główkę.

— Co to jest? — spytała, wskazując oczyma na kopertę.

— Pięć tysięcy rubli...

— Święty Boże!

I nachylając się do ucha staruszki, po-
częła:

— Niech paniusia to schowa teraz... to będzie moje... moje... moje... ale ja teraz tego nie wezmę, bo nie chcę kłamać przed Józiem, a nie powiedziałbym mu za żadne skarby... Powtarzam paniusi, że przyjmuję, słyszy paniusia? Ale teraz musimy sobie dać radę sami — musimy!

— Przysięgnij mi na pamięć matki swojej — rzekła teraz staruszka — że jeśli tylko znajdziesz się w jakim kłopotcie, przyjdiesz i zabierzesz tę swoją własność!

— Przysięgam! — odparła Zośka z okrutnym wysiłkiem.

Otarły oczy i wyszły do oczekującego pana Józefa i zupełnie z pozoru spokojne, ucałowały się gorąco.

— Idźcie z Bogiem! — rzuciła za nimi staruszka.

Minęło dwa lata...

W kołysce kwilił już od roku tęgi chłopak, takie „duzie, pyziate bobo, z fioleckami w ślicznych dużych ocątkach“ — jak się o nim wyrażała uszczęśliwiona matka.

A był to wisus nielada i niemało nabroił już w swoim krótkim życiu!

Rozbójnik ten zabrał z biureczka mamusi chowany tak długo „papiererek“ — i na dobitkę, w skrytości przed tatusiem, który ciągle jeszcze pocieszał się myślą: „Poratujemy się w ostateczności tą premiówką“.

Ten „tatuś“ zabiegał, pracował po nocach, odmawiał sobie wszystkiego i starczył długo na wszystko, ale drżał na myśl, że niebawem nowa kołyska wyrwie równie nową dziurę w budżecie domowym.

I wyrwała!

Pieniądze płyną teraz, jak woda, rubel goni rubla i dogonić nie może...

Wieczór zimowy... Słaby płomień lampy oświetla parę młodych ludzi, którzy siedząc w małym buduarku, zapomnieli o stygnącej herbacie i bułkach z masłem, a oczyma wodzą w zamyśleniu od kołyski ku łóżku, nasłuchując oddechów dziecięcych.

Ten w kołysce zakwilił, mamusia pobięła, nachyliła się nad malcem i po chwili znów nastąpiła głucha cisza.

Jakaś myśl błyska teraz w oczach młodej kobiety. Posuwa się ku mężowi, głaszcząc go po twarzy i mówi:

— Zostań i czuwaj nad naszemi skarba-
mi, ja zbiegnę tylko o piętro do sąsiadki.

Zgodził się w milczeniu.

Nie było jej całą godzinę, a gdy wróciła, on dopiero teraz spostrzegł, że była ubrana w futerko i w czapeczce na głowie,

Zbliżyła się do niego i całując go w usta, poczęła mu coś w rękę wciskać w ciemności.

— Co to? — spytał.

— Zobacz!

— Pieniądze!? — zawołał zdziwiony, zerwawszy kopertę.

Obejrzała się na dzieci i w paru wyrazach opowiedziała mu wszystko.

— Skarbie mój drogi! — szepnął i połączyli swe usta w długim pocałunku.

K O N I E C.

ZAKOCHANA.

Jak się to stało? — nie wie i chyba już nigdy nie będzie wiedziała, bo nawet myśleć o tem nie chce.

— Nie, nie! — szepcze cichutko, siedząc samotna, w niewielkim, ale ładnym saloniku, z robótką w rękach, przy roztwartem oknie, wychodzącem na zapełniony zielenią i zalany właśnie popołudniowem słońcem mały ogródek, który tu, wśród murów sterzących dokoła, wygląda jak oaza, dając oczom wytchnienie i tłumiąc odgłosy ulicznego, wielkomiejskiego ruchu.

— Nie, nie!...

Całe nieszczęście, że ta myśl odegnąć się nie da i wraca tak uparcie!

Zakochana — trzeba to raz nareszcie, choć szeptem, wymówić: Za-ko-cha-na!—ona: zakochana!

— Ach Boże, Boże!—wzdycha.

W ślad za tem ledwie dosłyszalnym westchnieniem, serduszko jej poczyną uderzać gwałtownie, w piersiach uczuwa brak oddechu, ręka z robótką stacza się bezwładnie z kolan po gładkiej sukience i zbiedzona główka pochyla się na poręcz fotelu, jakby w omdleniu.

Zakochana!...

Bóg jednak świadkiem, że bronila się tej myśli długo, odpędzała ją od siebie przez kilka ostatnich miesięcy, niby natrętną muchę—i dopiero parę tygodni temu ułożyła się ona nagle w jej umyśle i sercu w ów melodyjny jak chóry archanielskie, dźwięczny jak najczystsze złoto, barwny jak sama tęcza, a jednak tak męczący wyraz: „Za-ko-cha-na!...“

— Ach, Boże, Boże!

— Zakochana!

Zdaje jej się teraz, że wiedziała o tem oddawna, bodaj już nawet od kolebki samej.

Wiedziała, iż przyjść to kiedyś musi i ominąć jej nie będzie mogło. Mówił jej o tem jakiś głos wewnętrzny, mówiło ciągle wszystko dookoła, odkąd zaś poczęła wyrastać, podpowiadało jakieś niejasne przeczucie, napawając jej serduszko i lękiem niewytlómaczonym i zarazem dziwną rozkoszą, która — tak jak dziś — wznosiła jej pierś męczącemi, urywanemi westchnieniami.

— Ach, tak! — to bardzo dawna historia!

Ta myśl, tylko nie tak wyraźna i nie taka jak dzisiaj, przewijała się już nieraz, niby nic srebrna, w jej krótkiem dotąd życiu.

Pamięta przecie, jak ojciec—nieboszczyk, wróciwszy z Grecyi, gdzie budował jakieś koleje, po trzechletniej z górą nieobecności w kraju, i zastawszy ją jedenastoletnią, pięknie wyrosłą dziewczynką, zawołał w uniesieniu:

— Córa moja kochana! Jakżeś ty mi wyrosła, jak wypiękniała! Teraz tylko na gwałt o męża muszę ci się postarać! A może ty już zakochana? — dodał żartem, śmiejąc się, pieszcząc ją czule i zasypując gorą-

cemi pocałunkami, które jej twarz jak ognie paliły.

Tak! przypomina to sobie... Wtedy to już, oddając długo niewidzianemu ojcu pieśszoty i pocałunki, uczuła się uderzoną owym wyrazem: „zakochana“. Miał on dla niej coś w sobie tajemniczego, ciemnego, a jednak rozkosznego, myślała też nad nim mimowolnie przez cały jeden wieczór., „Zakochana!“

Wówczas jednak — o! Boże! sądziła, iż z mężczyzn można kochać jednego tylko tatusia, który wprawdzie długo nie pokazywał się w domu, ale gdy się pojawił na kilka tygodni, wtedy już szczęścia było w bród! Codzień jakieś wycieczki, odwiedziny, przyjęcia, a ciastek i cukierków moc nieprzeliczona.

Tatuś nie wyszedł wówczas z domu ani razu, aby z paczką cukrów nie wrócił. Gdy zaś poczciwa mamusia zauważyła pewnego razu: „Edziu! Ty ją psujesz! Toż ona całe już składy tego ma u siebie“ — tatuś, sadzając ją wówczas znów na kolanach i całując ją odparł: „Cóż tam! Przecież musi jej to znowu na lat dwa pamięć o ojcu zastąpić“..

Ach dzieci mają dobrą pamięć!

Pamięta bowiem i to, że mamusia wówczas odwróciła się dość szybko ku oknu, z kąd po chwili dało się słyszeć głośne łkanie.

Tatuś zsadził ją z kolan pośpiesznie i pobiegł ku mamusi.

— No, no! moja jedyna! — prosił. — Przecie sama widzisz, że to konieczność. Przypomnij sobie tylko, jak nam trudno było wyżyć w pierwszych latach. A ta rozłąka, choć tak okrutna, dała ci dopiero wszystko, na coś zasługiwała, dała i jej, naszej jedynej dziecinie! Jesteśmy jeszcze młodzi... No, no! Uspokój się skarbie! Jeszcze tylko dwa lata. A potem już zawsze będziemy ze sobą. Zyskawszy środki, będę pracował tu, obok ciebie, zobaczysz!

Mamusia niebawem przestała płakać.

— Weź nas ze sobą, zabierz! — prosiła tylko jeszcze zcicha!

Wtedy jednak ona, „córa“, jak ją tatuś stale nazywał, mimowolny świadek tej sceny, rozpląkała się głośno. Mama i tatuś rzucili się ku niej natychmiast, starając się ją uspokoić. Udało im się to niebawem. O co mia-

ła dalej płakać, kiedy już i tatuś i mamusia uśmiechali się do niej?

Zasypiając też wówczas, strudzoną temi wrażeniami, przy boku mamusi, słyszała już tylko, jak ojciec dowodził długo, iż o zabranii ich nie może być mowy. Kolej owa buduje się w dzikiej niemal okolicy. Zdarzało mu się czasem nocować na ziemi, pod gołym niebem, sił już bowiem nie starczyło na doście do najbliższej siedziby ludzkiej. Tym tylko sposobem utrzymanie niewiele go kosztowało, dzięki temu tylko mógł tyle odkładać. Teraz, pracując już jako zastępca naczelnego inżyniera, będzie odkładał trzy razy, pięć razy więcej.

— Dwa lata, dwa lata tylko! — kończył a potem raj!

Tych słów, jak i owego powrotu tatuś po owych dwóch latach, nie zapomni już nigdy. Wtedy to bowiem przenieśli się do tego domu, własnego już domu, odalonego wprawdzie od środka miasta, ale za to z ogródkiem, z tym miłusim ogródkiem, który spełniał długoletnie marzenia mamusi. A co pieniędzy przywiózł tatuś wówczas — Boże! — nigdy tyle naraz dotąd nie widziała!

Jeszcze teraz tylko jeden wyjazd, jeszcze trzy miesiące rozłąki, koniecznej dla ostatecznego pokończenia interesów — i tatuś miał wrócić na zawsze.

Mamusia też sama, wprawdzie jeszcze nie bez łzy w oku, powiedziała doń wówczas:

— Jedź! Trzy miesiące, gdy czekałam lat tyle, toż to jedna chwila! Jedź i wracaj czemprowadziej! Potem będę cię miała już tylko dla siebie!

— I dla niej! — dodał ojciec z radosnym uśmiechem, wskazując na nią, na „córę“.

I jak to można było nie zakochaną być w takim tatusiu?...

Zakochana!

Siedzi przez chwilę, jak martwa, zasłuchawszy się w ciszę, zapatrzywszy w zieleń ogródka.

Splątane myśli rozbiegły się i odpłynęły, jak fale od brzegu — i dopiero po pewnym momencie, jak one, wracają.

— Ach! — woła wreszcie przeraźliwie, chcąc zerwać się z miejsca i osuwając się znów na fotel, przy czem zakrywa na dłużej

oczy obiema dłońmi, jakby wobec straszego jakiegoś widziadła.

Tatusz nie wrócił już więcej!...

Co się to działo, gdy przyszła wiadomość, że w miesiąc po wyjeździe, a w ciągu czterech zaledwie dni choroby, zabiła go febra, czy tyfus — Boże, Boże!

I ona po całych dniach wówczas płakała — ale mamusia — ach! — to można drugi raz tyle łez wylać, na samo wspomnienie jej żalu i cierpień!

O sprowadzeniu zwłok, o zobaczeniu chociaż grobu zmarłego, nie można było nawet i marzyć — chyba tam kiedyś, kiedyś — wiadomość bowiem owa przyszła drogą urzędową, przez ambasadę grecką w stolicy, w trzy tygodnie po pogrzebie.

Biedna mamusia szalała też z rozpacz — i zdawało się, że tego ciosu nie przeżyje.

Wszakże nie chciała nawet w pierwszej chwili słuchać o odbiorze przysłanych po paru miesiącach do ambasady w stolicy, a należnych jeszcze ojcu pieniędzy i dopiero w rok później wysłała po nie adwokata. A kiedy adwokat ten przywiózł je wreszcie i wyjmując z wielkiej teki, zwolna liczył tam, „na tam-tym stoliku, matka spojrzała wówczas na nią,

na „córę“, z taką jakąś okrutną wymówką, jakby chciała powiedzieć: „Dla ciebie to tylko przyjmuję“ — i rozplakała się nanowo.

Biedna mamusia!

Cztery lata już z górą od tej chwili minęło, a takie te łzy mamusi dotąd żywe!

— Ach, Boże, Boże!

Placze więc i ona sama teraz znowu... płacze długo, długo... cichuteńko...

Po chwili dopiero, jakby z rodzajem jakiejś rezygnacyi, ociera śpiesznie załzawione oczy.

Drzwi uchylają się właśnie zwolna, ostrożnie, nieśmiało. Wsuwa się przez nie wcale niebrzydka główka dziewczyny, która jednak nie śmie całkiem wejść do pokoju. To Dorotka, pokojowa, zwana, niewiadomo dla jakiego figła: „Dudką“.

— A co ty chcesz, Dudka? — pyta panienska, nie ruszając się od okna i kryjąc w połowie twarz przed przybyłą.

— Nic, proszę paniuńci! Myślałam tylko, że paniuńcia czego potrzebuje?... Pani nasza tak jakoś dziś z nowenny nie wraca! To pewnie te krzyżowe dni! Musi być ładne nabożeństwo!

Na panience jednak, zawsze tak dobrej, uprzejmej, nie czyni ta skarga tym razem żadnego prawie wrażenia.

— Ach, tak! To prawda! — myśli tylko. — Mamusia już od lat paru nie opuszcza żadnego prawie nabożeństwa, godziny całe przesiadując po kościołach. Sama towarzyszyła jej z początku. Tylko ten doktor, ten doktor nieznośny, zabronił jej tego surowo, wołając: „Wilgoć, mury! A to co znowu? Pani potrzeba słońca, nie mroku! Chyba, że pani chce koniecznie pozbyć się życia!“ Odtąd więc, na życzenie i prośby mamusi, puszcza ją samą.

Myśli o tem wszystkim teraz, ale nie odpowiada biednej Dudce, która, sądząc, że nie w porę trafiła, wysuwa się pokornie, zamykając drzwi za sobą cichutko.

W tej właśnie chwili wrześniowe słońce, zasłonięone przygodną chmurą, gaśnie na moment, nadając drzewom ciemniejszą barwę, jakby na to tylko, aby je po chwili skąpać w tem jaśniejszem świetle, które teraz aż razi, odbijając jaskrawo na grządkach, peł-

nych ostatnich kwiatów uciekającego zwolna lata.

Przemiana ta nagła napawa spoglądającą z okna na ogródek młodą panienkę jakąś bezgraniczną radością...

To tak, jak u niej!

Po tych strasznych wspomnieniach, po łzach, tak obficie wylanych przed chwilą, teraz, z tem słońcem, wraca w jej duszę jakaś dziwna harmonia—niby śpiew, a nie śpiew—muzyka, a nie muzyka—sama nie wie!

Jest jej znowu tak błogo, tak dobrze na świecie, że aż przymyka oczy, jakby się obawiała, iż to uczucie błogości mogłoby przez oczy ulecieć.

Teraz już myśli jej, powstrzymywane dotąd wspomnieniami biegną wytkniętym torem.

Jest przecie zakochana! Ona zakochana!

— Ach, Boże, Boże!—wzdycha znowu.

Zakochana!

Ale jak się to stało?

Wprawdzie to nieznosne zwierciadło mówiło jej oddawna, jakby naśladowało koleżan-

ki z pensyi, że jest bardzo ładna z temi fiołkowemi oczyma, przy śniadej, a jednak jakąś świeżością przebijającej cerze, z tą zgrabną figurką, z temi bujnemi włosami o kruczej barwie, z usteczkami z przepysznego karminu i wogóle z tym wyrazem i dziecka i kobiety zarazem, jaki mógł nawet zadziwić u siedemnastoletniej dziewczyny.

Ale zwierciadło, choć takie niezdolne, nic temu niewinno—nic zgoła!

— Ach, Boże, Boże!

Przechyliła znów główkę na fotel, jakby w rozmarzeniu i przypomina sobie teraz dopiero wyraźnie owo popołudnie majowe, ciche, pogodne, słoneczne, gdy siedząc, jak dziś, z robótką w rękę, w zacienionem do połowy od słońca, a jednak roztwartem oknie, zbudzona została z zadumy łagodnem zastukaniem do drzwi, które też natychmiast się otwarły, pod naciskiem męskiej, choć delikatnej widocznie dłoni.

Półtora roku temu, niecałe półtora!

Staął w tych drzwiach wówczas człowiek młody, smukły, prawie chudy, w wyszarzanym, lecz czystym mundurze studenckim, mierząc ją zrazu męskim, śmiałym wzrokiem, po chwilce jednak szepcząc tam

od drzwi, miękko, jakby zdziwiony jej obecnością:

— Przepraszam...

Pamięta teraz wszystko, jakby to było wczoraj. Pamięta, że ciężył jej wzrok owe-go młodego przybysza, że nie zrobiła na razie, bo nie mogła zrobić żadnego ruchu, że nie odezwała się ani słowa, że wreszcie trzymała oczy wlepione w robótkę, czekając z upragnieniem dalszego tłumaczenia tego, który przerywał tak obcesowo ciszę panującą tu, w tej krańcowej dzielnicy miasta, na tej odludnej uliczce, w tym cichym, czyściuchnym domku o dwóch tylko piąterkach — i tam, w tym jej pokoiku, do którego, prócz matki, rzadko kto wchodził, a od śmierci ojca nie powstała noga żadnego mężczyzny.

— Tu podobno mieszka pani gospodyni tego domu — dały się słyszeć dalsze objaśnienia przybysza, wygłoszone, mimo formy zapytania, z istotną pewnością człowieka, który wie, że nie zblądził i spodziewa się z góry tylko potwierdzenia słów swoich.

Przypomina sobie i to, że wówczas dopiero podniosła się z krzesła przy oknie.

— Tak, tutaj — odrzekła słabym głosem — ale...

To „ale“ nie zostało snać dosłyszane, gdyż przybysz zaczął znówu śmieiej, zapalając się stopniowo:

— Są tu dwa pokoiki z kuchenką do najęcia każdego czasu... na dole... zdaje się, że nawet pod tem mieszkaniem... z widokiem na ogródek... zaciszne... Stróż mi je już pokazywał... Otóż...

Domyśliła się już tego z pierwszych wyrazów młodego przybysza, odzyskała też zwolna pewność siebie.

— Ale — przerwała, poczynając kończyć zaczęte poprzednio zdanie — ale mamy nie ma w domu... wyszła na nabożeństwo majowe...

Młodego człowieka zakłopotala ta wiadomość.

— Ach, to wielka szkoda! — przemówił. — Chciałbym bowiem już choćby od jutra zająć to mieszkanko... A pojutrze, mieć je muszę koniecznie...

— A to ja mogę mamę uprzedzić — ośmieliła się wówczas szepnąć.

— Prawda! — odparł radośniej, jakby ucieszony jakim odkryciem, które bez jej pomocy, nie mogłoby było przyjść mu na

myśl — prawda! Ja nawet mogę pani zostawić zadatek...

I odwracając się od niej połową figury, dla rozpięcia munduru, wy dostał spiesźnie mały skórzany porte-bilets, w którym znalazł się starannie we czworo złożony różowy banknot.

Już wyciągnął z nim rękę ku niej, wnet jednak spostrzegł, że nie wypada jakoś podawać jej bezpośrednio pieniędzy do rączki, zwrócił się więc ku stolikowi i tam na brzegu złożył ów zadatek, dorzucając doń bilet wizytowy ze swoim nazwiskiem.

Teraz dopiero, podczas tej jego czynności, mogła mu się lepiej przyjrzeć.

Mimo jakiegoś przygnębienia, biła od niego młodość, czerstwość, swoboda, wiara i ochota do życia. Maj, przedstawiony w męskiej postaci, takby powinien wyglądać.

— Może pani raczy poprzeć moją prośbę u mamy? — szepnął, odwracając się od stołu z ukłonem i zabierając się widocznie do wyjścia.

Nie wiedziała co odpowiedzieć. Czowała też, że oczy jej przymykały się wówczas, jakby przed jakimś blaskiem.

Na szczęście, za drzwiami dał się słyszeć głos czyjs i kroki.

— A! jest i mamusia! — szepnęło dziewczę.

Student odstąpił od drzwi, które dotąd sobą zasłaniał i wyprostował się z pewnego rodzaju wojskową sztywnością.

Weszła mamusia, czarno, jak zawsze, lecz starannie ubrana, mierząc gościa zdziwionym wzrokiem i odpowiadając zlekka na jego ukłon.

— Mamusiu... ten pan... o to mieszkanie na dole...

Nie wiele już wtedy słów zmarnowano.

Mama wskazała krzesło gościowi i ze zwykłą już teraz u niej obojętnością, ale grzecznie, wysłuchiwała młodego człowieka, który uprzedzając niejako pytania mamusi, nadmienił, iż mieszkania tego potrzebuje dla chorej oddawna matki, musi ją bowiem sprowadzić tu, do Warszawy, gdzie łatwiej o jakąś poradę. Zresztą, ufa już także trochę swym własnym siłom.

— Pan studjuje medycynę? — spytała mama.

— Tak, pani...

Po chwili, jakby czuł, że tej wizyty przygodnej nie wypada mu przeciągać, podniósł się z krzesła, oglądając się nieznacznie za porzuconą na małym biureczku czapkę.

— Mogę więc liczyć? — spytał jeszcze.

— Ach! naturalnie! Klucze niech stróż panu wyda! Od tej chwili są już te pokoiki do pańskiego rozporządzenia.

Na twarzy młodego człowieka odbiła się po tych słowach mamusi jakaś duma i zadowolenie, jakby z osiągniętego celu, lub po spełnieniu dobrego uczynku. Mamusia może tego wówczas nie zauważyła, ale ona — ach, Boże! — pamięta to dobrze!

Nie zamieniono już więcej ani słowa.

Jeszcze tylko niski, poważny ukłon w stronę mamusi, trochę swobodniejszy, zaprawiony jakąś miłą szarmanterią, ukłon w jej stronę — i już go nie było.

Zakochana!...

Pamięta jeszcze i to, że nazajutrz Dudka, właśnie jakoś w owym czasie do służby przyjęta, jakby odgadła jej zaciekawienie, przebiegła do jej pokoiku z wiadomością, że

tam, na dół, do tych najętych pokoików meble już przywieźli.

Przypomina sobie, że chciała zapytać, czy on, ten nowy lokator jest sam przy tem, nie śmiała jednak.

Dudka atoli — aeh, za to ją polubiła!— dodała zaraz żywo:

— Stróż je pomaga znosić. Ma widać coś za to... Bo ten lokator przyjdzie pono dopiero wieczorem.

Trzeciego dnia nowe wrażenia.

Wtedy już sama widziała oknem, jak przed bramę zajechał spory wygodny powóz, widocznie umyślnie na kolej najęty, a zeń wyskoczył spiesznie najprzód on, w tym samym mundurze, potem wysiadła jakaś młoda, skromnie ubrana panienska -- i oboje, na własnych rękach, wynieśli po chwili z wnętrza zakrytego powozu jakąś starą, nie tyle latami, ile cierpieniem znękaną postać niewieścią, o woskowej cerze.

Przypomina sobie i to, że dziewczyna owa potknęła się zlekka na chodniku pod tym ciężarem i że wówczas on szepnął:

— Daj, sam poradzę! — i z postacią ową, niby małą dzieciną na rękach, poskoczył spiesznie do bramy.

— Zniknęli — powóz po chwili odjechał — a ona jeszcze stała ciągle przy oknie nieruchoma.

Po chwili wpadła Dudka.

— Wie paniusia! Ta staruszka to sparaliżowana zupełnie. Ani kroku stąpić nie może, biedactwo!

— Wiem, wiem! — szepnęła, czując łzy w oczach.

— A ta panienka — ciągnęła dalej gadatliwa Dudka — ta panienka, to siostra tego pana... Mówią na nią: Wandzia!

Ach, ta Dudka. Czy ona też kiedy domyśli się, że dzięki tej gadatliwości swojej, zepchnęła jej wówczas jakiś kamień z piersi— i pozwoliła odetchnąć tak jakoś szerzej, swobodniej!... Czy ona się domyśli?

Zakochana!

Ach, ta myśl uparta!

Zakochana! — niechże już tak będzie!— niech będzie: za-ko-cha-na!... Trudno!...

Ale bo i co było na to poradzić?...

Najprzód, ilekroć później wyszła do ogródka, czy to dla nakazanej przez doktora przechadzki po słońcu, czy dla sprawdzenia,

o ile Jan lub Dudka nie żalowali wody grządkom rezedy, lewkonij, tulipanów i wystawionym na słońce kaktusom i oleandrom, spotykała zawsze w otwartem oknie patrzące w przestrzeń sztywno, stalowe niemal oczy, tej biednej paralityczki, spoczywającej nieruchomo w wygodnym fotelu, ocienionym przypiętym z tyłu do poręczy chińskim parasolikiem.

Raz — pamięta to dobrze! — gdy zerwała kilka pierwszych, pod czerwcowem słońcem rozkwitających róż żółtych, stalowe oczy paralityczki ożywiły się jakoś, głowa nawet zwróciła się w jej stronę, z ust wybiegły jakieś niewyraźne dźwięki i na całej twarzy odbił się wyraz nieprzepartego zachwyty, czy pragnienia.

Widziała wprawdzie, że zaraz, zwabiona śnać dźwiękiem głosu matki, ukazała się w oknie i owa panienska, przez Dudkę nazwana „Wandzią“ — ale wtedy już się nie mogła oprzeć powziętemu nagle postanowieniu.

Dodawszy naprędce do zerwanych róż jeszcze parę pączków lewkonij i garstkę rezedy, podbiegła szybko ku oknu z tym zaimprowizowanym bukietem.

— Pani przyjmie? — spytała nieśmiało, z ukłonem i uśmiechem.

Oczy paralityczki pobiegły ku córce, później skierowały się zaraz na barwne kwiaty, a z ust wyszły niezrozumiałe dźwięki: „ehm... ehm.. ehm!“ — oznaczające jednak niewątpliwie ochotę przyjęcia. Ręce jej tylko pozostały na kolanach nieruchome.

— Mama nie może mówić! — objaśniła córka.

— Ach, mój Boże! — wyrwała się wówczas zdziwiona, z współczuciem jakimś wielkiem w głosie, którego utaić nie umiała i nie mogła.

Wandzia rozłożyła zaraz barwne kwiaty na kolanach uradowanej widocznie starszki i stanąwszy za fotelem, poczęła zcicha płakać.

— Ehm, ehm, ehm! — objawiała chora swe uradowanie.

Jak tu i jej było łyzy wobec tego powstrzymać.

Czując je też pod powiekami, skinęła grzecznie główką obu kobietom i uciekła pospiesznie na górę.

I dziś jeszcze łyzy czuje na samo wspomnienie tej sceny!

Zakochana!...

Ale bo wszystko na to się składało!...

Wszystko? Pewnie, że wszystko...

Co prawda, to on — ach! — za nic jej nie miał z początku... nie widział jej... nie istniała, a raczej mogła nie istnieć dla niego.

Hardy był jakiś!... ba! co to hardy?... okrutny!

Nazajutrz znów, tym razem już sama, obsypała przez okno kwiatami spoczywające na kolanach dłonie paralityczki, w tydzień, podczas snu poobiedniego chorej, wywabiła zręcznie Wandzię do ogródka, w miesiąc, może nawet niecały, była z nią już „na ty“:—Janka, Wanda—a on nieznośny, nieznośny jak zwierciadło w saloniku na górze, lub dawne koleżanki z pensyi—on, pokazywał się jej do końca jesieni, jak z łaski, jak za pańszczyznę, ledwie raz na tydzień.

Po całych dniach, ba! tygodniach nawet — przynajmniej tak jej się zdawało — nie było go w domu... Prawda, że wieczorami, stanąwszy cichaczem w ogródku za tą wielką gruszą, mogła widzieć, jak klęcząc

przy fotelu, przysuniętym już od zmroku do stołu w jadalni i zarazem sypialni siostry i matki, pieścił się z chorą czule, jak najczulej, opowiadając głośno, bo niedosłyszała cokolwiek, dzieje całych dni i tygodni, oraz rojąc nadzieje na przyszłość.

Co ona wtedy w sercu odczuwała — Boże! — nie dajże już drugiej tego doświadczać, boć to przecie i męka i kara!

A czy zasłużona?

Czasem wprawdzie przywitał ją uprzejmie przy rzadkiem spotkaniu, przemówił słów parę, spojrział na nią z jakimś tajonym uśmiechem zadowolenia — ale zaraz się żegnał — odchodził.

— Ach, Boże, Boże!...

Zakochana!

Daremnie przecie byłoby się już tego zapierać!

Ach ten okrutnik!

Pamięta bowiem doskonale, że pod jesień, gdy już rzadziej okna otwierano i musiała dla odwiedzin Wandzi i chorej wstępować do nich, do ich mieszkanka, on, zamknię-

ty tam w ostatnim pokoiku, nie raczył pokazać się przez całe pół godziny.

Wandzia usprawiedliwiała go wówczas, mówiąc: „Egzamina!...“ Egramina! Toż i ona je przechodziła! Męczące, prawda!... Ale, ale, ale...

Byłaby się też już tego wieczora w głos rozpląkała, przy Wandzi i przy chorej, gdyby nareszcie nie rozwarły się te zaklęte drzwi i on w nich nie stanął.

A jaki był piękny! wielki! śliczny!

Cóż to za porównanie z tym, którego tam, na górze, parę miesięcy temu po raz pierwszy ujrzała!

Czy on domyślił się nareszcie wtedy, że już miarę przebrał, czy pociągnęła go wreszcie w owej strojnej sukience nowej, o której i Dudka i zwierciadło — zawsze nieznośne! — powiedziały jej tam na górze, że w niej jest jej bardzo do twarzy — dość, że on tym razem pozostał, a usiadłszy między matką a siostrą, zwracał się już ciągle do niej — ze wszystkim, uprzejmy nad wyraz.

Rozmowa, jak to zwykle przy chorych — i to takich chorych — potoczyła się jakoś na temat nędzy ludzkiego istnienia. On mówił ciągle, prawie sam jeden, podniecany ja-

kimś zapalem, który widocznie płynął z jego serca, z wewnętrznego przekonania. Nie napawał jednak słów swych pesymizmem zdawkowym, on, co tyle nędzy widział po klinikach, owszem, każde zdanie jego świadczyło o mimowolnej moźe, a jednak szczerzej porcorze dla wyroków Opatrzności.

— Ach, tylko że pani, panno Janino — zakończył — pani, dziecko szczęścia, nieprędko to wszystko pojąć będzie mogła. Ale tem lepiej dla pani!

„Panno Janino“... Znał więc jej imię, którego teraz dopiero użył po raz pierwszy, wiedział o niem od siostry, tak jak i ona nie-raz od niej już słyszała: „Włodek, Włodka, Włodkowi“.

Nie miała jednak czasu myśleć o tem.

— Ja nie będę mogła!? — zawołała wówczas z żalem. — Ja? panie Włodzimierzu?... Chyba pan nie słyszał od siostry nic o moim ojcu?

I lzy, choć powstrzymywane gwałtem, zaperliły się w jej oczach.

On wtedy porwał się z miejsca, podbiegł do jej krzesła, oparł się na niem i ściskając jej rękę serdecznie, wyszeptał z uczuciem:

— Słyszałem! Przepraszam najmocniej! Tak, to prawda! Proszę mi darować to zapomnienie!

Ach, ta jego dłoń ciepła, a miękka! Czuła ją jeszcze tam na górze, uciekwszy niebawem.

Zakochana!

Ale co to jeszcze trzeba było wycierpieć! Najgorsza bowiem była ta zima! Każde wyjście z pokoju, było już wtedy kontrolowane — o! nie tak, jak z owem zejściem do ogródką w lecie.

Mamusia wprawdzie wiedziała o przyjaźni z Wandzią — odwiedziła nawet parę razy chorą staruszkę — ale zawsze upominała: „Weź jednak futerko!“ — a tego upomnienia było przecie dość, aby ona zawsze oblewała się szkarłatnym rumieńcem.

I nawet nadarmo — bo znów nigdy go nie było.

Ach, te lekcye, te lekcye, za którymi biegał zawsze jeszcze całe popołudnie, z krańca w kraniec miasta, do późnego wieczora. Ach, te lekcye, te lekcye!

Zawsze jednak był już dla niej dobrym, uprzejmym — ale też i nic więcej.

Egzamina ostateczne poszły wybornie, a nowe lato i ogródek przyniosły znów parę jaśniejszych chwilek.

Ale szczęście, szczęście wielkie, niezmiernie — ach Boże, Boże! — przyniósł dopiero ów wieczór czerwcowy, gdy mając wyjeżdżać nazajutrz rankiem z mamusią do Szczawnicy, pobiegła pożegnać się z Wandzią i w sieni, właśnie przy zejściu ze schodów z nim się oko w oko spotkała.

— Wyjeżdżamy już jutro! Idę pożegnać się z Wandzią — szepnęła, nie wiedząc, co się z nią dzieje.

On — ach, to także pamięta! — spojrział na nią wówczas takim smutnym wzrokiem, że nie bacząc już na nic, stanęła w miejscu, jak przybita do ziemi.

— A! to i ja jeszcze zawrócę do domu — rzekł, bo właśnie wychodził na miasto.

Słyszała to dobrze, a przecież nie ruszała się z miejsca, nie mogła się ruszyć.

Wtedy też on, stojąc także przed nią, szepnął znowu:

— Pewnie pani tam i męża znajdzie...

Tego już jej było zanadto.

— Ach, panie Włodzimierzu! — zawołała z żalem bezmiernym — pan chyba wie, że ja go tam szukać nie będę! Nigdy, nigdy!

I zakryła oczy dłonią.

Wtedy to właśnie stało się coś strasznego.

On oderwał jej dłoń od oczu, schwycił za obie ręce z jakąś straszną siłą i patrząc jej wprost w oczy, zawołał:

— Więc to byćby mogło? Więc ty mogłabyś mnie pokochać!

Puścił po chwili jej ręce, a chwycił się za głowę, jakby sobie samemu nie wierzył.

Nie wie już nawet, czy co wówczas odpowiedziała, zdaje jej się tylko, że musiała się przez łzy uśmiechnąć, bo on chwytając ją znów za obie dłonie, wrzasnął:

— Janko ty moja! Skarbie! Szczęście moje!

Dobrze, że nikt tego nie słyszał. Spokojny zwykle dom, bywał szczególnie o tej porze pustym.

Po chwili, nie umawiając się już zgoła, znaleźli się oboje obok Wandzi, przy fotelu chorej, spokojni, jak gdyby nigdy nic nie zaszło.

On już tego dnia chyba na lekcye nie poszedł, bo coś ze dwie godziny wówczas gawędzili, obojętni z pozoru, choć porozumiewający się już ciągle oczami.

Później dopiero, gdy już musiała odchodzić i gdy nie domyślająca się dotąd niczego Wandzia, wyszła na chwilę z pokoju, po za fotelem paralityczki padły wówczas szeptem, gwałtowne, szybkie słowa:

— Kochasz!

— Kocham!

— Nad życie?

— Nad wszystko na świecie!

— Odkąd, na Boga, odkąd?

— Oddawna!

— Ach i ja!

— A jednak...

— No, już cicho, cicho, mój skarbie!

— Powtórz raz jeszcze!

— Kocham! Kocham! Kocham! Słuchaj jednak... czasu niema... Pisywać do siebie pewnie nie będziemy mogli, ale za to, wierz mi, liczyć będę dni, chwile, minuty do twego powrotu!

— Będę ciągle tęskniła!

— Janko! Janko moja!

— Więcej już mówić z sobą nie mogli, Wandzia bowiem wróciła.

Uścisk dłoni — i nie widzieli się całe pięć tygodni!

— Ach, Boże, Boże!

Ale za to ten powrót, to pierwsze ponowne widzenie! Cóż to za rozkosz!

.

Zakochana!

Ach, co tam! Ty wiecznie jedna myśli, męcząca swoim ustawicznym powrotem, powtarzająca się, jak refrain w piosence, nie możesz jej już teraz zatrwożyć! Brzmij sobie! Wracaj!...

Zakochana. Tak, zakochana! I... i kochana!...

Ileż w tym wyrazie szczęścia?!... Tylko, tylko, że on ciągle jeszcze łączy z oczu wyciska!

Płacze też znowu...

Po chwili opamiętywa się, ociera oczy, powstaje z fotelu, rozgląda się dokoła, ale rozmarzona temi wspomnieniami, nie może śnać jeszcze zdać sobie sprawy z tego, gdzie jest i co się z nią dzieje.

Dopiero rzut oka na zegar na kominku przywraca jej zmysły.

— Godzina! — szepce — dopiero jedna godzina czekania!

A ona już przez tę godzinę całe swoje życie myślą przebiegła!...

Ale na co to czeka?

— Ach! — szepcze, zakrywając oczy dłońmi.

On tam, od szóstej, broni swojej rozprawy doktorskiej. Mogła nawet przecie uczestniczyć w tym akcie, uroczystym zawsze, a dla niej tak ważnym — on jednak, on sam prosił, żeby raczej w domu czekała, bo mu spojrzeniem swoim może odwagę odebrać.

— Przypomniałbym sobie zaraz — mówił — że wszystko na świecie, a więc i ów mój stopień, jest marnością wobec naszej miłości — i toby mnie zmieszać musiało!

Tak przecie mówił, drogi, kochany, poczciwy, najpoczciwszy!

I ona, wśród tych marzeń, mogła o tem choć na chwilę zapomnieć?

Rzuca się też czemprędzej ku drzwiom, ale spotyka w nich wracającą z kościoła matkę.

— Ach, to mamusia!

Wstydzi się teraz swego zapomnienia, więc i tuli się z żalem do matki.

— Nie było z dołu jakich wieści? — pyta złota mamusia, która wie o wszystkim, w Szczawnicy już bowiem musiała wysłuchać tych całych dziejów.

— Nie było dotąd! Nie było! — odpowiada cichutko, blizka znowu płaczu.

— Dudka! — mówi mamusia, zwracając się do stojącej w pogotowiu dziewczyny — biegnijno na dół i poproś tu panny Wandy, a sama zostań przy chorej pani... Będzie nam razem jakoś śmieiej czekać na tę wiadomość.

Zaledwie jednak dziewczyna ruszyła się z miejsca, dały się słyszeć kroki, drzwi otworzyły się raptownie i w progu stanął on, Włodek.

Kobiety wstrzymały oddech. On jednak był jakiś rozpromieniony i miał uśmiech na wargach.

— Więc? — spytała mamusia, ona bowiem sama nie mogłaby była teraz głosu z siebie wydobyć.

— Zwycięstwo! Zupelne, świetne nawet zwycięstwo! — odparł młody mężczyzna, całując rękę mamusi i podając dłoń swojej Jance.

— Byłeś pan już w domu z tą wieścią? — pyta mamusia.

— Nie! Prostem tu przyszedł! Rzuci-
łem tylko stróżowi: idź i wołaj tam u mnie
na cały głos: Victoria!

Mamusia zbliża się i winszuje mu, poczem
ociera załzawione oczy i wysuwa się pokoju,
zostawiając ich samych.

Ledwie zniknęła na progu, on już trzy-
ma ją w swoich objęciach, prawie w powie-
trzu, bo taki wielki — i spajając wargi jej
ze swemi, szepcze wśród tego szalonego po-
całunku:

— Kochasz?

— Ach, Boże, Boże!... Nad życie!..

K O N I E C.

Jak między ludźmi.

...Był to wówczas, gdy przyszły na mnie złe dni, których nie sposób mi i dziś jeszcze wspomnieć bez bólu — dziś po tylu latach.

Ona, co przysięgła iść obok mnie przez całe życie — dzielić chleb, jaki los mi da — dźwigać brzemię, jakie mnie dźwigać wypadnie, byle razem, wspólnie — ona cofnęła się pewnego wieczoru, mówiąc, wprawdzie ze łzami, ale bez najmniejszej litości: „Przeceniłam swoje siły... wybaczone, nie miej do mnie żalu...”

Czekała już tak długo, rok cały — czekała wraz ze mną na owego nakładcę, który wydać miał moje „Studia przyrodnicze” — na

tę posadę, jaka minąć mnie nie mogła, gdy świat zapozna się z mojem dziełem — na sławę, jaka stąd spłynąćby na mnie musiała — na kawałek białego, o! bielutkiego chleba, jaki zapewnić miałem jej i sobie.

Rok cały — napróżno!

Nakładca się nie zjawiał, a więc posada, sława, chleb, były jeszcze odemnie daleko — daleko... I dla tego to ona się cofała...

A jednak — przysięgła.

Wprawdzie przysięgę tę słyszała tylko garść zwarzonych szronem jesiennym liści, parę kawek i wron, co wówczas z krzykiem z lasów i pól do wsi przed zimą zaczynały się przenosić, szara, stwardniała karmicielka — ziemia, kilka kamieni przydrożnych — i ten bezmiar tam, w górze, nad naszymi głowami — i w tym bezmiarze Bóg, stwórca wszech rzeczy.

Trudno!... Podczas gdy ja ślęczał tu w mieście i zabiegał koło naszej przyszłości, tam, do tego cichego dworku, gdzie jak w bajce, było ich dwie u matki-wdowy, przyszedł człowiek, który miał już ów chleb, choć nie miał nakładcy, nie starał się o katedrę, nie czekał sławy — przyszedł i zabrał mi

moje sny — zabrał mi ją — zabrał całą moją siłę, co mię dotąd przy ziemi i życiu utrzymała...

A na dobitkę, na ślub, mieli zjechać tu do Warszawy.

Może też wyda wam się to śmiesznem, słabem, dziecinnem, niemęskiem — zgoda, na wszystko dziś zgoda — ale wówczas, w dzień jej zaślubin i nowych przysięg, tym razem tak uroczystych, wśród świateł i kwiatów — wówczas nie wiem już nawet jak zawlokłem się z kościoła do domu i tam powaliłem się na łóżko bez czucia i pamięci.

Pierwszy moment przesilenia choroby, kiedy przytomność zwolna wracała, przypominał mi na nowo moją stratę.

— Czemu ja żyję, czemu? — pomyślałem z goryczą.

Pod wieczór też gorączka się wzmogła i przytomność znów ustępować zaczęła. Równocześnie jednak orzeźwiona już nieco wyobraźnia, pamiętam to dobrze — poczęła mi stawiać przed oczy obrazy, które były dla mnie były trucizną i lekarstwem zarazem. Oto widziałem ją, tę moją ukochaną, śliczną, łagodną, bielutką, jak tuliła się nie ku mnie, i nie moje pocałunki piła i nie moich ra-

mion czepiała się drobnemi swemi rączkami.

Widziałem to oczyma duszy — ach! ale jak wyraźnie!

Wtedy też — na ten widok — począł się we mnie rodzić bunt jakiś.

— A więc tak? — myślałem — więc ja tylko mam się wam usunąć, mam tu skonać na to tylko, aby wam życie ułatwić — skonać niewidziany i nieżałowany, abyście wy byli szczęśliwi?... Otóż nie!... Ja także chcę jeszcze żyć, chcę żyć za jakąkolwiek cenę — i będę żył, będę!...

I wiem, że chciałem powtórzyć to „będę“ straszny jakimś głosem, któryby ziemię i niebo poruszył, ale tylko chrapliwy jakiś jęk wydobył się z mych piersi.

— Co to panu? — spytał czuwający nademną felczer, podchodząc do mego łóżka.

Wpatrywałem się przez chwilę w twarz jego.

— Nic! Lepiej mi! — odparłem wreszcie.

— Chwała Bogu! — rzekł, zabierając się do zmierzenia gorączki. — A czasby już na to było! Jedenaście dni leży pan bez pamięci.

— Tyfus to był? — spytałem jeszcze po chwili.

Tyfus! Ale jaki! ba! ba! — odparł, takim jednak głosem, jakby chwalił doskonałość mojej choroby.

Lekarz, profesor naszej wszechnicy, który znał mnie dobrze i, jak się później dowiedziałem, opiekował się mną w ciągu całej choroby, przybywszy nazajutrz, skonstatował istotnie znaczne polepszenie.

— Rzeczywiście! — zawołał, zbadawszy mię dokładnie.— Teraz można już powiedzieć, że nic wam nie będzie, kochany panie Stefanie... A było z wami nie tego! Chciałem was już przewieźć na naszą klinikę, bom tu z wami rady dać sobie nie mógł.

Wyznaczył mi cały regulamin dalszego postępowania, zapowiedział, iż z dziesięć dni jeszcze trzeba będzie za próg się nie ruszać, obiecał odwiedzić mnie znów za dni parę, a tymczasem przysyłać do mnie młodszych kolegów — i wybiegł, zanim nawet mogłem usta do podziękowania otworzyć.

Zaczęły się teraz te długie dni rekonwelescencyi, kto wie, czy nie przykrzejsze od samej choroby, która w tem przynaj-

mniej jest dobrą, że pamięć zupełnie odbiera...

Tegoż jeszcze dnia opuścił mnie felczer, a dozór nademną objął znów obsługujący mnie oddawna stróż, Józef, człowiek zabawny w swojej prostocie, ale szczerze do mnie przywiązany. Od niego też dowiedziałem się, jak to on, przyszedłszy któregoś ranka, jak zwykle, dla porobienia porządków, zastał mnie nieprzytomnego; zaraz zmiarkował, że coś ze mną niedobrze, przywołał najbliżej mieszkającego młodego lekarza, a ten znów przyprowadził popołudniu tego starego profesora — „i takeśmy — kończył Józef — umrzeć panu nie dali“.

— A te wszystkie doktory — to pana dobrze znały, a jeden młody, to nawet wołał na pana, z przeproszeniem „Stefek“... Ino, że to z panem nijak nie można się było wtedy rozmówić...

Reszty dowiedziałem się popołudniu od przybyłych do mnie z odwiedzinami kolegów, a w dwa dni później, trawiony ochotą wyjścia na świat Boży, zwlokłem się już z łóżka i otulony kołdrą, powędrowałem ku oknu, wychodzącemu na obszerny dziedziniec.

Nie zapomnę nigdy tej wędrówki. Te siedm kroków, dzielących łóżko moje od okna, wydawały mi się całą podróżą. Przekonałem się, że sił jeszcze we mnie nie było, a oczom, przywykłym przez czas pewien do patrzenia z jednego tylko poziomu łóżka, wydawała się podłoga pokoiku, gdym się podniósł na nogi, tak gdzieś zapadła i odległa, jakby ją kto o parę łokci obniżył, albo też moją postać przedłużył w tym samym stosunku. Doprawdy, przeląknęłam się własnej długości i nie miałem odwagi powędrować z powrotem ku łóżku.

Postanowiłem tedy czekać, aż zjawi się Józef, a tymczasem, usiadłszy na krześle przy oknie, począłem napawać się widokiem kawałka przepysznego błękitu ponad dachem frontowej kamienicy, oraz sporym szmatem słonecznego blasku, w którym skąpana właśnie była cała ściana lewej oficyny i kawałek podwórza.

Słońce, błękit!—widziałem je tedy znowu!...

A dzień był właśnie prawdziwie wspaniały, jeden z tych, na które czasem zdobywa się u nas październik, jakby chciał niemi wynagrodzić wszystkie wichry, deszcze i to całe zniszczenie, jakie jesień trzyma już gdzieś

w pogotowiu, czekając tylko sposobnej chwili, aby rozpuścić jego zagony.

Siedziałem tak całą godzinę, niby bezmyślnie, a jednak wcale się nie nudząc. Anim się spostrzegł, jak wszystko, na co tylko oczy moje padły, poczęło mnie interesować. I ta brunatna plama od wilgoci w narożniku frontowego domu, gdzie słońce nigdy nie zaglądało — i ten ruch, jaki od czasu do czasu na dziedzińcu się objawiał — i szary kot, oślepiły już prawie od starości, a wygrzewający się z rozkoszą na słońcu pod ścianą — i te listki pożółkłe, odrywające się niekiedy od słabych, suchotniczych drzewek, jakimi podwórko było wysadzone dokoła — i nakoniec to stadko kur, które się czasem zapędzały z drugiego podwórka na pierwsze, frontowe, pod przewodem rosłego żółtego koguta, z dumą, ale i z pewną ostrożnością, na czele kroczącego.

Przyszedł nareszcie Józef ze śniadaniem i ucieszył się, widząc mnie już „na nogach“. Tak samo ucieszyło to poczciwego Maleckiego, tego, co to „Stefek“ na mnie wołał, a który całą godzinę tym razem u mnie przesiedział; potem przyszli jeszcze i inni z kolegów i tak zeszedł mi ten pierwszy dzień, godząc

mnie na nowo z życiem i wzmacniając zwo-
na moje siły.

Nie brakło mi odwiedzin i dni nastę-
pnych, ale ranki całe, aż do południa, prze-
pędzałem teraz z musu w samotności. Czy-
tanie jeszcze mnie nużyło, włókłem się więc
do okna, na moje obserwacyjne stanowisko,
które coraz więcej poczynałem lubić. I czy
uwierzycie, że w ciągu dni paru mego przy-
musowego więzienia, poznałem życie tego do-
mu lepiej, niż przez całe trzy lata, odkąd tu
mieszkałem? Dodadź nie miałem na to czasu;
nie wiem nawet, czym kiedy choćby pięć
minut strawił przy tem oknie, w którem te-
raz począłem całe godziny przepędzać.

W dwa dni wiedziałem już, że o tej
a o tej godzinie wychyli się z lufcika naro-
żnego okna parterowego głowa staruszka, któ-
ry będzie się rozglądał, jakby badał stan po-
gody. Ta, czarno zawsze ubrana pani, z le-
wej oficyny, podąży niebawem do kościoła.
Z tej sieni, która i do mnie wiedzie, wybie-
gnie, zaraz po 8-ej, dwóch uczniów, którzy
zatrzymają się tam w bramie i poczną poró-
wnywać wielkość otrzymanych „na pauzę“
jabłek. W chwilę po nich mignie w głównej
bramie postać dziewczynki z tornistrem na

plecach. Teraz poczną się wybierać na targ kucharki i służące, zwołując się wzajemnie po schodach i sieniach. „Kasia“ — „Rózia!“ — „Idziesz?“ — „Zaraz“. — „No, bo ja już idę“!... Nakoniec, po chwili, ten młody stan-gret wyprowadzi konia ze stajni, znajdującej się w drugim podwórzu i zaprzęże do lek-kiego powoziku, którym uda się około 9-ej na Pragę, do swej fabryki, ten gruby jego-mość, zajmujący pierwsze piętro frontowego domu. Cały świat, sam w sobie — pełen swych własnych prac, spraw i zabiegów od-krywał się teraz z wolna przed moim wzro-kiem.

— Ależ ten dom ogromny! — szepnąłem, wyrażając mimowoli głośno tę myśl, która mi się teraz chorej głowy czepiła.

Dom był istotnie ogromny, o dwóch pod-wórzach i kilku oficynach, ale ten jego ruch, to zewnętrzne życie, powtarzało się codzień, zawsze z jakąś zegarkową akuratką, z ma-łemi tylko od czasu do czasu odmianami. Po paru dniach, pole spostrzeżeń było też wy-czerpane, a rola moja ograniczała się na pe-wnego rodzaju kontroli: czy wszystko odbę-dzie się tak, jak wczoraj, jak onegdaj, jak dni poprzednich?

Natomiast uwagę moją, poczęło coraz więcej ciągnąć ku sobie owo stadko kur, które już pierwszego dnia podpadło mi pod oczy, a do którego teraz od dwóch dni, przyplątała się młoda kaczka, nie mile wprawdzie widziana w tej kokoszej gromadce, a jednak nie mająca jakoś odwagi od niej się odłączyć. Wychowanka wsi, pozbawiona widocznie właściwej sobie kompanii, nie umiała w obrębie tych murów żyć na własną rękę i mimowoli lgnęła do tego zastępu, zwłaszcza, że tego kogut, przywódca całej gromadki, miał zawsze coś nowego wyszukać, i wskazać, a sam usuwał się na bok wspaniałomyślnie.

Cały ten zastęp używał tu zupełnej swobody, był bowiem własnością gospodyni domu. Józef nieraz już dawniej przedemną na te kury narzekał, mówiąc, że rozwłóczą śmieci po obu podwórzach, a jemu nawet i postraszyć tego nie wolno, bo zaraz „pani“ się gniewa.

Przyszedłszy też owego ranka i widząc mnie zajętego memi obserwacyami, sam pierwszy się odezwał:

— Wie pan? Jeszcze i kaczka przybyła! Trzy przysłali ze wsi, ale dwie zaraz zabito, trzecią zaś, tę właśnie, że to niby naj-

ładniejsza, chować i chować! Skaranie boskie! Mało było biedy z tamtem szelmstwem, będzie teraz więcej...

Nie odezwałem się ani słówkiem na te ubolewania Józefa, nie chciałem bowiem przedłużać gawędy, któraby musiała choć na chwilę przerwać moje spostrzeżenia.

Obserwator, podpatrujący niegdyś życie pary ślimaków, lub śledzący po całych tygodniach bez znużenia zabiegi pająków, obudził się we mnie na nowo z dawniejszą siłą.

A właśnie było na co patrzeć.

Złoto-czerwony kogut, przywódca gromady, zniecierpliwiony widocznie natręctwem kaczki, która z najlepszą wiarą, zabrała się do jakiegoś, wskazanego przezeń przysmaku, uderzył na nią obcesowo, raz drugi i trzeci, a tak gwałtownie, że poturbowana przybłęda cofnęła się pod sam mur i przycupnęła tam wystraszona. Dopiero gdy napastnik, wraz z całą, obojętnie na to zajście patrzącą gromadką, posunął się zwolna ku środkowi podwórza, zwyciężona, poczęła otrzępywać się po tej przeprawie i gładzić pomierzwione pióra. Widocznie jednak nie miała już ochoty narażać się na podobny poczęstunek, bo nie podążyła za stadkiem i zdala tylko wodziła

za niem jakimś dziwnym — zdawało mi się — załzawionym wzrokiem.

Józef, nie słysząc mej odpowiedzi, wy-
niósł się niebawem, a ja po małej chwili za-
uważyłem, że siłacz kogut nie tylko przywo-
dził tej gromadzie, ale rządził tu niepodzielnie,
z bezwzględnością prawdziwego despoty. Ba-
czny na wszystko, a nadto dumny sam z sie-
bie i ze swej roli, stawał co chwilę i wycią-
gając szyję, rozglądał się po swem otoczeniu.
Jedno jego spojrzenie zawracało już z drogi
tę lub ową z kur starszych, młodszym zaś,
wśród których odznaczała się szczególnie je-
dna smukła i jak śnieg biała kokoszka, zastę-
pował siłacz wprost drogę i naganiał je tam,
gdzie podobało mu się zastęp cały poprowa-
dzić.

Nie obywało się naturalnie bez tego, aby
które z poddanych, zwłaszcza z młodszej ge-
neracyi, nie wyłamało się czasem z pod
rozkazów siłacza, niemniej jednak każde w koń-
cu musiało ustąpić i nagiąć się do woli wład-
cy. A on widząc, że na swoim postawił,
zmrużał jedno oko i zatrzymując się w miej-
scu, podnosił krzyk, który doskonale świad-
czył o wewnętrznem jego zadowoleniu, krzyk

zwycięzcy, tryumfatora: O to ja!... patrzcie!

Uznanie moje dla przepysznego „okazu swego gatunku“ — jak my to zwać przywykliśmy, niedługo trwało, naraz bowiem nowa w tem gronie figura zwróciła na siebie moją uwagę.

Jak ja mogłem jej dotąd nie widzieć? — jak?...

Złoto-czerwony siłacz nie był tu bowiem jedynym przedstawicielem płci męskiej. Tuż obok niego, zastępując mu nawet nieraz drogę i widocznie starając się we wszystkim mu dorównać, kroczył, a raczej włókł się tylko, pstrokato upierzony, wiewielki wzrostem, kogutek — kaleka. Choćby sam kontrast z siłaczem powinien był już pierwej rzucić mi go w oczy.

Ach, bo jak on wyglądał?!

Lewe skrzydło, złamane w jakiejś nieszczęsnej przygodzie, powłóczył za sobą bezwładnie, a na prawą nóżkę, także złamaną, czy wykręconą, utykał zabawnie, gibocząc się przy każdym kroku z boku na bok, niby pijany. Ale mimo kalectwa, pełno w nim było ruchliwości i ochoty do życia, o czem świadczyło jego ustawiczne zabieganie drogi

siłaczowi, który, na szczęście, znosił to dotąd obojętnie, jakby był pewnym swojej wyższości, lub nie miał ochoty mierzyć się z takim biedakiem. Czasem tylko, gdy natręctwo kaleki mu się uprzykrzyło, stawał, prostował się i zawracał całe stadko tak umiejętnie, że kaleka znów w tyle pozostawał samotny i opuszczony.

Nowe odwiedziny kolegów przerwały około południa na pewien czas moje obserwacje, ale przed wieczorem rozumiałem już dobrze, jaki tu przygotowuje się dramat. Choć bowiem siłacz poczuwał się widocznie do równej nad całą gromadką opieki, przecież dostrzegałem, że głównym celem jego uwagi i szczególnej pieczołowitości była przedewszystkiem śnieżna kokoszka. Ona tu królowała, jej dostawały się najpierw wszystkie lepsze części i dopiero opuszczone przez nią niedbale, stawały się łupem reszty otoczenia. A ona, czyściuchna, układna, wdzięczna w każdym ruchu, niby dobrze wychowana panienska, rozumiała snąć powód tych względów, obrzucała bowiem od czasu do czasu łaskawem spojrzeniem swego towarzysza, przyjmując z wdziękiem, ale bez zakło-

potania, wskazane przezeń drobiazgi i okruszynki.

Dostrzegłem też jeszcze, że ze stanem tym godziły się wszystkie starsze kury, spoglądały bowiem pobłażliwie na te odznaczenia, jakie na każdym kroku młodą ich towarzyszkę spotykały, w zamian zaś tylko starały się wyzyskać swoją pobłażliwość przez przysunięcie się jak najbliżej ku tej szczęśliwej i pochwycenie opuszczonej przez nią kruszyny. Zdawaćby się mogło, iż rozumieją dobrze, że wybrana ta jest w swoim prawie i nie dziwią się temu wcale.

Niestety, nie godził się z tem pstrokaty kaleka, który ze swej strony zabiegał także około śnieżnej kokoszki, starając się również czemś jej przysłużyć i zwrócić jej uwagę na siebie. Dlatego to trzymał się zawsze w pobliżu niej i złoto-czerwonego siłacza, dlatego wchodził mu w drogę i wyzywał go niejako swoim natręctwem.

Ale wyzwania te przyjmowane były dotąd przez przywódcę gromadki z pewną pogardliwą obojętnością, Widocznie znał dobrze swoją wartość i siłę, a nadto musiał dostrzedz, że i na białej kokoszce wszelkie zabiegi kaleki nie czynią żadnego wrażenia.

Pstrokaty kogutek pozostawał ciągle dla niej czem był — obojętnym towarzyszem z pod jednego dachu.

Przed wieczorem, gdy już wracano wspólnie na nocne legowisko w komórkach, znajdujących się w trzecim podwórzu, siłacz rozgniewał się wprawdzie na dobre, i już strzepnął skrzydłami, jakby się gotował do skoku na natręta, asystującego ciągle śnieżnej kokoszce, w porę jednak i tym razem się opamiętał. Widziałem bowiem, jak znów złożył skrzydła spokojnie, jakby pomyślał: „nie warto“ — poczem przepuścił kalekę przodem i dopiero, policzywszy niejako wzrokiem całą gromadkę, wkroczył zwolna w bramę za wszystkimi — poważnie, sztywno, jak przystało na prawdziwego władcę.

Umęczony całodziennem prawie ślęczeniem przy oknie, podążyłem tego wieczora dość wczesnie do łóżka, ale długo zasnąć nie mogłem. Myśl moja, z właściwym maniakom uporem, wracała ustawicznie na owo podwórko, a nawet i później, gdy już zasnął, przewijały się ciągle w moim umyśle podpatrzone za dnia sceny.

Następny dzień nie pomnożył weale moich obserwacyj, na podwórzu bowiem, wsku-

tek przeprowadzki paru sąsiadów, panował od samego rana ruch gorączkowy, i stadko moje dopiero około południa wynurzyło się z trzeciego podwórza na drugie, jedynie dostępne moim spostrzeżeniom. Nawet zaś i wówczas spłoszył je niebawem panujący tu dzisiaj zamęt. To jednak miałem czas zauważyć, że kaczka, zapomniawszy już snąć wczorajszej nauki, czepiała się znów całego stadka, na co już tym razem siłacz pozwalał, mając widocznie całą uwagę zwróconą tylko na kalekę, zalecającego się coraz natrętniej śnieżnej kokoszce. Na więcej spostrzeżeń próżno dnia tego czekałem.

Byłbym też może nazajutrz nie podążył tak rychło do okna, na moje obserwacyjne stanowisko, gdyby nie jakiś szczególny hałas na podwórzu, przerywany głośnym śmiechem kilku osób, zebranych widocznie tuż pod oknami mojego mieszkania. Naraz z pośród tego hałasu, przebiło się wyraźne nawoływanie Józefa: „Dalej go! Nie daj się malutki!“ — zakończone znów ogólnym śmiechem.

Pobiegłem ku oknu, prędzej nawet, niż na to pozwalały słabe dotąd moje siły.

Ach, tak! To można było przecie przewidzieć! Musiało się na tem skończyć. Pstro-

katy kogutek przebrał widocznie miarę w swoich umizgach — pobudził gniew siłacza — i teraz oto toczyła się między nim a kaleką krwawa walka, której dzieci Józefa, on sam i parę śpieszących na targ służących, przyglądało się z uciechą i ukontentowaniem.

Złotoczerwony uderzał mistrzowsko, ale i kaleka bronił się zajadle. Każde uderzenie siłacza powalało niemal na ziemię biednego kulasa, mimo to, zrywał się znów w mgnieniu oka i rzucał się wprost ku oczom olbrzymiego rywala, który po każdym odparciu ataku, czekał chwilę, jakby badał, czy współzawodnik zdoła się podźwignąć.

Ale kaleka zrezygnowany już był na wszystko. Dźwigał się ciągle, chociaż zaś każdy nowy poryw opłacał nowym ciosem, przecież nie miał ochoty ustąpić. A w tym jego uporze, była jakaś rozpacz, jakby szukał dobrowolnie śmierci i chciał zginąć koniecznie, widząc, że nie może zostać zwycięzcą.

Już wczoraj zainteresował mnie bardzo swoją niedolą, ale dopiero dziś, podczas tej rozpaczliwej walki, dojrzałem całe podobieństwo wspólnych naszych losów. I ja przed paru dniami, budząc się do życia z długiej

choroby, wołałem przecie: „Czemu ja żyję? czemu?“ ...

A to całe, rosnące ciągle, grono ludzkich świadków tego śmiertelnego boju, nie miało na ustach nic, prócz śmiechu i zaciękawienia. Dla nich ta nierówna walka, była tylko śmieszna, i zabawną. Oni nie mieli w pamięci równej może straty — oni nie mogli rozpaczy zrozumieć.

Ale przypominam sobie i to, że nawet nie dziwiłem się wówczas zebrany dokola ludziom i ich obojętności, a natomiast złość mnie porywała na widok zupełnej apatyj całej gromadki, z jaką bratni ten bój był przez nią przyjęty. Starsze kury powyciągały tylko szyje, jak gdyby chciały lepiej przyjrzeć się temu, co się działo, kilka młodszych kokoszek rozglądało się to w prawo, to w lewo, jakby dziwiąc się zbiegowiskowi ludzkiemu, a ona — ta śnieżno-biała — pośród tej walki — dziobała najspokojniej jakiś zeschnięty liść, którym lekki wietrzyk pomiatał, nadając mu pozory ruchu i życia. Kaczka — przybłęda, okazywała więcej od niej dla walczących zajęcia, kręciła się bowiem niespokojnie, jakby wzywała ratunku.

Nie mogłem dłużej patrzeć na to bezradnie, dostrzegłem bowiem właśnie, jak przy uderzeniu siłacza, z różowego grzebienia kaletki poczęła krew spływać kroplami.

W mgnieniu oka roztworzyłem okno i zwracając się do Józefa, wrzasnąłem z oburzeniem:

— A rozłączcież ich nareszcie! Czemu dajecie im się mordować!

— Kiedy bo — odparł Józef — ten srokaty, proszę pana, już oddawna z tym czerwonym zaczynał, toć mu się należało!

— Głupiś! — krzyknąłem z pasją, powtarzając raz jeszcze poprzedni rozkaz.

Józef, doknięty przewiskiem, które mu się wobec świadków dostało, począł z istotnym ferworem rozganiać zapaśników i nareszcie przerwał ową walkę. Całe stadko podążyło z pośpiechem przez bramę ku trzeciemu podwórzu i tłum służących, ubawionych widowiskiem, rozszedł się niebawem. Dzieci Józefa tylko chciały dalej za rozdzielonymi zapaśnikami podążyć, ale ojciec zwrócił je z drogi.

Scena ta, pozostawiła mi już na resztę dnia jakiś żal, niesmak i niepokój zarazem. Myśl moja wracała ustawicznie do biednego

kaleki i przywodziła mi znów na pamięć moje własne przejścia.

— Jak między ludźmi! Jak między ludźmi! — powtarzałem sobie z goryczą, co chwilę.

Mogąc kontrolować sam siebie, spostrzegłem, że pod wieczór zaczynam dostawać na nowo gorączki. Przestraszyłem się tem nawet i począłem sobie czynić gorzkie wyrzuty. Bo przecie tak przestrzegano mnie przed zbyt zbytecznymi wzruszeniami, zmęczeniem i zaziębieniem!

Na szczęście, rankiem zbudziłem się, z mniejszemi wprawdzie niż dnia poprzedniego siłami, ale bez oznak recydywy, której się ak obawiałem. Nauka jednak poskutkowała.

— Co mnie to wszystko obchodzi! — pomyślałem, postanawiając już dzisiaj nie zajrzeć wcale do okna.

Ale w tej właśnie chwili ozwało się tuż pod memi oknami słabe, piskliwe, jakby wymuszone, a jednak jeszcze drgające jakąś ochotą do życia, pianie mego kaleki.

— Ach, tak! To darmo! — pomyślałem. — Nas jeszcze coś łączy, coś wiąże... my powinniśmy się jeszcze rozumieć.

I zapominając o świeżem postanowieniu, pobiegłem znów ku oknu.

Ranek był ciepły, ale chmurny.

Kaleka mój stał pod ścianą, tuż obok jednego z moich okien, skulony, jakby zziębnięty, czy chory. Wyciągał od czasu do czasu szyję, jakby na coś oczekiwał, to znów przysiadł zrezygnowany, osowiały, widocznie brakiem sił obezwładniony. O parę kroków od niego kaczką chłeptała wodę, rozlaną w rozpadlinach kamiennego ścieku, wiodącego od studni. Nikogo więcej nie było. Ona jedna, wspólnem z nim sieroctwem złączona, dotrzymywała mu placu.

Przyszli tu oboje pierwsi — do studni — wyprzedzili całą gromadkę i czekali na nią najwidoczniej.

Jakoż po chwili, z podziemia bramy, wychyliła się najpierw postać siłacza, kroczącego przodem, jak zawsze dumnie, majestatycznie. Tuż za nim postępowała biała kokoszka, czyściuchna, ze starannie wygładzonymi piórkami, niby ta sama, a przecież już taka inna, inna! Dawniejsza jej nieśmiałość, ustąpiła teraz miejsca jakiejś powadze i poczuciu godności; nie odsuwała się już teraz od siłacza. Zrozumiałem wszystko! Z całej tej

bieli, w jaką się stroiła, pozostały teraz białymi tylko jej sukienki.

Napoiwszy całe stadko, siłacz zawrócił je znów zaraz ku bramie i trzeciemu podwórzu. Koń fabrykanta bywał o tej porze wyprowadzany, siłacz więc ciągnął ku stajniom, gdzie zawsze coś z obroku mogło się znaleźć. Rozumiało to widocznie całe grono, bo nikt się nie opierał, owszem, śpieszono się z powrotem. Śpieszyła się nawet czarna, opasła starucha, zazwyczaj leniwa, z braku sił, z konieczności, nie śpieszno było tylko mojemu kalece.

Nareszcie i on podniósł się zwolna i powlókł za wszystkimi apatycznie, prawie nie patrząc, gdzie idzie. Złamane skrzydło opuścił znów bezwładnie po boku, na nogę utykał więcej i zatrzymywał się często, jakby zbierał siły.

Ludzie w jego położeniu stają się pijakami, tom dobrze w tej chwili rozumiał... I ten jeszcze dzień przepędziłem przy oknie, z książką w ręku. Alem już napróżno od czasu do czasu spoglądał na podwórko. Żadne z gromadki nie zajrzało tu już przez dzień cały.

Wieczorem zjawił się Józef z samowarem. Wczoraj kazał się w tem wyręczyć małej swojej córeczce, dziś zapomniał już widocznie uraz i sam przychodził. Dostrzegłem też niebawem, że ma ochotę z czemś się do mnie odezwać.

— No, cóż tam mój Józefie — zagadnąłem pierwszy, chcąc go do reszty rozbroić!

— A to — zaczął po chwili — że ten czerwony, to przecie ubił tego kulasa, co go pan wczoraj bronił...

— Jakto ubił? — spytałem, blednąc.

— A dyć, na śmierć! Tam w trzeciem podwórzu, dziś przed wieczorem. Poczubili się znów, taj czerwony palnął i ubił tego kulasa, co go pan wczoraj bronił...

— To nie może być! Nie może być! — począłem mimowolnie.

— Ale tak! — zapewniał Józef. — Sprawiedliwe słowo! A właśnie, trzeba mi go będzie zanieść do pani gospodyni, bo by też może nie wierzyła, to go tu panu przyniosę, pokażę...

I wybiegł śpiesznie, zanim mogłem zdobyć się na słowo odpowiedzi.

Istotnie po chwili zjawił się z martwym kaleką.

— Ot! — mówił obojętnie, ważąc go w rękach i rozpatrując z uwagą. — Chudziak, że aż strach, a łeb na dycht podziurawiony...

Nie mogłem patrzeć na to i, przyskoczywszy, wyrwałem mu z ręki kalekę.

— Wynoś się! — wrzasnąłem, sam nie wiedząc, co mówię, a czując tylko, że napróżnym Józefa starał się pobudzić, choćby dla cząstki tej litości dla zabitego, jaka w tej chwili całą pierś moją wypełniała.

Józef, nie oczekując też powtórzenia rozkazu, umknął śpiesznie, pozostawiając na podłodze zabitego kogutka.

Nie zdołał nawet drzwi za sobą zamknąć, a spotkawszy się w sieni z żoną, która go śnać o mnie pytała, odparł tak głośno, że te słowa aż do mego pokoju doszły:

— E! ten nasz pan, to jeszcze nie zdrów chyba całkowicie...

Opamiętałem się niebawem i przez noc zapomniałem nawet o całej przygodzie, gdy rankiem córeczka Józefa przyniosła mi list, nieznanem pismem skreślony.

— Od kogóż to? — spytałem.

— Od pani gospodyni...

List brzmiał dosłownie, jak następuje:

„Szanowny Panie!“

„Wprawdzie u panów akademików to nic dziwnego, ale niech pan nie je tego kogutka, co go pan zabrał z podwórza, bo to zawsze padlina i może być nie zdrowa, a pan podobno ciężko chorował. Józef opowiadał nam właśnie o tem i popłakałyśmy się nad panem... Niech go pan wyrzuci na śmiecie, a ja w zamian każę panu zabić najładniejszą białą kokoszkę, to ją pan sobie każę ugotować. Życzliwa

M. K.

właścicielka domu“.

— To osioł z tego Józefa, to osioł! — krzyknąłem, doczytawszy do końca i zapominając nawet, że mówię to w obec jego córki.

Bo i jak się tu było z tego wytłomaczyć? Co ja teraz tej kobiecie odpowiem, jak ją przekonam, że w całej tej sprawie zachodzi tylko nieporozumienie? Jak? jak?

Nie pozostawało mi na razie nic innego, jak przyjąć na siebie narzuconą mi przez Józefa rolę biednego, umierającego z głodu studenta — myśl bowiem, że mój kaleka ma być w ten sposób przezemnie pomszczony — wydawała mi się wprost okrutną.

Należało nie zwlekać ani chwili z odpisem.

Siadłem i skreśliłem słów kilka, kładąc główny nacisk na prośbę o darowanie życia białej kokoszce. „Tylko ta biała niech nie ginie, tylko ona“ — powtórzyłem to co najmniej trzykrotnie.

Dlaczego? — o tem poczciwa kobieta nigdy się już nie dowiedziała. Bo chociaż, przyszedłszy zupełnie do zdrowia, pobiegłem usprawiedliwić się osobiście z tej awantury, w jaką Józef mnie wplątał, nie mogłem jej przecie powiedzieć, że i ja sam broniłbym jeszcze i dziś nawet życia tej, przez którą tyle wycierpiałem...

K O N I E C.

ZALICZKA.

Mieszkańcom owego trzeciego od rogu domu na Brzozowej nie tajem było od dawna, że tam, na pięterku, u wdowy dostawki się nie przelewają.

Pamiętano przecież, jak się tu wprowadzała przed dwoma laty. Umyślnie snąć kazała zwieźć rzeczy późnym wieczorem, około ósmej, ponieważ jednak było to 8-go lipca, dobrze więc zauważono, że na wozie znajdowały się wprawdzie niegorsze, świecące od politory mebelki, bo nawet cztery złoczone krzeselka i amarantowa kanapka, o której czeladnik od tapicera z przeciwka powiedział z uznaniem: „delikatna sztuka“ — ale wszystkiego tego, jak na dwa pokoiki — i to

z kuchenką — było bardzo nie wiele. Nie tak to, jak ów maszynista fabryczny, co to gdy się sprowadzał pod Nr. 4-ty, napakował na wóz szaf, szafek i komodę dużą, kołyskę i garnków, a rupieci moc, że było na co patrzeć, bo aż przejazd przez ulicę został na pewien czas zatamowany.

Prawda, że tu nie potrzeba było kołyski wcale. Za wozem przyszła nie stara niby, ale jakoś bardzo zbiedzona pani, w czarnej kamlotowej sukni i w czarnym także kapeluszu koronkowym, a powiedziawszy coś, po jakimś, do towarzyszącego jej studenta w mundurku, poszła zaraz na górę. Student ów, ładny, choć także jakoś zbiedzony blondynek, dopilnował zniesienia ostatniego grata, zapłacił tragarzy i woźnicę — i pośpieszył za matką na nowe mieszkanie. Tak, tu kołyska była zbyteczną — było ich tylko dwoje — matka i syn — właśnie ten student.

Pamiętano również, że po roku, pewnego ranka, żydek jakiś, przybywszy przed dom z dwoma tragarzami, wynosił owe cztery złocene krzeselka i tę amarantową kanapkę — takie same świejące i czysciuchne, jak przedtem... Ot, co to, gdy nie ma w domu ma-

łych bębnow! — nie podrą, nie zniszczą — i zasznuje się samo.

Co do lokatorów owego piętra, dłuższego też czasu było potrzeba, zanim nawet stara Augustowa, nosząca im z początku tylko wodę od pompy z rogu Mostowej i Bolesci, mogła coś o nich powiedzieć.

Nie chciała wcale gadać o nich nawet.

— Państwo, dobre państwo — odpowiedziała tylko od niechcienia na wszelkie naga-bywania.

Odpowiedź ta nie zadowolniła pewnego razu krawcowej z dołu, matki pięciorga małych dziewczątek, wzdychającej dotąd napróżno za synem.

— Ale widać, biedota jakaś! — odparła zgryźliwie, przybierając minę pani domu, która wydaje czterdzieści rubli miesięcznie na samo życie. — Bo to i mało się pokazuje, a świętek i piątek w jednym prawie chodzi...

— I cóż z tego — odrzuciła stara Augustowa, która tymczasem zaczęła już na pięterku we wszystkim usługiwać — państwo i w biedzie zostaną państwem! Mówię pani, dobre ludzie i już!...

Najwięcej dziwiło to wszystkich, a i gniewało niektórych, że ani rusz było zabrać

z niemi jakiej znajomości. Tu, w tej sferze ludzi ciężkiej pracy, gdzie wszyscy sąsiedzi znali się dobrze wzajemnie i wiedzieli zazwyczaj o każdym, drobnem nawet zdarzeniu domowem, jak np. upicie się stolarza, lub kłótnia z mężem tej urzędniczki z lewej oficyny, musiało wszystkich zadziwiać to, że oni, tam na pięterku nie mieszają się do niczego i przy obsłudze starej Augustowej, wystarczają sobie oboje najzupełniej. Nie znać ich było w tym gwarnym i ruchliwym domu, nie słychać, nie widać.

Syn, ów młodziutki studencik, wymykał się z domu zazwyczaj rankiem, około 8 ej, wracał czasami około 3-ej — i wówczas, po godzinie lub dwóch, wybiegał znów na miasto — czasami zaś wcale nie pokazywał się w domu od rana i przybywał aż późnym wieczorem.

Augustowa zauważyła, że matki, zapadającej zresztą często na zdrowiu i nie mającej jakoś wiele sił w sobie, nie niepokoiła jednak bardzo ta całodzienna czasami nieobecność syna. Wzdychała wprawdzie, niekiedy ciężko, załamywała ręce w milczeniu, lub chodziła po pokoiku zamyślona, od drzwi ku oknu, jakby nie mogła usiedzieć na miejscu,

niebawem jednak uspakajała się znowu, wracając do krosienek, na których — aczkolwiek zwolna i bez mozołu — zjawiały się jednak, zdaniem Augustowej, same „śliczności“.

Dopiero, gdy młody „pan Lucio“ wracał wieczorem, matka przyglądała mu się uważnie, a pewnego razu, widząc go bledszym jakoś, niż zwykle, zawołała nawet z rozpaczą, a tak głośno, że Augustowa słyszała:

— A jednak ciebie te lekcye męczą! Boże, Boże, ty zabijasz się dla mnie, dziecko moje jedyne! I to za takie marne pieniądze!

„Pan Lucio“ wówczas począł dowodzić, iż nie czuje się wcale zmęczonym. Za chwilę nawet śmiał się już wesoło, potem zaś mówił do matki coś długo, długo — a gdy Augustowa weszła z samowarem, leżał wznak na kanapce, mając jasną głowę opartą na kolanach matki, która bawiła się puklami jego kręcących się zlekka a bujnych włosów.

Wtedy też on, „pan Lucio“, widząc ją wchodzącą z samowarem, zawołał wesoło:

— Herbata i bułeczki, i chleb, i masło! Ot, to! Toż to będzie ucztą! Prawda, złota Augustowa? — spytał w końcu i zaraz zabrał się do jedzenia.

Już to wogóle z tem jedzeniem, to tu dziwnie jakoś się działo.

Naprzód pani zawsze wiedziała z góry, kiedy „pan Lucio“ zaproszony jest na obiad do kolegi. Mówiła zazwyczaj wtedy zaraz po jego wyjściu rannem:

— Moja kochana Augustowa! Lucia dziś nie będzie na obiedzie w domu... jest proszony... A ja, widzisz, ja nie mam jakoś apetytu... Szkoda zachodu... Najlepiej, gdyby Augustowa dostała gdzie śmietanki i zrobiła dobrej kawki, najwięcejby mi to smakowało!

Robiono więc kawę, a gdy wieczorem syn wracał i poczynał opowiadać, co on to za frykasy jadł na owym proszonym obiedzie, ona, matka, mówiła doń z przechwałką, całując go po czole i oczach:

— Nic ci nie zazdroszczę! Ja tu miałam paradny rosólek, doskonałą sztukę mięsa, która się dziś nadzwyczaj udała i wyborny groszek z grzankami...

Pani nigdy prawie nie wychodziła do kuchni, nie wiedziała więc może nawet, że przedziela ją od pokoiku tylko ślepa, cienka ściana, z niedomykającymi się nadto drzwiami, a ztąd słycać w niej wszystko najwyraźniej, co tam, w pokoiku, ktokolwiek mówi.

Augustowa też wówczas mało obłędu nie dostała. Jaki rosół? Jaka sztuka mięsa? Jakie grzanki? Przecie tylko kawa — kawa i bułeczki, kajzerki — nic więcej!

— O! Jezusie, Jezusie!—westchnęła zcicha.

Chciała też w pierwszej chwili wejść tam do pokoiku i zaprzeczyć słowom pani, czuła jednak, że musiałaby się przytem rozplakać, nadto zaś ten syn i matka, tacy jacyś niezwyčajni, onieśmielali ją dotąd jeszcze nawet, już blisko po roku służby.

Nazajutrz też tylko, gdy „pan Lucio“ wyszedł, jak zwykle zrana, zaczęła z politowaniem:

— Aj! pani, pani!

Wdowa, siedząca tam przy oknie, podniosła na nią od krosienek jasne, pogodne oczy.

— Co sobie Augustowa życzy? — spytała niby swobodnie, ale tak jakoś przecie z pańska, że biedna kobieta zamilkła onieśmielona.

— E! nic już! nic! — odparła i wyszła zaraz ze łzami w oczach.

Nie darmo powiedziała owej krawcowej, że to prawdziwe państwo — niedarmo! Ani rusz ust do tego otworzyć, bo tak jakoś czło-

wiekowi markotno się robi na sercu, aby tego bez potrzeby czem nie urazić.

Milczała zatem, mówiąc sobie:

— Kiedy tak, to tak! Zamknę gębę na kłódkę! Zamknę!

Była jednak pewną, że to wszystko musi się kiedyś wydać. Pan Bóg cierpliwy, ale sprawiedliwy i kłamców, nawet takich, nie lubi i nie może lubić. Ksiądz powiedział to niedawno na kazaniu — mądry, światły ksiądz...

Jakoż — wydało się wszystko!

Było to właśnie w połowie sierpnia. Augustowa pamiętała dobrze ów wieczór, w którym „pan Lucio“ wrócił wcześniej jakoś, choć także po świetnym obiedzie u jednego z bogatych kolegów i także w taki dzień, co to kawa tylko była w domu dla matki na obiad.

Ucałował matkę jak zwykle, popieścił się z nią nawet, ale jakoś nie mógł dziś usiedzieć na miejscu i wbrew zwyczajowi spytał:

— Co mameczka miała dziś na obiad?

— Ja? — odparła matka, spuszczać oczy — ja... miałam... pieczeń cielecą, przepyszną... powiadam ci Luteczku, świetną... Augustowa zrobiła jej nawet tak dużo, że zjeść nie mogłyśmy...

Syn przeszedł się po pokoiku, poczem

zatrzymując się znów przed matką, zaczął po chwili:

— Wie mameczka?... jeśli istotnie zostało co tej pieczeni... to... to... jabym... zjadł kawaleczek... Obiad był świetny, ale... zrobiliśmy spacer do Natolina... z tym Zdzisiem... co to mameczka wie, no i teraz przyszedł mi apetyt... Dobrze mameczko?

Wdowa zmieszała się bardzo, ale na chwilę, na sekundę zaledwie.

— Dobrze, dobrze Luteczku! — odparła. — Zaraz ci podam!

— Po cóż mameczka ma się fatygować sama?... Augustowa! — zawołał, zwracając się ku drzwiom.

Ale matka, szepcząc coś gorączkowo w formie protestu, wybiegła sama do kuchenki.

Augustowa nie zapomni tego nigdy, jak ją tam schwyciła za rękę i wywiódłszy ci chutko do sionki, wetknęła jej w rękę parę srebrnych złotych, prosząc:

— Augustowa! Lećcie, na Boga! Szybko! Do pierwszej restauracyi, gdzie najbliżej... Przynieście pół porcyi pieczeni... to się nie może i nie powinno wydać, żeśmy tylko kawę dziś miały na obiad... Augustowa, moja złota Augustowa!

Bóg sprawiedliwy!

Nie dopatrzyły bowiem obie w pośpiechu i trwodze, że zarówno drzwi od sionki, jak i od kuchenki, pozostały otworem. On, widocznie już coś podejrzewając, zbliżył się cichaczem na palcach, i wysłuchał śnać wszystkiego. Zaledwie bowiem przebrzmiały ostatnie wyrazy tej gorącej prośby, dał się słyszeć po za plecami wdowy głos jego, pełen łez i wyrzutów zarazem:

— Mamo! mamó!

Biedna kobieta krzyknęła wówczas przeraźliwie, zasłaniając oczy dłońmi, jakby przed strasznem jakimś widzeniem.

— Ach!

Rozsypane złotówki zadźwięczały w ciemnej sionce.

— Mamo! mamó! — powtórzył, obejmując ją czule i wiodąc z zakrytą wciąż twarzą ku kanapce. — Więc to tak! Oszukujemy się już wzajemnie!

I podczas, gdy ona, bezsilna już zupełnie wobec wykrytego podstępu, spoczęła, jak martwa, w rogu kanapki, trzymając wciąż dłonie przy twarzy, on, odwracając się, począł zcicha, żałośnie płakać.

Cisza — ale owa cisza wielkich smutków

i rozpaczy bezmiernych — zaległa mieszkanko na długą chwilę, padając ciężarem na dusze ich obojga.

Tak! On miał słuszość... Mógł jej czytać wymówki... Dawał przecie ciągle na te obiady, tylko, że ona drżała zawsze na myśl, że mogłoby zabraknąć kiedy na komorne, oszczędzała więc, co mogła.

— „Oszukiwaliśmy się wzajemnie“... ta jego wymówka teraz dopiero odbiła się wyraźniej w jej umyśle.

„Wzajemnie?“ Jakto wzajemnie?,- Więc co? Więc i te jego obiady proszone... te zabawy... byłoby to wszystko udanie?... Boże! Boże!... Teraz właśnie połowa sierpnia, lekcye więc musiały się urwać... I ten Zdziś Połtyński, co to miał go na owe obiady zapraszać, musiał pewnie także korzystać z wakacyj, gdzie zagranicą, u jakich wód, jak to zwykle Połtyńscy czynią... „Wzajemnie“... Ach, ona to teraz dopiero zrozumiała.

— Jezus, Marya!

Na tę myśl okrutną zerwała się śpiesznie z kanapki, pobiegła ku synowi i obejmując go za szyję chudemi rękoma, a układając głowę swą na jego piersiach, poczęła strasznie szlochać:

— Oh! ho, ho, ho!

On nie wypuszczał matki z objęć, choć to jej szlochanie rwało mu serce na strzępy. Pamięta przecie... Tak jak dziś płakała matka, tylko wówczas, gdy obecny przy zgonie ojca, a zaprzyjaźniony z nieboszczykiem doktor, dotknąwszy dłoni umierającego i posłuchawszy jego oddechu, szepnął uroczyście ze łzami w oczach: „Módlcie się za jego duszę“... Więc to jego poświęcenie synowskie, ten jego głód owego szeregu dni całych, gdy zadawał się wypitą w domu zrana herbatą i paru bułkami — wszystko to na nic, na nic, na nic!

Uczuł też wobec tej myśli nowe łzy w oczach, zdołał je atoli powstrzymać.

— No, no! mamusiu, mameczko! — począł uspakajać, tuląc matkę do siebie z czułością.

Podniosła wówczas ku jego twarzy zapłakane oczy, w których dwie wielkie łzy u powiek wisiały.

— Więc i ty... i ty... — spytała, nie mając mocy dokończyć: „oszukiwałeś mnie“...

On jednak zrozumiał, a nie był jeszcze mężczyzną — miał dopiero dwadzieścia dwa

lata — nie umiał wytrwać w kłamstwie do końca.

— Co było robić? — odparł szczerze, przytulając twarz swą do jej twarzy. — Czekalem września, widzi mamusia, a bałem się o komorne... Połtyńscy już dawno są na Helgolandzie. Chcieli mię nawet zabrać ze sobą, niby to dla pomagania Zdzisiowi... Ale nie wypadało jakoś... Ach, te wakacje!

Znowu wybuchnęła płaczem, ale już teraz opanowała się szybko sama.

Jak przed chwilą, on z sionki do pokoiku, tak teraz ona podprowadziła go ku kanapce. Dał się już wieść, tem niespodziewanem przejściem wycieńczony i pozbawiony wszelkiej woli własnej.

Usiedli, zamieniając w milczeniu słodkie pocałunki. On całował jej ręce, ona każdy całunek oddawała mu z nawiązką, obsypując niemi jego czoło i oczy.

— Nie zapomnę ci tego nigdy, zaś tak dobrym synem! — przemówiła wreszcie. — Nie zapomnę!... A przecie Bóg nie może nas opuścić i nie opuści z pewnością. Zresztą, jest przecie ta suma u Zawroczyńskich.

Młody człowiek drgnął całym ciałem.

— Wiem! zaparli! — mówiła dalej mat-

ka, przytulając się mocniej do syna. — Nie mieliśmy wszystkich dowodów w porządku po śmierci ojca... wiem! Ale przecie wszyscy mówili, że tych ośmiu tysięcy, przy listach i dokumentach, jakie mamy, możnaby dowodzić świadkami, możnaby coś od tych ludzi wycisnąć.

Znowu uczuła na swej piersi drgnienie syna.

— Wiem! — mówiła dalej — że ty o tem słuchać nawet nie lubisz... wiem! Zapierają— powiedziałeś — niech im to wyjdzie na dobre.. I widzisz, ja wówczas usłuchałam ciebie, dziecię moje, choć tu szło o całe nasze mienie. Usłuchałam, choć miałaś wówczas siedmnaście lat... A przecie usłuchałam!... I obiecałeś mi wówczas za to nie rozstawać się ze mną nigdy, Luteczku, i codzień kochać mię więcej...

Płakała znowu przez chwilę zcicha.

— Ale dziś— przemówiła znowu — dziś... gdy tak już coraz nam gorzej... gdy... gdy... — poczęła jąkać i znowu strumień łez popłynął po jej wybladłej twarzy. — Dziś — kończyła po chwili — ja to czuję, dałoby się coś z tego odzyskać. Pomówmy o tem raz seryo, moje dziecko...

Znała go dobrze, wiedziała, jak jest uparty w swych postanowieniach, jaki stały

w swych wstrętach i kochaniach, spodziewała się też po tych słowach przynajmniej jakiegoś nowego poruszenia z jego strony.

On jednak nie zadrzał już wcale — nie słyszał jej — nie widział jej łez krwawych — matczynych. Wpatrzony przed siebie, z głową opartą o poręcz kanapki, opanowany widocznie jakąś błogą nawet myślą, uśmiechał się do niej radośnie.

— Mam radę! — zawołał wreszcie, jakby w jakimś natchnieniu, wyciągając rękę przed siebie — skończy się nasza bieda, skończy. Mam radę!... Boże, Boże! że ja też dotąd się wahałem!... Po co, na co? gdy w tem przecie spokój i szczęście i los może nawet w przyszłości.

Matka spojrzała na niego wielkimi, przeżonemi oczyma.

— O czem ty myślisz, Luteczku?—spytała.

— Nic, nic! — odparł wymijająco. — głupstwo ci Zawroczyńscy! Mam coś lepszego! Mam!

A widząc ciągle trwożny wzrok matki, dodał:

— Ale do jutra to jeszcze przy sobie zatrzymam! Tylko do jutra! Dobrze? Mameczka zna mnie przecie, musi mi więc ufać i wierzyć... Dobrze?

Nie czekając na odpowiedź matki, uwolnił się łagodnie z jej objęć.

— A teraz — rzekł, wstając — jeść, jeść! Mateczko, jam głodny... i ty... i ty... o, nie zapieraj! Głód pierwszy! O tak! dziś wart jestem kolacyi!

I rzucając się ku kuchence, zawołał:

— Augustowa! Augustowa!

Stara nie słyszała dziś wszystkiego, bo ją żal za bardzo rozebrał, więc i słuch jej przytępił, czuła tylko, że tu źle jest bardzo z tem państwem. Weszła też chmurna, ponura, szczerze zmartwiona.

— Dyć jestem! Słyszę! — odparła, ocierając załzawione oczy.

On, stając przed nią, zawołał wesoło:

— Niechno Augustowa skoczy teraz na prawdę po jakie mięso... możeby tak dobrej jakiej szynki, serdelków, sztufady... no, coś z tego...

Wyciągnął zielony papierek.

— Albo nie! — dodał, widząc, że starej to już teraz nie rażno — sam skoczę, to najlepiej! Bo i lepiej wybiorę, i prędzej wrócę! I schwycił za czapkę.

Napróżno matka chciała zakładać jakiś protest. Ucałował ją tylko i wybiegł, jak szalony.

— Ot, młodość!... Wrócił za trzy minuty,

możc za pięć, ale pewniej za trzy — myślała Augustowa. — A co naniósł! Różne różności!

Jaka ta kolacya była wówczas wesoła, zwłaszcza, że i jej, Augustowej, młody pan kazał usiąść w pokoju, choć nie przy stole— i dokładać jej ciągle czegoś — skończenie świata!

A ile się ten dobry syn nacałował matki po rękach i kolanach — Boże ty, Boże!... Takiego radosnego wieczora Augustowa nie pamięta w życiu — a choćby miała jeszcze jeden taki przeżyć — nie chce, nie chce za nic w świecie!

Nazajutrz „pan Lucio“, spokojny już zupełnie, poważniejszy jakiś, niż zwykle, ale i łagodny przytem nad miarę, wychodząc rano z domu, szepnął do niej w kuchence:

— Moja Augustowa! Obiad porządny na czwartą! A przedtem na śniadanie dla mamusi zrobić dobrej czekolady... mamusia to lubi... Tylko też kupić w najlepszym gatunku — i wetknął jej w rękę zielony papierek.

Potem zaś, jakby się jeszcze namyslił, dodał:

— A obiad porządny... bo ja będę jadł jak wilk!

Jak wczoraj on, tak dziś matka dosły-

szalał snąć jego słowa z pokoiku, bo uchylając drzwi od kuchenki, spojrziała na niego tkliwym, niepewnym wzrokiem, w którym on wyczytał niejako pytanie: „Co ty chcesz uczynić? Co chcesz uczynić?“...

Pragnąc ją uspokoić, podskoczył ku niej czempędzej.

— No, matuchno! — prosił, całując jej rękę — Złota matuchno! Trzeba mi przecie wierzyć!... Ja już nie jestem dzieckiem i wiem, co robię... Spokoju więc trochę, spokoju! Skończyła się już nasza bieda, zobaczysz, mateczko!

I nie dając jej przyjść do słowa, wybiegł pospiesznie.

Długo nie było go widać. Obiad czekał o trzeciej napróżno. Nadaremnie też Augustowa namawiała panią, aby skosztowała potraw sama, nie czekając na syna. Wdowa ani słyszeć o tem nie chciała, mówiąc ciągle:

— On nadejdzie! On wróci już niebawem.

Upłynęła jednak jeszcze godzina i wtedy dopiero ogromne wrażenie na zebranych w bramie, z powodu jakiejś kłótni, mieszkańcach, zrobiła zajeżdżająca przed dom dwukonna drożka, w której siedział ów student, oblado-

wany rozlicznymi paczkami, nie czekając nawet na zatrzymanie koni, wyskoczył i pobiegł szybko na górę.

Dorożkarz był już widać z góry zapłacony, bo nie zatrzymując się prawie wcale i oceniwszy znać, że tu nie zawróci wygodnie na wąskiej i pochyłej ulicy Powiśla, ruszył żwawo ku Mostowej, zacinając konie.

Tymczasem tam, na górze, Lutek całował już matkę po rękach.

— Spóźniłem się trochę... przepraszam mamusię... nie mogłem się wcześniej uwinąć... Augustowa — dodał — obiad, a żywo!

Na ustawionym już stole leżały dwa nakrycia i stara, pragnąca dziś pochwalić się swym kunsztem, poczęła rozlewać zupę rakową na dwa talerze.

— Jakto? — zawołał młody człowiek — więc mameczka dotąd na mnie czekała?... Boże mój, Boże!... Ale co tam—dodał zaraz—jedzmy! To już ostatni raz się spóźniam! Jedzmy!

I naraz, zatrzymując w połowie drogi podniesioną do ust łyżkę, powstał nagle od stołu, jakby sobie coś przypomniał i pobiegł do kuchenki, gdzie w pośpiechu porzucił swoje pakunki.

— Prawda — mówił, wróciwszy po sekundzie z jednym kieliszkiem i owiniętą w papier butelką, zabierając się do odkorkowania.— Prawda? Bo to mameczka nic nie wie! Zaraz wszystko wyjaśnię!

I dokonywając tej czynności, począł opowiadać, że spotkał się dziś z doktorem Grodeckim, tym samym starym znajomym, co to wezwany zapóźno, nie mógł już uratować ojca i zamknął mu tylko powieki. Doktor wypytywał o wszystko... jak im się wiedzie... obiecał nawet, że zajrzy tu jutro przed wieczorem... był widocznie z tego spotkania uradowany.

— A wie mameczka?—kończył—pierwsze zapytanie doktora było: czy mamusia pija jeszcze to chinowe wino? Więc też, mogąc sobie już na to pozwolić, kupiłem zaraz butelkę... Musi mameczka od dziś dnia zacząć je pić na nowo... po kieliszku... przed każdym jedzeniem. Oto jest!

Nalał kieliszek ustawiony przed talerzem matki i zadowolony snąć z siebie, począł szybko zajadać stygnącą już zupę.

— Bardzo dobra!—pochwalił.

Dopiero kończąc ostatnią łyżkę i zabawiając się obłupywaniem nóżek, podniósł oczy

na matkę, która nie tknęła dotąd ani wina, ani zupy i siedziała przy stole sztywna, nieruchoma, ze spuszczonei ku ziemi, a już nabrzękłemi od łez powiekami.

— Mateczko!—zawołał z lekką wymówką w głosie.

Nie było i teraz żadnej odpowiedzi, tylko spuszczone powieki coraz więcej łez zbierały.

Widział to dobrze i dopiero teraz zrozumiał, iż wyzwolenie z pod opieki matki, na co właśnie dziś po raz pierwszy sobie pozwolił, zawróciło mu głowę za bardzo.

Wszakże dotąd zawsze starali się oboje odgadywać niemal własne myśli, uprzedzać życzenia, dopowiadać brakujące słowa. I on, on sam, który już zrana tajemniczością swoją mógł jej wiele dać do myślenia, dręczył ją teraz jeszcze tem, iż nie pilno mu było opowiedzieć jej o wszystkim! Ta zagadkowość i pewność siebie wydawały mu się tam, po za domem— ach i tu nawet jeszcze, przed chwilą — czemś tak dobrem, wielkiem, mężkiem! I możeby to było nawet dobrem, ale nie z nią, nie z matką, która już teraz blizką łez przez niego,—tylko przez niego!

— Jak on mógł nawet tak postąpić?—
jak mógł tak się zapomnieć?...

I te wszystkie myśli dopiero teraz przesuwały mu się po mózgu, niby lawiny śnieżne, z których co chwilę któraś się urwie u góry — i leci, leci na dół z łoskotem.

Oszołomiony też tą myślą, pozostawił łyżkę na talerzu, obiegnął stół szybko i rzucił się do kolan matki.

— Matuchno! — począł wołać, składając splecione dłonie na jej kolanach, a twarzą swą szukając jej twarzy. Matuchno najmiłsza! najdroższa! Matuchno, toż przecie sama powtarzałaś mi nieraz te swoje ulubione francuskie wiersze, że i najpiękniejsza róża kaleczy czasem własne swe listki kolcami przy silnym wichrze! Tak i ja dzisiaj ciebie kaleczę, mateczko! Mówię przecie o wszystkim, tylko nie o tem, na co ty mateczko czekasz, czego musisz być dziś ciekawą — nad czem myśląc z uporem i zazdrością matczyną, mogłabyś mi nawet umrzeć na rękach, a ja bym się nie spostrzegł w zaślepieniu!

Zakrył oczy na chwilę dłonią, jakby dla otarcia ich z łez, i nie zmieniając pozycyi, począł znowu?

— O! mamó! mamó! Jakim ja zbrodzień! — i płacząc rzewnie, utulił głowę na jej kolanach.

Powieki jej nie mogły już teraz leż wezbranych powstrzymać, pozwoliły im więc wypłynąć — ale równocześnie niemal na twarzy biednej kobiety zaigrał jakiś błogi uśmiech. Ach, tak! Właśnie to wszystko miała sama na myśli. — Więc on znów ją odgadywał, poj-mował, rozumiał?... więc nic się nie zmieniło, nic zgoła, nic, mimo, iż pozwolił jej tak wiele cierpieć przed chwilą?...

Dobry, kochany syn!

Schwyciła więc głowę klęczącego w obie swoje dłonie i, wyciskając na czole jego gorący pocałunek, poczęła patrzeć mu wprost w oczy.

— Bądź więc dobry dla mnie do końca! — prosiła. — Nie wstrzymuj już ani na minutę owej wieści, którą ja czuję na twych ustach, a która mnie dręczy... Jakim sposobem mogłeś dziś pozwolić sobie na te wydatki?... Co znaczyła twoja wczorajsza zapowiedź?... Powiedz mi to wszystko jednym wyrazem, gdy możesz... powiedz jak najkrócej, bo moja niepewność, to męka... wielka męka!

Pochwycił jej rękę i przycisnął do ust.

— Matuchno! — zawołał. — nie uczy-
niłem nic złego! Ot, słuchaj! Wyzyskałem
tylko moją znajomość czterech języków... wy-
zyskałem moje stosunki z Połtyńskimi... Wie-
działem już oddawna, że w jednym z ban-
ków, gdzie dyrektorem jest wuj Połtyńskich,
wakuje dobra posada, dla której bank nie
może sobie dobrać człowieka i ciągle ludzi
zmienia. On sam, ten wuj ich, ten dyrektor,
słyszając mnie mówiącego po francusku z sio-
strą Zdzisia, Niusią, i dowiedziawszy się nad-
to, że dzięki mamusi, umiem i po angielsku,
powiedział do mnie przed paru już miesiąca-
mi: „Skończno pan tylko prawo, a ja dam
panu taką posadę, jakiej na adwokaturze ni-
gdy się nie doczekasz, albo przynajmniej nie
prędko“... Słowo w słowo tak mi powie-
dział, nawet... nawet przy Niusi... no... i przy
Zdzisiu...

Matka słuchała tych słów z natężeniem,
nie spuszczając oczu z twarzy syna. Myśl
jednak jakaś uderzyła ją widocznie nagle, bo
nachmurzyła znów wypogodzone już całkiem
czoło.

— Ależ ty studyów jeszcze nie skończy-
łeś? — rzekła. — Skończysz je dopiero za

rok? — dodała w formie zapytania, w którym jednak już dźwięczała trwoga.

On trwogę tę odczuł.

— Cóż z tego odparł ciszej jakoś.—Mogę je później każdej chwili dokończyć.—Po roku... po dwóch...

I jakby się obawiał, aby matka nie przerwała jakim nowem pytaniem, począł mówić szybko, urywkowo:

— Przypomniałem sobie wczoraj o tem... Poszedłem dziś do niego... do biura... Powiedziałem krótko: „Studyów już dokończyć teraz nie mogę, ale przyjmę jakąbądź posiadę...” On wtedy poszedł do biurka i wyjmując zeń trzy stówki, rzekł tylko: „Właśnie musisz je pan skończyć, a to zaliczka na przyszłe nasze koleżeństwo!” — i począł mi te pieniądze wciskać do ręki... O! matuchno! matuchno!

Płacz dźwięczał w tych jego ostatnich wyrazach, przetarł też oczy dłonią pośpiesznie.

— Skoczyłem — mówił dalej — jak oparzony, gdy te pieniądze dotknęły mej dłoni. „To byłaby — zawołałem — zaliczka na zbyt niepewnej hipotece” — i opowiedziawszy mu w krótkości nasze położenie, począłem prosić

tylko o pracę, która jedynie zgodzi się z mo-
jem sumieniem.

— I co? co dalej? — szepnęła matka
wstrzymując oddech, aby słowa nawet nie
uronić!

Pocałował ją znów w rękę,

— Wie mamusia — mówił po chwili ci-
cho, jakby wyczerpany — wie mamusia, że
to dziwny człowiek! Bo z początku rzucił się
nawet, jakby obrażony moją odpornością.
Następnie schylił się i podniósł owe trzy
stówki, które padły na dywan przed biurkiem,
czego ja nawet wcale nie zauważyłem. Cho-
dził potem przez chwilę po gabinecie, jakby
mnie nie widział, wreszcie zatrzymując się
przedemną, rzekł: „Cóż robić! Pan mi się
nawet z tego podobasz! Przez pamięć na oj-
ca pańskiego, którego niegdyś dobrze znałem,
znajdę już dziś dla pana posadę, choć nie
o takiej myślałem w przyszłości... Zajmiesz
miejsce sekretarza przy głównym korespon-
dencie naszego banku. Sześćdziesiąt rubli
miesięcznie na początek. Stawisz się pan ju-
tro o jedenastej, tu, u mnie—zapoznam pana
z jego przyszłym szefem. A teraz weź pan
te trzysta rubli, urządź się i bądź dobrej my-
śli... Weź je pan z czystem sumieniem, każę

je później strącić z pańskich awansów“... I sam pierwszy wyciągnął ku mnie obie ręce, wsuwając mi w dłoń przy uścisku owe trzy papierki. Teraz już mogłem je przyjąć, musiałem!

Po chwili, powstając z klęczek, zawołał rzeźwiej, z zapałem i ochotą:

— Od jutra więc do roboty, do roboty! Ale bieda nasza skończona! Prawda mamusiu?

I nie czekając na potwierdzenie z ust matki, usiadł przy stole, poczynając liczyć skrzętnie jedną z rozmienionych stówek.

Tymczasem weszła Augustowa z odgrzaniem pieczysem.

— O! aleć to pani ledwie tej zupy tknęła! — zawołała, spoglądając na talerz wdowy.

On, chowając pieniądze, teraz dopiero spojrzął znów na matkę i oczy ich się spotkały.

Syn pierwszy spuścił swoje, ujrzał tam bowiem, w oczach matki, żal jakiś nowy, którego już tym razem zgoła nie rozumiał.

Na nieszczęście, Augustowa nie myślała ruszyć się z pokoju, nie mogli więc dalej z sobą mówić.

— Niechno pani je choć tę pieczeń! — poczęła namawiać stara sługa. — Skaranie boskie! — dodała. — Trzeba nad panią stać, jak żandarm, inaczej nicby pani w usta nie wzięła...

I mruczając, stanęła istotnie opodal na straży.

Zabrali się więc oboje do jedzenia pod tym przymusem. On nawet począł zmiatać kęski z wielkim apetytem, jakby chciał, aby matka poszła za jego przykładem. Ona przymuszała się widocznie, jadła jednak w milczeniu.

Pierwsza wreszcie odsunęła talerz, szepcząc z uśmiechem w stronę Augustowej:

— Dość już! Dziękuję! Bardzo mi smakowało...

Widocznem jednak było, że jakaś myśl, nagle zrodzona, nie daje jej spokoju i pochłania całą jej uwagę.

Zaledwie też drzwi od kuchenki zamknęły się za starą sługą, wdowa przysunęła się z krzesłem do syna, obejmując go za szyję.

— A jednak to być nie może! — poczęła. — Ja nie mogę i nie powinnam przyjąć takiej ofiary! Bo ty czynisz to już tylko ze względu na mnie! Pomyśl, rok tylko

masz do ukończenia uniwersytetu i ja — ja moją bezsilnością miałabym ci drogę zagrażać — nigdy! Rok jeden, przeminie, ani się spostrzeżemy... Ja teraz już coraz zdrowszą będę i prędzej będę pracowała, zobaczysz! Ojciec, tam, z za grobu, nie darowałby mi tego nigdy, bo zawsze marzył o tem, że doczeka chwili, w której ty wrócisz z patentem prawnika... Jeśli duchy przeklinają, on by mnie przeklął, mówiąc: „Raczej ci było umrzeć samej, byleś się dziecku jedynemu z drogi usunęła!“. Takby powiedział! Wierz mi!... Olsniłeś mnie w pierwszej chwili swoją nowiną, olsniony jesteś dotąd jeszcze i sam tą myślą, żeś dobrze postąpił! Ale to złuda! to tchórzostwo! Jakto? Więc przebidowaliśmy dwa lata, jesteśmy już bliżej celu, niż dalej, pozostaje rok tylko — i my się cofamy?... Nie, nie Luteczku! Tę zaliczkę trzeba zwrócić, z tego nic być nie może... ja na to nie powinnam pozwolić:..

I z łkaniem, nie opuszczając ręki otaczającej szyję syna, ułożyła głowę na jego piersiach.

Gojące słowa matki zrobiły na nim silne wrażenie, ale nie przekonały go zgoła. Widać

to było w ponurem jego spojrzeniu, którem patrzył w tej chwili przed siebie.

— Rok! — myślał z ironią; — Istotnie, rok tylko, ale ile męki, małych upokorzeń, bezsilnego wicia się w bólu, jak robak na szpilce! He!! Nie powiedział przecie matce wszystkiego, nie przyznał się, że przez całe wakacje nie mógł znaleźć ani jednej lekcyi, że po redakcyach na reporcie sądowej zarabiał coraz mniej, bo i tu zaczęły się ferye... że już nawet od kolegów pożyczał po parę rubli... że godziny, w których niby miał lekcyę, przesiadywał z musu w cukierni, przy jednej filiżance kawy czarnej za cały nieraz dzień! — nie powiedział jej tego wszystkiego!... We wrześniu, prawda, lekcyę mogą wrócić, ale czy to wystarczy, czy sił już stanie?... Zresztą, odkrył przecie, że i matka się głodzi, a głodzi się dlatego, że już sama zwątpiła... bo zresztą, jest coraz mniej, coraz gorzej... — To też nie może ustąpić, nie powinien... Jałmużny przyjąć nie mógł, ale owa zaliczka, gdy jutro zacznie pracować, toż to nic upokarzającego!... A jak się te pieniądze przydadzą! Matka odżyje, ozdrowieje... no i on wreszcie odetchnie... Nie cofnie się więc już, nie cofnie...

Z tem postanowieniem zwrócił się też ku matce, całując jej rękę.

— Stało się, już, mameczko, stało! — przemówił. — Cofnąć się już nie mogę! Nie ty, mameczko, lecz ja, ja sam nie mam już sił do dalszej walki... do takiego życia!

— Ale to być nie może! — zawołała znów matka, wybuchając płaczem.

Napróżno teraz już starał się ją przekonać i na swoją przeciagnać stronę. Nadaremnie używał w tym celu różnych argumentów, próżno malował przed nią obrazy wspólnego szczęścia, gdy spokojnie, zabezpieczeni, nie łzami już i trwożliwym wzrokiem witać będą każdy nowy ranek, lecz uśmiechami zadowolenia. Daremnie zapewniał, że ojciec, gdyby widział ich dziś z za grobu, sam doradziłby mu to, co on dziś uczynił; daremnie obiecywał, że popracowawszy dwa, trzy lata w banku, pomyśli o skończeniu uniwersytetu, nie tu, to gdzieindziej — wszystko nadaremnie.

Odpowiadał stale, ciągle, łagodnie, ale z uporem dziecka, które nie chce być przekonaniem:

— Nie, nie! Raczej ja umrę! Musisz skończyć uniwersytet, musisz!

Wieczór przeszedł, zbliżała się godzina spoczynku, a oni nie porozumieli się dotąd, nie zgodzili się na jedno.

Rozmowa wyczerpała się i ustała, nie przynosząc żadnego postanowienia.

Siedzieli długo, w milczeniu, niby już spokojni z pozoru, choć rozdzieleni myślą.

Wreszcie wdowa ruszyła pierwsza na spoczynek, do swego pokoju.

— Dobranoc ci, Luteczku! — szepnęła od drzwi.

Poskoczył ucałować jej obie ręce.

— Dobranoc! — powtórzyła jeszcze, składając pocałunek na jego pochylonem czole — i wyszła, zamykając drzwi za sobą.

Z pożegnaniem tem, nadzieja wstąpiła weń na nowo. Nie wierzył wprawdzie, aby matka została już przekonaną, spodziewał się jednak, że jutro, gdy zacznie pracę w biurze, ułoży się wszystko do reszty, jak najlepiej.

Siedział jeszcze dość długo, przeliczył ponownie pieniądze, rozkoszując się nawet chwilami ich widokiem i dopiero wówczas przypomniał sobie, iż oprócz butelki z winem chinowem, nie pokazał matce żadnych innych sprawunków. Chciał biedz po nie do ku-

chenki, gdzie je zostawił, słysząc jednak ciszę w pokoju matki, szepnął:

— Śpi!... Jutro zobaczy!

I sam czując znużenie po dniu, tak pełnym przejść, zapragnął także spoczynku.

Długo jednak jeszcze różne myśli i wydarzenia dnia przewijały mu się po głowie, nie dając zmrużyć powiek.

— Co tam! Śpijmy! — szepnął wreszcie, zasypiając twardym, kamiennym snem zmęczonego człowieka.

Wdowa nie mogła oka tej nocy zmrużyć. Sen chwycił ją i obezwładniał na chwilę, myśl jednak spocząć nie chciała i budziła ją ustawicznie. Zachowywała się jednak cichutko, a przemęczywszy w ten sposób noc całą, wstała z pierwszym świtem.

Robił się dzień. Czerwonawy odblask jaskrawo wschodzącego słońca, wpadając z ukosa przez okno jej pokoiku, przesuwał się po skromnych mebelkach.

Spojrzała dokoła siebie zmęczonemi oczyma i oprzytomniając nagle, schwyciła zlekka za klamkę od drzwi, oddzielających ją od saloniku, w którym syn miał swoje łóżko za parawanem.

Zbliżywszy się cichutko na palcach i odchyliwszy zlekka jednego skrzydła parawanu, spojrzała na śpiącego.

Spał smacznie, lekko, uśmiechał się bowiem nawet przez sen do jakichś mar i widzeń. Naraz westchnął ciężko i niebawem czoło jego poczęło się chmurzyć.

Łzy zaświeciły w jej oczach, przywiodło jej to bowiem na myśl, że on się zaprzedał, że dziś już ma pójść do owego biura — dziś zacznie tę niewolę, która nie pozwoli mu spełnić poleceń zmarłego ojca.

— Nie, nie! — szepnęła. Z tego nic być nie może... On musi skończyć uniwersytet!

Obejrzała się z trwogą dokoła, jakby w obawie, aby ktoś tego jej szeptu nie usłyszał, a widząc, że syn śpi ciągle, zasunęła skrzydło parawanu i przeszedłszy pokój, stała przy oknie!

Wpatrywała się czas jakiś w ozłoczone rannem słońcem nurty Wisły, której część z okna tego widać było dobrze.

— Ale co robić? co robić? — szepnęła zcicha.

Po chwili odwróciła się od okna i wówczas wzrok jej padł na pozostawione przez syna na stole pieniądze.

Liczył je z tryumfem i rozkoszą, a teraz porzucił, jak śmiecie, przyciskając za ledwie brzegiem jakiejś książki.

— Ach te pieniądze!

Usiadła przy stole, mając wzrok mimowolnie wlepiony w wystające z pod książki brzegi banknotów.

Siedziała tak długo, nieruchomo, ze splecionymi rękami.

Naraz, jakby tknięta jakąś myślą, powstała z krzesła i rzucając znów ku parawanowi trwożliwe spojrzenie, wyciągnęła po chwili rękę ku banknotom.

Poczęła je liczyć gorączkowo.

— Dwieście... dwieście pięćdziesiąt... dwieście osmdziesiąt ośm...

Zastanowiła się na chwilę, zatrzymując papierki w rękach.

Dwieście osmdziesiąt ośm! Brakuje więc tylko dwunastu, aby zwrócić tę przeklętą zaliczkę... Jutro — o! jutro — będzie brakowało już znacznie więcej...

I naraz, zrywając się z miejsca, pod wpływem jakiegoś nagłego postanowienia, spojrzała na stary kosztowny zegar.

— W pół do szóstej!

I zajrzawszy raz jeszcze delikatnie za parawan, uspokojona snem syna, poczęła się krzątać gorączkowo. Pobiegła cichutko do komódki i grzebiąc w pierwszej szufladce, wydobyla z pod różnych rupieci małe pudełeczko z obrączkami ślubnymi, pamiątkową broszką po babce i pięknym pierścioneczkiem zaręczynowym.

Przyglądała się tym klejnocikom przez chwilę z rozrzewnieniem, wreszcie przycisnęła je do ust.

Wiedziała już teraz, co ma uczynić.

Spojrzawszy raz jeszcze na leżące na stole banknoty, jakby w obawie, iż może ich tam już nie być, wysunęła się cichutko do kuchenki, delikatnie drzwi za sobą zamykając.

Obudziło to już jednak starą Augustową.

— O! a to co? — poczęła.—Zaspałam?... Bodajże mnie też!...

— Cicho! cicho! — szepnęła wdowa. — Jeszcze czas!... Panicz śpi jeszcze... Niech śpi.. I Augustowa może jeszcze spać!...

— Ej co znów! Toż jasny dzień! — odparła sługa, oblekając się na prędcę w porzucone przy łożku łachmany.

Po chwili dopiero, widząc, że pani nie odchodzi, spytała:

— A czemu to pani już nie śpi?

Wdowa zawahała się na chwilę z odpowiedzią.

— Bo to ja, moja Augustowa — zaczęła z determinacją — chciałabym sprzedać pewne rzeczy... jakiemu jubilerowi... Czasem tak się zdarzy... widzicie... tak wypada... czasem...

Plątała się w objaśnieniach.

Na szczęście Augustowa zapytała zaraz:

— Rzeczy?... złote rzeczy?

— Złote... jedna z kamykiem... z brylantykiem...

Stara sługa przyjrzała się pani i pomyślała chwilę.

— A to po cóż zaraz sprzedawać — rzekła. — Ja to wiem... potrzeba czasem... A no, toć zastawia się w lombardzie... to przecie lepiej, boć swoje niby zostaje wtedy swoim...

— Zastawia — szepnęła biedna kobieta, udając, że nie rozumie.

— Juści! — potwierdziła sługa. — Toć tu niedaleko, na przestąpienie, jest jeden lombard...

Żydowski, bo żydowski, ale gdzie tam szukać katolickiego!... A i ztąd można przecie wykupić...

Usczęśliwiona kobieta schwyciła ręce starej.

Augustowa mi pomoże... pokaże... prawda? — mówiła uradowana. — Tylko cicho, cicho!... Nie trzeba, aby się panicz obudził, aby wiedział...

— To się wie! Co mu tam po tem!

Musiały czekać do siódmej, Augustowa bowiem zapewniała, że dopiero o tej godzinie ów lombard otworzą.

Wdowa więc tymczasem nakreśliła jeszcze karteczkę, w której zawiadamiała syna krótko, iż pozostawione na stole pieniądze schowała, nadto zaś prosiła, aby nie wychodził z domu przed jej powrotem.

Doczekawszy się siódmej, upewniła się raz jeszcze, że syn śpi twardo, owinęła starannie w papier zabrane pieniądze, wsunęła za obcisły stanik sukni, wzięła do kieszeni pudełeczko z klejnocikami i wraz z usłużną Augustową wysunęła się cichutko do sieni.

— Aleć to panicza trzeba będzie zamknąć samego w domu, gdy obie wyjdziemy, — zauważyła Augustowa.

Wdowa, której to dotąd zgoła na myśl nie przyszło, spojrziała z taką rozpaczą, jakby już teraz wszystko przepadło.

— No, to nic! — kończyła Augustowa — Ja przecie panią tylko zaprowadzę i zaraz wrócę...

— Dziękuję wam, dziękuję...

Zamknęły drzwi na klucz i wyszły powoli na ulicę.

Lombard, do którego Augustowa знаła dobrze drogę z dawnych czasów za życia swego męża, mieścił się na Mostowej, pod górą, gdy zaś obie kobiety do wnętrza wchodziły, stał już otworem, a nawet pełen był interesantów, którym pilno było do jego otwarcia, którzy na nie z gorączką oczekiwali. Naturalnie, byli to ubodzy ludzie, wyłącznie same kobiety, żony rzemieślników, przychodzące tu z tobołkami i zawiniątkami, nieraz nawet dość sporej objętości. Wszystkie zastawiały, żadna zaś nie wykupywała, więc mimowolnie, te, które nie mogły docisnąć się do zakratowanego okienka i czekały kolei, musiały zwrócić uwagę na wchodzącą bez żadnego zawiniątka towarzyszkę.

Ledwie też Augustowa, objaśnwszy panią pocichu, gdzie ma się zwrócić, zdołała opuścić

zbrudzoną i zatłoczoną izbę, mówiąc: „A ja teraz polecę do domu, bo mógłby się pan Lucio obudzić“ — już jedna z czekających kobiet zwróciła się do wdowy z pytaniem:

— Pani przyszła wykupić?

Zapytanie uczynione było grzecznie, z rodzajem uznania i politowania zarazem, przecież zmieszało okrutnie biedaczkę, stawiającą pierwsze kroki na nieznanym jej dotąd terenie.

— Nie, pani! — odparła cichutko. — Ja chciałabym pożyczyć... zastawić! — poprawiła szybko, naginając się do przyjętego terminu.

Zapytująca obejrzała się dookoła.

— A cóż pani przyniosła? — spytała zdziwiona, nie widząc w rękach towarzyszki żadnego zawiniątka.

Wdowa sięgnęła do kieszeni, wydobywając pudełeczko.

— A tak! Wiem! — szepnęła kobiecinka. — Bo to my... toć ano tylko z łachami mężowskimi! — dodała smutno, potrząsając dużym zawiniątkiem.

Musiała jeszcze czekać kolei, więc po chwili milczenia, jakby sobie coś przypomniała, zwróciła się znów do matki Lucia.

— A to pani ze złotemi rzeczami? — spytała domyślnie. — To co innego! To pani

wcale nawet nie potrzebuje czekać. Inne okienko do złotych rzeczy...

I zwróciła się za kratkę usłużnie:

— Hej, panie ten! Daj tu pan tego od złota...

Słowa te wyrzeczone dość głośno, zrobiły wrażenie na wszystkich obecnych kobietach. Odwróciły się, jak na komendę, spoglądając znowu na wdowę, która jednak, stojąc zwrócona w stronę wskazaną przez usłużną kobiecinę, nie widziała na szczęście tych spojrzeń.

Mamrotanie jakies dało się słyszeć po za kratkami, a po chwili boczne okienko, do którego nikt się nie tłoczył, bo w tej dzielnicy złoto rzadko się pojawiało, otwarło się z łoskotem i w otworze ukazała się zaspana głowa rudego żydka.

Mając swój wydział, widocznie nie był przyzwyczajony do tego, aby go o tej godzinie potrzebowano. Co innego popołudniu, wtedy bowiem — w zastępstwie panującego od świtu towarzysza — przyjmował nawet i niezłote fanty. Teraz jednak wytrzeszczył na klientkę zaczerwienione oczy.

— Co jest? Co pani sobie życzy? — poprawił, przyjrzawszy się lepiej.

Za całą odpowiedź wdowa położyła przed nim pudełeczko.

Wziął je, otworzył w milczeniu, przyjrzał się klejnocikom, począł je nawet badać jakimś narzędziem, odwrócony ku przeciwległej ścianie, wreszcie, podchodząc znów ku okienku, rzekł apodyktycznie:

— Czterdzieści pięć rubli!

Wdowa słyszała dobrze, ale nie rozumiała na razie, patrzyła więc na mówiącego zmieszana.

— Możemy dać na to czterdzieści pięć rubli! — powtórzył żydek. — Bierze pani?

Ach, tak!... Wiedziała wprawdzie, że klejnociki te warte są dużo więcej, mając jednak głowę nabitą owemi brakującymi dwunastu rublami, nie rozumiała na razie.

— Biorę, biorę! — szepnęła.

Po chwili kwit był wypisany, pudełeczko opatrzone kartką zniknęło w szufladzie — i w okienku pojawiła się ręka, licząca pieniądze:

— Czterdzieści... czterdzieści pięć!

Zgarnęła je szybko, doświadczając uczucia złodziejki i chciała wybiegać.

— I kwit! kwit! niech pani kwit swój zabierze! — wołał za nią głos z okienka.

Musiała więc raz jeszcze ode drzwi wrócić. pod gradem spojrzeń obecnych.

Na ulicy dopiero odetchnęła pełną piersią.

Wszystko będzie tedy uratowane!... Boże, Boże!... Potrzebowała dwunastu rubli, a ma całe czterdzieści pięć... Że też jej dawniej coś podobnego na myśl nie przyszło?... Lutek i ona sama nie byliby się tyle nacierpieli... Prawda, prawda!... To były drogie pamiątki... po mężu... A gdy raz powiedziała Luciowi: „Wiesz co, ja to sprzedam“ — nic na razie nie odparł, tylko wyjął z jej rąk delikatnie owo pudełeczko, i chowając je sam w komodzie, pod bieliznę, dopiero po chwili szepnął: „Nigdy:...“ Odtąd nie myślała wcale o tych pamiątkach... Ale dziś... dziś co innego... Zresztą ma przecie kwit... to tylko zastaw... to nie zginie... A uratuje się wszystko — wszystko!...

Z tą myślą, nie wracając wcale ku domowi, doszła pod górę, stając na wprost frontonu kościoła.

Zawsze pobożna, pobiegła i tym razem śpiesznie do wnętrza dość pustej o tej porze świątyni i sadowiąc się w ustronnej ławce, poczęła gorąco się modlić. Miała teraz za co dziękować Najwyższemu, miała o co błagać

jeszcze na dziś i na przyszłość... Szczególniej jednak na dziś, tylko na dziś!... Niech już później Stwórca ją karze, byle tylko dziś nie odmówił jej pomocy w przeprowadzeniu zamiarów, które powzięła zrana i które za jaką-bądź cenę przeprowadzić postanowiła... Niech ją już później karze!...

— Ach, Boże! Boże! — wzdychała z cicha.

Ukojona modlitwą, opuściła świątynię z pogodniejszą już twarzą. Było dopiero po ósmej. Miała też przy sobie całe trzysta rubli, nawet z naddatkiem, oddać więc ową zaliczkę, oddać czempredzej i uwolnić Lutka z jego zobowiązania stało się dla niej najgorętszem pragnieniem.

Z tą myślą, która całą jej uwagę pochłaniała, zaszła przed gmach bankowy, sama nawet nie wiedząc: jak i kiedy. Brama była już roztwarta, ale cały gmach wyglądał martwo i pusto. Na szczęście, w sieni pojawił się jeden z woźnych, śpieszący właśnie z teczką na pocztę.

— A do kogo pani? — zapytał.

Wówczas ona, sięgnąwszy do kieszeni, i wtykając mu w rękę parę złotych, objaśniła z pośpiechem, iż ma bardzo ważny inte-

res do dyrektora, że musi się z nim koniecznie zobaczyć przed rozpoczęciem godzin biurowych.

Wózny mówił wprawdzie, że nie będzie to łatwo, bo pan dyrektor przyjmuje dopiero między 1-szą a 2-gą w południe i nie ma zwyczaju, aby ktoś wcześniej do niego przychodził... Po namyśle jednak poradził:

— A to niech pani idzie do mieszkania. Pan dyrektor rzadko kiedy przed jedenastą z domu wychodzi...

Chwyciła się tej myśli zdecydowana na wszystko. Wózny, ujęty datkiem, poinformował ją, iż dyrektor mieszka we własnym domu, niedaleko, na sąsiedniej ulicy.

— Na dole, na rogu, cukiernia tam jest!— dodał dla objaśnienia.

Podziękowała mu i odeszła śpiesznie.

Mówiła sobie ciągle, że jeszcze zawiele jest czasu, że przed samą dziesiątą do drzwi dyrektora zapukać nie będzie mogła, mimo to biegła, jak szalona, ściskając schowane na piersiach za gorsem pieniądze.

Cukiernia przypomniała jej dopiero, że nic dziś dotąd w ustach nie miała. Augustowa podała jej wprawdzie przed wyjściem herbatę, lecz ona, nie tknąwszy jej wcale, zaniosiła ze szklanką do swego pokoiku i tam zostawiła.

Tak, tu poczeka do dziesiątej...

Weszła i siadając przy bocznym stoliku pod ścianą, kazała podać szklankę herbaty.

Po chwili, na widok stojącego przed oknem posłańca, przyszło jej na myśl, iż powinna przed pójściem do dyrektora, posłać doń z bilecikiem, w którym znalazłby objaśnienie jej prośby. Tak trzeba, tak należy postąpić... Ułatwi jej to całe zadanie, oszczędzi słów wielu...

Zażądała papieru i pióra, a po chwili przywołany posłaniec odbierał z rąk jej niewielki, ale treściwy liścik.

— Będę tu czekała na odpowiedź! — dodała, wręczając pismo kłaniającemu się publicznie słudze.

— Ach, to czekanie! Wydawało jej się teraz wiekiem całym. A jeśli dyrektor odmówi wcale posłuchania — jeśli odmówi?

Nareszcie wbiegł znów posłaniec i kłaniając się jeszcze niżej, rzekł:

— Pan, dyrektor prosi zaraz!

Słowa te wydały się jej muzyką, w oczach zaś zajaśniała nadzieja. Prosi, więc ją wysłucha, więc nie odmówi, nie będzie mógł odmówić jej gorącej prośbie.

— Boże, Boże!

Pozostawiła znów nietkniętą szklanę herbaty, zapłaciła śpiesznie drżącemi rękoma i ruszyła za posłańcem, który jej drogę usłuznie wskazywał.

Ach, tak! Bóg zlitował się nareszcie!...

Zaledwie bowiem dzwonek się ozwał, dyrektor, odprawiając lokaja, podbiegł sam dla otwarcia drzwi przed nią.

— Proszę, proszę! — szepnął, wiodąc ją do salonu.

Istotnie zaś tym listem oszczędziła sobie słów wielu. Dyrektor bowiem, zaledwie usiadła na wskazanem krześle, sam począł pierwszy opowiadać jej o wczorajszej wizycie syna i dziejach tej zaliczki. Mówił, że przystając wczoraj na jego prośbę o posadę, był prawie pewien, iż uda mu się jakoś przekonać jeszcze tego młodzieńca, aby przed szukaniem posady skończył zupełnie nauki. Myślał potrzymać go kilka dni na próbie, aż do rozpoczęcia kursów, podręczyć nawet przesadnemi wymaganiami, a tymczasem zapisać go cichaczem, potem zaś w oznaczonym dniu wysłać na wykłady. Lepiej jednak, że ona, matka, wdała się w tę sprawę o wiele lepiej.

— Niech mi pani wierzy — kończył — że chciałem tak postąpić i postąpiłbym z pe-

wnością. Znałem nieboszczyka ojca jego, a męża pani... znałem dobrze od dzieciństwa... a choć później losy rozdzieliły nasze drogi, przecież dawniejsza z nim przyjaźń już mi tak postąpić nakazywała...

Wdowa, dziękując uściskiem ręki i pełnemi łez oczyma, sięgnęła gorączkowo do kieszeni i poczęła liczyć przyniesione pieniądze.

Dyrektor powstał i powstrzymując jej rękę, szepnął:

— Wybaczy pani, ale zaliczka pozostać musi zaliczką... Upomnę się o nią po roku u niego i ufam, ale dziś już jej nie przyjmę...

A kiedy nie wiedziała co począć, wobec tego, uściśnął obie jej ręce, mówiąc:

— Niech pani teraz śpieszy do domu. Syn miał być u mnie o jedenastej. Może go pani jeszcze zastać i powstrzymać... Zobaczę go rad zawsze u siebie, ale nie dzisiaj... Gdyby jednak przyszedł... ha! dodał z uśmiechem — odmówię mu przyrzeczonego wczoraj miejsca.

Niema ciągle z radości szczęścia, nie przypomina już sobie nawet, czy choć dwa słowa podzięki wówczas wymówiła. Wie tylko, że dziękowała mu wzrokiem matczynym i że szlachetny człowiek mowę tę zrozumiał

W domu zastała Lutka, niecierpliwiącego się już z powodu jej nieobecności. Dość mu było spojrzeć w twarz matki, aby odgadł wszystko. Augustowa bowiem, przycisnięta przezeń pytaniami, wygadała się już o zabranii klejnocików i lombardzie.

— Mamusia zastawiła te pamiątki. Mamusia oddała zaliczkę! — zawołał zaraz, prawie jeszcze w progu.

Postanowiła już teraz kłamać przez czas jakiś, kłamać dla jego spokoju.

— Oddałam! Oddałam! — szepnęła, biorąc go w objęcia.

Szarpał się jeszcze i narzekał, ale po pewnym czasie sam przyznał, że wczorajsze postanowienie, powziął już w ostatniej rozpacz.

— Ach, co mnie to kosztowało! — zawołał.

Nazajutrz dopiero, zwolna, delikatnie, dobierając odpowiednich wyrazów, matka wyznała mu całą prawdę.

— Ale po roku, po dwóch, ty zwrócisz tę zaliczkę! — dodała, przytrzymując go w swych ramionach.

Przestał się już rzucać i spojrzał weselej.

— Oddam! Jak Bóg na niebie! — rzekł, całując ręce matczyne.

**INSTYTUT
BADAŃ HISTORICZNY PAN**

Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



10

F

2052